

KATIA WOLSKA

*Stara kamienica w centrum Warszawy.
Młoda prawniczka na życiowym zakręcie spotyka
ekscytującego mężczyznę.*

TEMIDA

umie kochać

SERIA POD GRUSZĘ

Wydawnictwo
ab
two

Katia Wolska

TEMIDA UMIE KOCHAĆ

S E R I A P O D G R U S Z Ę



Redakcja: Monika Stachura
Korekta: Jadwiga Kosmulska
Projekt okładki: Roman Marek/Project
Zdjęcie na okładce: Mariia Golovianko/shutterstock

Copyright © Katia Wolska, 2017
© Copyright for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, 2017
Wszelkie prawa zastrzeżone

Skład i łamanie: TYPO

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4563-7

Wydanie pierwsze
Warszawa 2017

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo

Spis treści

[Część I](#)

[Część II](#)

[Zakończenie](#)

Część I

Kamienica przy placu księcia Tołłoczki wydawała się bardzo dostojna, wysoka i imponująca. Bokiem zwrócona do ulicy Wybickiego, frontem z oknami i balkonami na plac nieznanego nikomu księcia, miała zaledwie cztery kondygnacje, lecz piętra bardzo wysokie, spiczasty dach, odnowione gzymsy. Julia stała onieśmielona przed masywnymi drzwiami z kołatką, mosiężną klamką w kształcie smoka. Poczowała, jakby przeniosła się w czasie, mała w obliczu wysokiego muru, młoda mimo czterdziestu dwu lat... Czym są wobec historii dwustuletniej? Niemniej Julia była kobietą, nie kamienicą. Przywołała się do porządku: jesteś osobą poważną, doświadczoną prawniczką, przywiódł cię tu temat zawodowy, zachowuj się profesjonalnie. Z determinacją nacisnęła klamkę, drzwi skrzypnęły przeraźliwie i Julia znalazła się w malutkim korytarzyku, oko w oko z łysawym stróżem, dość niechętnie zerkającym na nią zza swojej szklanej ścianki. Chyba przerwała mu oglądanie sportowego programu w przenośnym telewizorku.

– Do kogo? – zapytał krótko.

– Do pani Elżbiety Rachowicz – odpowiedziała. – Mecenas Julia Minejko, jestem umówiona.

– A tak – ożywił się stróż – pani Ela mówiła. Proszę na trzecie piętro, domofonem trzeba zadzwonić, numer 7. Woli pani windą czy schodami?

Julia z nieufnością popatrzyła na zabytkową windę, wahadłowe drzwiczki, rozmiar dla dwóch szczupłych osób. „Taka sobie pionowa trumienka” – pomyślała i wybrała schody. Dozorca kiwnął głową, wskazał na kotarę, za nią znajdował się wysoki stopień i wejście na klatkę. Antyk spotykał się tutaj z nowoczesnością: ten dziwny facet otworzył pilotem elektroniczną zasuwę staromodnych rzeźbionych drzwi. Mógł wrócić do oglądania sportu.

Podziękowała, nabrała tchu, zanurzyła się w mrok za kotarą, przestąpiła próg i znalazła się w cichej, ciemnej przestrzeni. Stróż łaskawca widać nacisnął jeszcze jakiś guzik, bo rozbłysło blade, zielonkawe światło. Sączyło się na półpiętrach z kinkietów w kształcie dawnych lamp naftowych, zawieszonych na surowych czerwonych ceglach bez tynku, ozdobionych gdzieniegdzie malowidłami w pięknych ramach. Julia zaczęła wspinać się po

schodach, starała się jak najciszej, ale i tak stukot obcasów na gładkich kamiennych stopniach brzmiał jak huk wystrzałów. Na półpiętrze zatrzymała się przy obrazie, z bliska dostrzegła, że jest to oryginał, martwa natura, jakieś owoce w misie, przewrócony puchar. Sięgnęła ręką ku fakturze farby, ale nie odważyła się dotknąć płótna. Na pierwszym piętrze troje zamkniętych drzwi patrzyło na nią złowrogo mętnymi wizjerami. Na ścianie prócz kinkietu i obrazu połyskiwało małe okienko z kratą, a z obrazu spoglądała obojętnie twarz młodej kobiety. Julii nagle zabrakło tchu. Ogarnęło ją silne poczucie, że była już tutaj, zna te schody, a one znają jej stopy, zna te ściany. Nawet ta panna z portretu wydawała się jej znajoma, chociaż nie było to możliwe, bo Julia Minejko z pewnością była tu po raz pierwszy w życiu. Oparła się o mur, chłód surowych cegieł trochę jej pomógł.

„Wariatko, idiotko” – łajała się w duchu. „Co ci jest? Nie pierwszy to stary dom, nie pierwszy raz klimat jak z horroru, mieszkania pozamykane jak fortece. Jesteś prawniczką, zajmujesz się nieruchomościami, od dziesięciu lat pomagasz właścicielom odzyskiwać prawa do takich właśnie trucheł jak to domostwo. Nic nie wiesz o tej pani na ścianie...”

Spotkała się wzrokiem z dumną damą, otarła pot z czoła i ruszyła wyżej.

„Czymś zasłużyłaś sobie na wygnanie do klatki schodowej” – rzekła karcąco do portretu i ruszyła wyżej, starając się patrzeć tylko na czubki swoich siwych włosów. Tup, tup, piętro drugie, znów przedziwne uczucie, że zna tę przestrzeń. Tym razem kinkiet, paproć i pejzaż miasta na obrazie nie zdziwiły jej wcale. Za to zaskoczyło ją światło z uchylonych drzwi z numerem 5. Otwarte? W tym świecie domofonów, łańcuchów i solidnych zamków z certyfikatami? I znów pewność, że zna rozkład pomieszczeń za tymi uchylonymi drzwiami.

„Co jest u licha? Twój dom rodzinny zbudowano gdzie indziej” – upomniała się surowo. „Mieszkasz na przedmieściu w małym domku po babci, zupełnie do tej siedziby niepodobnym...”

Nic z tego. Uczucie *déjà vu* ogarniało ją coraz silniej. W dodatku przemożna siła ciekawości pchała ją do tych nieznanych drzwi. Rozum mówił: nie, przytaczał argumenty w rodzaju *Zamku* Kafki, żony Lota, i przygód Alicji z Krainy Czarów. Instynkt mówił: nie, to nie ten adres, jeszcze jedno piętro, numer 7, nie 5. Ale ciekawość, zguba i motor ludzkości okazała się silniejsza. Dotknęła klamki.

„Tylko cichutko zajrzę” – odpowiedziała swoim wewnętrznym głosem. „Bo

co jest, że otwarte, może coś się tu stało? Jeśli skrzypną niemiłosiernie, ucieknę”.

Drzwi otworzyły się gładko, jak nasmarowane świeżą oliwą. Kusił Julię długi korytarz. Po prawej stronie ujrzała drzwi, była dziwnie pewna, że do kuchni, a po lewej drzwi do kilku pokoiów. Pierwsze rozsuwane, z pewnością do salonu. Klasyczna, delikatna muzyka skrzypiec płynęła po korytarzu jak sama Julia, intruzka w tym cichym wnętrzu. Zsunęła czólenka i boso, na palcach, cicho jak kot stąpała po miękkim dywanie. Drugie wejście po prawej pewno do gabinetu, następne, znów uchylone. Nie mogła się powstrzymać, zajrzała, stanęła jak wmurowana w próg, zmieszana i zauroczona. Widok bowiem był niezwykły.

Półotwarte drzwi wpuszczały niedyskretny wzrok do pomieszczenia, które niewątpliwie było sypialnią. Niedużą sypialnią z ogromnym łóżem, zajmującym większość przestrzeni, zorganizowanej tak, że nikt nie miał wątpliwości, że to łóżko jest najważniejsze. Wszystko w zasięgu ręki, lampka z różowym światłem, półka z książkami, stolik z dwoma kieliszkami i karafką... Nie dlatego jednak Julia zamieniła się w słup soli, łożo nie było puste. Co więcej, nie było oazą ciszy ani spokoju. Wśród poduszek rytmicznie poruszały się jakieś postacie, pokój wypełniały przytłumione westchnienia i zmysłowe odgłosy miłości. Julia zrozumiała, że jest przypadkowym świadkiem intymnej sceny. Wpatrywała się w dwa połączone ciała, piękne, całkowicie obnażone, pogardzające atlasową narzutą odrzuconą na podłogę. Julia dokładnie widziała mocne plecy i zgrabne pośladki mężczyzny, unosiły się i opadały między okrągłymi, sterczącymi ku górze kolanami kobiety. Słyszała, jak ta pojękuje, ujrzała nagle, że unosi nogi i oplata nimi biodra kochanka. Miała kształtne, małe stopy z paznokciami błyszczącymi purpurą. Unosiła rytmicznie biodra, pracowali tak przez chwilę, a potem Julia ujrzała, jak mężczyzna zsuwa się pocałunkami z ust do piersi, pępka, wysuwa się z objąć nóg i zanurza twarz między udami kobiety. Teraz zgrabne łydki oplatały jego kark, a kochanka z westchnieniem rozkoszy i zadowolenia rozrzuciła ramiona nad głową, podała mu swój najbardziej intymny zakątek ciała jak królewskie danie, pozwalając lizać się i pochłaniać, aż silniejszym okrzykiem przywołała go do poprzedniej pozycji, dała znak, by powrócił ustami do ust, a penisem w nabrzmiące wnętrze. Zrozumiał od razu i Julia przez mgnienie dostrzegła jak imponujące wyposażenie otrzymał od natury, jak gładko wsuwa się w kobietę. Przez jej podbrzusze przebiegł prąd.

Julia wiedziała, że splotą się zaraz w ostatnim uścisku. Dążyli do orgazmu jak sprawny mechanizm. Nie byli jednak maszyną, lecz zaróżowionymi od światła, żywymi, ludźmi o aksamitnych, pięknych ciałach. Wiedziała, że nie powinna tu być, podpatrywać ich, a już na pewno nie powinna czuć tej fali podniecenia w dole brzucha. Wycofała się cichutko, *déjà vu* powróciło i przybrało jeszcze na sile, lecz w inny sposób. Podobny obraz widziała już raz w życiu z pewnością: plecy i pośladki mężczyzny opadające i unoszące się nad chichoczącą, rozedrganą i pokrzykującą kobietą. Tylko że wówczas rozpoznała te plecy i kobietę, a widok nie przyniósł jej podniecenia, lecz potworny ból. Wówczas były to plecy, pośladki i penis jej męża, a kobieta pod nim dostrzegła ją i przestała chichotać. Tak nastąpił początek końca małżeństwa Julii Minejko. Wtedy nie wyszła z sypialni, lecz wpadła w prawdziwą furję. Teraz uciekła, myśląc, że widać jej przeznaczeniem jest podpatrywać kochające się pary. Prawie biegła do wyjścia. Co będzie, jeśli drzwi na klatkę schodową zatrzasnęły się w międzyczasie? Nie, nadal były otwarte, zdążyła jeszcze założyć buty, gdy jakaś ręka pchnęła drzwi i otworzyły się na oścież. Julia stanęła oko w oko ze starszą panią, objuczoną zakupami, najwyraźniej pomocą domową, która podejrzliwie, ze złością i pretensją rzuciła się ku Julii. Oczki zza okularów lustrowały Julię jak złodziejkę.

– Pani kto? Do kogo? Czego tu? – usłyszała.

– Przepraszam, przepraszam – jąkała się Julia. – Zabłądziłam, ja do pani Rachowicz. Ale było otwarte, myślałam że to tutaj, że pani Ela dla mnie otworzyła, tylko zajrzałam i wiem, że pomyłka...

– To nie tutaj – warknęła baba. – Rachowicz mieszka piętro wyżej. Co pani gada, że drzwi otwarte... zamknęłam, jak szłam na zakupy, na pewno, państwo spali jeszcze...

– Nie wiem – Julia już uciekała po schodach. – Nie wiem. Zajrzałam tylko i zorientowałam się, o, pani Ela wygląda z góry... Dzień dobry pani Elżbieto, dzień dobry to ja, Minejko, przepraszam, nie wiem jak to się mogło stać, ale zabłądziłam na piętrach...

I Julia osiągnęła szybko trzecie piętro, a mrukliwa baba zatrzasnęła za sobą drzwi. „Mam nadzieję, że zdążyli dokończyć” – pomyślała prawniczka. Zapałała jakąś dziwną sympatią do tych kochanków. Nie co dzień człowiek staje się przypadkowym świadkiem soczystej miłości dwojga nieznanych ludzi. Uśmiechnęła się do siebie, do pani Eli Rachowicz, która także

odpowiedziała uśmiechem i zaprosiła serdecznie panią mecenas do gabinetu. Julia szła pewnie za gospodynią pięknego mieszkania. Nie wiadomo, skąd doskonale wiedziała, gdzie mieści się gabinet, poczucie, że już tu kiedyś była, nadal jej nie opuszczało.

*

– Oto komplet dokumentów – powiedziała pani domu, wskazując na stół założony teczkami, skoroszytami, kopertami oznaczonymi skomplikowaną numeracją. – A oto mój gość, kuzyn i współnik zarazem, Dominik Dymśza.

Mężczyzna stał oparty o parapet, z rękami w kieszeniach, wysoki, szczupły. Powierzchność miał raczej przyjemną, chociaż trudno to było do końca ocenić, bo odwrócony plecami do słońca, twarz krył w cieniu. Teraz jednak żywo ruszył ku obu paniom.

– Poznajcie się państwo – rzekła Elżbieta. – Ja przyniosę coś do picia. Kawa, herbata, woda?

– Wodę niegazowaną z cytryną, poproszę, jeśli można – wyrecytowała Julia. Poza domem pijała tylko wodę lub świeże soki. Dominik Dymśza poprosił o kawę, teraz widziała dokładnie jego twarz, uśmiech, białe zęby, wysokie czoło. Włosy zaczesane do góry, ciemne, krótkie. Tyle z Dymśzy, bo poza tym raczej typ nowoczesny, dobrze ubrany, energiczny – szybko oceniła go Julia – i nie stary. Może nie młodzieniec, lecz na pewno młodszy ode mnie, czterdziestki jeszcze nie ma... chłopięcy typ, wiecznie uroczy, pełen wdzięku. Westchnęła. Mężczyzna był atrakcyjny, elegancki, bo pochylił głowę nad jej dłonią, musnął nadgarstek.

– Jestem Julia Minejko, jak pan zapewne wie. Kancelaria Minejko i Spółka. Specjalizujemy się w rynku nieruchomości. Prawo rzeczowe, prawo spadkowe. Bardzo wysoka skuteczność w odzyskiwaniu utraconych majątków.

– Wiem, wiem, Ela mówiła o pani rekomendacjach, gratuluję marki – uśmiechał się cały czas, zdawało się Julii, że figlarnie, i że omiół wzrokiem całą jej sylwetkę. – Podobno w świetnym stylu odzyskaliście pałacik Majkowskich. Kłaniam się, Dominik Dymśza, kuzyn Eli – powtórzył swoje nazwisko.

– Dymśza? – Julia nie mogła się powstrzymać. – Ma pan coś wspólnego ze słynnym Adolfem?

– Ach nie, chociaż wszyscy o to pytają i chyba zaczną się przyznawać do koneksji z aktorem... – westchnął i mrugnął okiem. – Ale nie, wcale nie. Dymsza to był pseudonim, Dodek tak naprawdę nazywał się Bagiński. Ja zaś jestem prawdziwy Dymsza, z dziada pradziada, z Dymszów mazowieckich. Szlachta herbowa, proszę pani, z rycerzem w genealogii, chociaż nikogo to dzisiaj nie obchodzi.

– Niekoniecznie – zaprzeczyła zadowolona – to ciekawe. Ja akurat w pewnym okresie bardzo zainteresowałam się heraldyką. Kiedy badałam własną... i kiedy po rozwodzie wróciłam do rodowego nazwiska. Zaskoczę pana, ale...

Chciała powiedzieć, że odnalazła swój herb, to znaczy rodziny Minejków, ale nie dokończyła, bo weszła pani Elżbieta z tacą i trzeba było jej pomóc, taca bowiem też chyba była herbowa, ciężka, wielka i zastawiona. Rzucili się oboje na pomoc, każde z inną myślą. „Całkiem ciekawy Dymsza” – zakonotowała Julia. „Rozwódka i niebrzydka” – odnotował Dominik. „Szkoda, że nie zdążyłam zapytać jaki herb” – westchnęła w duchu. „Zgrabne nogi, dobry biust. Zawieszenie trochę nisko, ale dupka jak jabłko” – kombinował. „Co on tak patrzy mi na tyłek” – lekko się zarumieniła. „Zgrabny facet, spodnie w kroku napchane obiecująco, nie powinnam tak myśleć, to klient” – skarciła się w duchu. „Całkiem sexy ta papużka” – dokończył Dominik wewnętrzne analizy, bo gospodyni przywołała ich do dialogu realnego.

– Cieszę się, że się poznaliście. Pani mecenas, potwierdzam telefoniczną deklarację, chcemy, żeby pani kancelaria zajęła się tą sprawą. Udowodnimy, że kamienica jest nasza. Jak pani ocenia szanse, choćby po tych wstępnych danych?

– Są bardzo wstępne – uśmiechnęła się Julia. Kiedy wkraczała na teren prawa, czuła się dużo pewniej: kompetentna, atrakcyjna, doświadczona – ale dobrze rokują. Muszę przejrzeć to wszystko – wskazała na stół. – Cóż, najważniejsze będą oryginalne dokumenty potwierdzające prawo rodziny do nieruchomości. Akt notarialny, umowy zakupu, kto kiedy objął własność, jakich spadkobierców zostawił. Rozumiem, że ma pani oryginały tych zeskanowanych dokumentów?

Elżbieta Rachowicz przysłała jej mejlowo kilka skanów, między innymi akt notarialny z roku 1903, zgodnie z którym kamienica numer 2, wówczas przy placu Aleksandra, przechodzi na własność niejakiego Rajmunda Gosztowica, hrabiego, jako wiano żony Krystyny z Gromadzkich, córki kupca Alojzego

Gromadzkiego. I akt ślubu wyżej wymienionych Rajmunda i Krystyny, też z roku pańskiego 1903, oba pisane po rosyjsku.

– Tak, oczywiście. Przez lata traktowaliśmy je jak pamiątki rodzinne, przekazywane z pokolenia na pokolenie, a tu proszę, czasy się zmieniły i są ważne. Po dziewięćdziesięciu latach! Dlatego ja nie wyrzucam niczego i tak mówię córce: Betty, nie wyrzucaj nigdy żadnych szpargałów.

– Ja to powtarzam swojemu synowi – z mrugnięciem oka do Julii rzucił Dominik, porozumieli się uśmiechem w spojrzeniu. Miał więc syna. I poczucie humoru.

– To i ja zacznę uczyć moją córkę Hanę – roześmiała się Julia. – Wszyscy jesteście rodzicami, bardzo dobrze, bo temat koneksji i dziedziczenia będzie tu bardzo ważny. Ślub z hrabią Gosztowicem wyraźnie awansował Krystynę do wysokich sfer, a hrabiego wzbogacił. Ale to był rok 1903, a następny dokument mamy aż z 1946, gdzie państwo polskie zabiera sobie tę kamienicę jako dobro narodowe, słynny dekret Bieruta... Zresztą tak jak wszystkie budynki przy placu już nie księcia, lecz Robotników i ulicy nazwanej dla odmiany ulicą Batalionów Chłopskich. I tak dopiero po roku 1989 mamy powrót do tradycji: do Tołłoczki i Wybickiego w nazwach, a praw rodziny do obiektu. Ale jak państwo widzicie, luki w czasie ogromne. Kim byli dla was Gosztowicowie?

– Krystyna Gosztowicowa, oto ona. – Elżbieta sięgnęła po zdjęcie w sepia. Dama o kocich oczach patrzyła z niego smutna, mimo urody, kunsztownej fryzury i drogocennej broszy przy smukłej szyi. – Owdowiała szybko i nie zdążyła dać hrabiemu potomstwa. Dopiero w drugim małżeństwie, z Rachowiczem, miała córkę i syna, urodzili się w 1910 i 1913. I tu już jesteście blisko, bo jej syn Adam Rachowicz walczył u Andersa, do kraju po wojnie nie wrócił, ożenił się w Anglii. I ja jestem jego synową, żoną Antoniego Rachowicza. Tak więc była babką mojego męża. A córka Krystyny, Klara, za okupacji wydała się za Dymśkę, przeżyła wojnę w Warszawie aż do powstania, razem z mężem wyszli kanałami i uciekli do brata w Anglii. Mieli tylko jednego syna...

– Mojego ojca. I stąd biorę się w tym wszystkim ja – uklonił się Dominik. – Well, mamy więc prawa do poczciwej kamienicy w całości po Krystynie, mojej prababce, dla Elżbiety babce męża, świętej pamięci. Antoniego...

– Zginął w katastrofie morskiej... – chlipnęła Elżbieta.

– Piękne historie rodzinne – orzekła wzruszona powstaniem i kanałami Julia

– ale dla sądu nie wystarczą. Musimy udowodnić, że w 1939, kiedy wybuchła wojna, kamienica bezwzględnie i niezaprzeczalnie należała do rodzeństwa Rachowiczów i tylko do nich. I że nie było innych spadkobierców. Na przykład: czy nie miał przypadkiem hrabia Gosztowic żadnych dzieci z pierwszego małżeństwa? Kamienica drugiej żony stała się jego własnością, jego spadkobiercy też mają do niej prawa.

– Nie wiemy. – Elżbieta wzruszyła ramionami. – Kiedy procesowałam się po raz pierwszy, nikt taki się nie ujawnił. Ale udało mi się odzyskać tylko mieszkanie na trzecim piętrze. Siedemdziesiąt metrów z całego majątku! A plac?

– Nie wiemy też, co działo się w latach 1888-1903. Według dokumentów miasta dom wybudowali niejaki Wierzbicki ze współnikami, w roku 1888, i z tym wiąże się jakaś tragedia, czy tak? Jak budynek przeszedł w ręce kupca Alojzego? To ważne, bo może nam się ktoś jeszcze odnaleźć.

Elżbieta Rachowicz podeszła do stołu, położyła ręce na szkatułce. Była już siwą starszą panią, elegancką, żwawą, ale sama wyglądała jak pamiątka z dawnej epoki.

– Tu jest wiele odpowiedzi pani Julio – szepnęła. – Zdjęcia, listy rodziców męża, stare papiery. Także dramatyczna historia współników, którzy budowali ten budynek. Jeden z nich zmarł tragicznie. Od tej pory nad kamienicą zawisła klątwa... Wszystko przed panią.

– Ech, te stare historie – roześmiała się Julia. – Tyle się już ich nasłuchałam podczas pracy! Czasem żałuję, drodzy państwo, że nie mam daru pisania. Warto byłoby utrwalić w książkach historie starych domów.

– Proszę więc zawrzeć bliższą znajomość ze mną – powiedział gładko Dominik. – Ja mam ten dar, jestem pisarzem. Mało tego, ta historia fascynuje mnie od dawna: w żółtej teczce znajdzie pani wydruk mojej powieści o dziejach kamienicy.

– O! – zaciekawiała się Julia – na czym się pan oparł? Źródła, dokumenty? To dla mnie ważne.

– Głównie na opowieściach babci i jej zapiskach. Kiedy się pisze o tak dawnych czasach, zawsze brakuje dokumentacji.

– A ja mam mnóstwo materiałów o rozmaitych siedzibach. Może kiedyś ubijemy interes, ale najpierw to – pogłaskała pierwszy z brzegu skoroszyt. – Proszę mi wskazać, które teczki mogę zabrać do przestudiowania i te, które muszę czytać tutaj. Zaczynamy postępowanie, proszę państwa. Proszę

pamiętać, że adwokat jak ksiądz. Muszę wiedzieć wszystko, znać wszystkie grzechy i bolączki, więc najlepiej byłoby zacząć od tej historii z budową. Jaka kłątwa? Co się właściwie stało?

– To jest tu – Elżbieta podała jej zieloną teczkę. – Wycinki z gazet, listy, i słynna powieść rodzinna Dominika oczywiście. To może pani mecenas wziąć ze sobą.

Julia pokiwała głową. Ciekawa była powieści, ale wiedziała, że zapewne barwna i literacka, może mieć znikomą wartość dowodową. Jednak już czuła to podniecenie przed sprawą, już chciała zamknąć się w gabinecie, zanurzyć w dokumentach. Zaczęła żegnać się pospiesznie, jej granatowe oczy błyszczały, Dominik Dymśa patrzył na nią z rosnącym zainteresowaniem, znów ucałował w rękę. Poczowała cień pożądania, nieokreślony pociąg do niego, pewnie przez tę erotyczną przygodę na drugim piętrze. Potraktowała go chłodno, suchym uściskiem dłoni. Panią Elżbietę pożegnała wylewniej. Umówili się nazajutrz w kancelarii dla dopełnienia formalności, Julia zbiegła po schodach, nie obdarzając już uwagą ścian, rzuciła „do widzenia” stróżowi drzemiącemu w szklanej klatce i uciekła z chłodnej kamienicy prosto w upalne miasto, pełne kawiarnianych ogródków przy placu księcia Tołłoczki. Zerknęła na gmach i dopiero zauważyła zatarty napis na frontowej ścianie: „Klementyna 1888”.

*

Julia Minejko miała właściwie dwa gabinety. Jeden oficjalny, w kancelarii przy prestiżowej ulicy Żurawiej, gdzie płaciła horrendalny czynsz, ale tam właśnie mieściło się zagłębie prawnicze i kto nie miał biura przy Żurawiej, nie istniał w tym mieście jako adwokat czy notariusz. Kancelarię urządziła zgrabnie i ze smakiem, biel, zielen, palmy i paprocie, i tu przyjmowano klientów, w sali konferencyjnej organizowano negocjacje zwaśnionych stron, sekretarka Anetka podawała kawę i precelki. Tu Julia zbierała swój zespół, do którego należało dwoje absolwentów stażystów i młody prawnik po aplikacji Arek Precel, jej dar niebios, jak mawiała, bo przyjął na swoje barki pracę asystenta, researchera, kierowcy, zaopatrzeniowca i głównej prawniczej siły. Oprócz tego parzył zieloną herbatę jak nikt inny na świecie. Nad drzwiami widniała tabliczka „Minejko i S-ka”, ale współnik prawie nie istniał, był tylko

nominalnym zapisem, śladem dawnego przyjaciela, który zgodził się być partnerem w interesach, wyłożył niezłe pieniądze, po czym wyjechał do Argentyny i nie wtrącał się w prace spółki, we wszystkim ufając Julii. Nigdy nawet w tym gabinecie przy Żurawiej nie był. W drugim tak, bo drugi, bliższy sercu gabinet Julia miała w domu. Domek na przedmieściu odziedziczyła po babci, nie był wielki, ot, murowany socjalistyczny słupek, ale miała tam kawałek działki, oddzielny pokój z werandą i wyjściem do ogrodu. Ów pokój świetnie nadał się na gabinet adwokacki, Julia nie tylko zgromadziła tu dokumenty i książki, biurko i fotel, ale także małą wersalkę, na której, owinięta kocem, analizowała materiały. Najchętniej tutaj właśnie zamykała się przed światem, jej umysł tu właśnie pracował najefektywniej, i tu też pragnęła rozłożyć teczkę od pani Elżbiety Rachowicz, by dotknąć przeszłości starej kamienicy, spisanej w wydruku powieści i zawartej w pożółkłych dokumentach.

Ale kiedy dojeżdżała do domu, przed bramą ujrzała mały zielony samochód, westchnęła więc i zaśmiała się zarazem, bo ów widok był jej miły, choć oznaczał, że nie od razu zagłębi się w papierach. Zielonym clio jeździła jej przyjaciółka, chrestna matka jej córki, najlepsza w świecie kobieta, Bożenka Swarko, zwana przez najbliższych Balbiną. Julia doskonale zdawała sobie sprawę, że odkąd zmarła jej matka i babcia, nie miała na świecie kobiety bliższej od Balbiny. Znała ją od czasu studiów, Balbina wprawdzie porzuciła fach *stricte* prawniczy i została prezesem spółki, ale doradzała często Julii w kwestach zawodowych, pocieszała podczas rozvodu. Sama nie wyszła za mąż, za to wspierała przyjaciółkę w wychowaniu córki, pomagała podczas remontów, zawsze była w pobliżu. I teraz przyjechała w chwili, kiedy Julia chętnie porozmawia z nią o dziwnej kamienicy przy placu księcia Tołłoczki.

Balbina. Postawna, niebrzydka, choć mało subtelna, duża kobieta po czterdziestce, z lekką nadwagą i ogromną energią. Trochę zwariowana na tle eko, mantr i zdrowej żywności. Balbina – żywy śmiech, obfity biust, lateksy i dobrze ścięte włosy kolory kawy... Siedzi już pewnie na dywaniku przed kominkiem rozpalonym mimo lata i gadają jak najęte z Hanią. Hania, córka Julii, jak to nastolatka, potrzebuje od czasu do czasu rozmowy z dorosłą kobietą, a jej matka jak zwykle nie ma czasu... Ech. Julia weszła do domu i zastała rzeczywiście taki widok: Balbina w kucki na podłodze, Hanka w fotelu, telewizor połyskuje w tle, kot Ikar śpi na parapecie.

– Witajcie dziewczyny! – Julia ujawniła swoją obecność i obie odwróciły

się do niej.

– Witaj kobieto pracująca! – rzuciła z lekką drwiną Balbina, a Hania dodała słodko: Ave mama!

– Nie dręczcie – poprosiła Julia – jestem zmęczona, głodna, spocona. Mam nową sprawę, zdziwisz się Balba jaką: wielka kamienica z XIX wieku, tak, ta przy placu księcia Tołłoczki 2.

– O! Tak zwany dom Gosztowica? Jednak rodzina nadal się o niego upomina, mimo że jedno mieszkanie wygrali? Podobno ciąży nad nim klątwa, nie warto!

– Ten sam – potwierdziła Julia. – Zaraz ci opowiem.

– Ale najpierw – przerwała jej Balbina – zrobię dobrą cytrusową herbatę i przyniosę sałatkę z soczewicy, sama robiłam. A ty posłuchaj swojej córki, bo ma temat.

– A co ? – zapytała Julia z lekką niechęcią. Kochała swoją Hankę ogromnie, nad życie, ale ostatnio kłóciły się często. Hania miała jeszcze wakacje, od września zaczynała ostatnią klasę liceum. Potem matura, studia. Tu zaczynał się konflikt, Julia marzyła o studiach prawniczych lub medycznych, ekonomicznych, w końcu jakichkolwiek, bowiem Hania nie chciała studiować wcale. Chciała zostać liderką zespołu rockowego.

– Jaki temat? – ponagliła, bo Hanka milczała złowrogo, skubała czarnymi paznokciami rzemyk sandała, oczy pomalowane więcej niż mocno patrzyły w ogień. Otóż była zła na cały świat, ale częśćka niechęci przypadła w udziale matce.

– To – powiedziała powoli Hanka, zerkając na matkę – że chcę na resztę wakacji pojechać do ojca. Siedzi sobie nad morzem w Sopocie, w wynajętym domku, czemu ja mam gnić w mieście?

Julia poczuła ból w piersi, jakby ktoś dźgnął ją szpilą w samo serce. Nienawidziła tych momentów, nie chciała dzielić się dzieckiem z byłym mężem. Tyle że – wiedziała o tym jako prawnik – niewiele miała do powiedzenia, był jej ojcem i miał prawo do kontaktu. Oboje mieli do siebie prawo. Hanka nastroszyła się gotowa do ataku, znów odwróciła twarz do telewizora, a że miała świeżutko wygolony bok głowy, Julia zirytowała się jeszcze bardziej. Wygolone głowy kojarzyły się jej z chorymi na raka i nie chciała czegoś takiego widzieć na córce. Tyle że – wiedziała o tym jako matka – w tej kwestii też niewiele miała do powiedzenia. Hanka robiła z fryzurą, co chciała i sądziła, że to dowód jej dorosłości.

– Uważam, że powinna jechać! – oznajmiła Balbina, wchodząc z talerzem kanapek i dzbankiem herbaty. – Leć no, mała, po filiżanki, a ja podziałam dobrą energią na mamusię.

– Oj, ciociu, ty zawsze swoje – jęknęła Hania, ale poszła do kuchni, a Balbina wesoło mrugnęła do Julii. – Siadaj, siadaj, opowiedz, co tam cię spotkało w słynnym domu Gosztowiców... A młodą puść do ojca, niech jedzie, czemu nie? To już tylko kilka dni.

Młoda przyniosła filiżanki, Balbina porozlewała pomarańczowy płyn, Julia usadowiła się między nimi i westchnęła. Sama wiedziała, że lepiej nie protestować, chociaż nie chciała tego wyjazdu, wciąż szczerze nienawidziła byłego męża, tak samo mocno jak kiedyś go kochała. Nie chciała dzielić się Hanką, ale co mogła zrobić. Westchnęła znów.

– To twoje wzdychanie świadczy o niedotlenieniu i potrzebie ćwiczeń. Joga kundalini, asany z oddechem ognia – orzekła surowo Balbina, a Hanka i Julia wymieniły rozbawione spojrzenia. Obie dobrze znały tę przypadłość czy też zaletę Balbiny, która była niereformowalną fanatyczną wielbicielką jogi, aśramów, diet i filozofii buddyjskich mnichów, a czasem nie gardziła też astrologią i mistyką świętych zachodniej Europy. Zaczynała dzień od medytacji, kończyła, pisząc zalecane przez Marka Aureliusza apoftegmata, w międzyczasie z rozmachem zarządzała firmą i ponad osiemdziesięcioma pracownikami, w większości płci męskiej. Jedno drugiemu nie przeszkadzało, a nawet, jak sądziła Julia, ta odrobina filozofii pomagała odreagować Balbinie pobyt w świecie twardego biznesu.

– Dobrze już, dobrze – Julia kiwnęła głową – po prostu jestem zazdrosna Kiciu. Zła, że w ogóle chcesz jechać do ojca. Jest tam przecież z nową żoną... w ciąży?

– A kto by nie chciał jechać w taką pogodę nad morze? Nawet z wiedźmą w ciąży bliźniaczej – zamknęła temat Balbina. – Opowiadaj, Julka, jedź i opowiadaj, jacy są ci potomkowie Gosztowiców.

Julia oparła stopy o ścianę kominka. Potomkowie... nie Gosztowiców właściwie, Rachowiczów. Zastanawiała się sama, jacy oni właściwie są. Elżbieta sucha, Dominik ciekawy... Zaczęła opowiadać. Ominęła scenę łózkową, na którą napatoczyła się, buszując po kamienicy, ale podzieliła się z nimi tym niepokojącym uczuciem *déjà vu*, nierealną pewnością, że zna ten budynek tak, jakby kiedyś już tam była.

– To może naprawdę tam byłaś, mamik? – zastanowiła się Hanka. – Jesteś

pewna, że nie? Dość długo już żyjesz na tym świecie...

– Dziękuję ci moja kochana – kwaśno odpowiedziała Julia. – Bardzo długo żyję, ale nie byłam tam nigdy, chyba że we śnie.

– Albo w poprzednim wcieleniu! – zauważyła Balbina. Ponieważ powiedziała to zupełnie serio, Hanka wzniosła ręce ku niebu i uciekła do swojego pokoju, a Julia zaśmiała się szczerze.

– No chyba że tak – rzekła w zamyśleniu. – Tylko ja nie wierzę w reinkarnację ani w kłątwy. A z tym budynkiem wiąże się taka historia, że hej. Będzie ci się podobała, Balbi. Zrób mi ten swój świetny chiński masaż, a ja będę głośno czytać tę jego powieść, bo wszystko tu mamy opisane.

I Wspólnicy

Dwaj panowie w cylindrach, w surdutach, bo do osiemnastej jeszcze było daleko i nie czas na frak, przechadzali się zadowoleni po placu przy wąskiej ulicy w zachodnim przedmieściu. Satysfakcja malowała się na ich twarzach, stukali laskami w jakiś kamień, spoglądali na siebie z uśmiechem, wreszcie z ukłonem uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie. Młodszy, obdarzony blond lokami i takimiż bokobrodami, wskoczył do fiakra, który właśnie po niego podjechał, starszy, lecz wciąż w sile wieku, szatyn z jasnymi oczami obrócił się jeszcze wokół własnej osi, podrzucił i złapał laskę, po czym udał się piechotą w drugą stronę. Mężczyźni mieli nie byle jaki powód do radości. Byli współnikami w handlu już od kilku lat. Byli przyjaciółmi. Byli dobrze urodzeni i obaj byli dobrymi Polakami, i tęsknili za wolną ojczyzną, ale patriotyzm postrzegali jako budowanie majątku i wzmacnianie gospodarki kraju. Nie chcieli tracić życia w powstaniach. Dlatego stali się przedsiębiorcami, nie brzydzili się przemysłem, handlowali z zaborcami, układali się z Żydami i w roku pańskim 1882 byli bardzo bogatymi ludźmi. A że był to czas, gdy rozwijały się miasta, wiele budowano i solidność murów wydawała się ludziom miernikiem zamożności i bezpieczeństwa, postanowili wznieść własną kamienicę. Właśnie zawarli umowę z architektem i oglądali plac, na którym miała stanąć. Wieś to prawie, zwana Mokotowem, ale z pewnością miasto za parę lat wchłonie i te, póki co niedrogie, działki. Architekt, może nie na miarę Knaussa, ale bardzo polecany Austriak, Schatmeyer przedstawił im projekt budowli. Mówił o niej jak o ukochanej kobiecie. Miała to być piękna, modna kamienica. Cztery kondygnacje,

spiczasty dach, front o błękitnej elewacji. Schatmeyer miał doświadczenie, budował już w Wiedniu, w Pradze, w Krakowie, podobno nawet w Lizbonie – tam bowiem pobierał nauki. Zauroczył współników swoim pomysłem, „one są jak rodzina, panowie, jak piękne siostry, panny na wydaniu te moje domy” – prawil śpiewnym głosem z obcym akcentem, a wspomagał wypowiedź szerokimi gestami ręki.

– Panowie! Zachwycające, interes życia!

I dwaj panowie: Karol Wierzbicki, gadatliwy, energiczny fantasta, nieco zbyt rozrywkowy oraz Maurycy Groter, realista, nieco zbyt zasadniczy, uwierzyli mu, porozumieli się wzrokiem i podpisali dokumenty. Obaj byli przystojni: Karol wdziękiem psotnego chłopca, Maurycy, spokojnym spojrzeniem mężczyzny statecznego, godnego zaufania. Karol śmiał się często, Maurycy rzadko, ale po dokonanej transakcji, na myśl o pięknej siedzibie obaj śmiali się głośno i szczerze. Karol skierował fiakra w serce miasta, by świętować kontrakt w objęciach dam niezbyt wysokiego urodzenia i niezbyt ciężkich obyczajów w wesołym przybytku Grubej Franki, gdzie był stałym bywalcem. Maurycy zupełnie inaczej, w apartamencie nieopodal, w willi za karczmą w towarzystwie żony Klementyny, przy suto zastawionym stole, świecach, srebrach i kryształach. Mówili z małżonką mało, ale spotykali się wzrokiem, a oczy ich uśmiechały się do siebie, potwierdzając bliskość. Maurycy uwielbiał ciemne oczy Klementyny. W objęciach jej znalazł się później i chętnie, a marzył o tym już przy stole, patrząc na spadziste, białe ramiona i czarne włosy, białą kreskę przedziałka, pukle nad uszami, kolczyki z granatów i wschodnie oczy Odaliski pod ciężkimi powiekami. Bardzo kochał swoją żonę, cieszył się jej wzajemnością i marzył o chwili, w której wprowadzi ją do nowej kamienicy, dowodu potęgi spółki „Wierzbicki & Groter”. Klementyna była kobietą jego marzeń. Podziwiał ją, kiedy wstawiała od stołu, omiatając ogonem sukni dywan, podchodziła do niego, lekko pochylona do przodu, pełna wdzięku kładła dłoń na ramieniu, zasługiwała w jego oczach na pałac. Ale kamienica też była dobrym pomysłem: nowocześniejszym, modnym. Klementyna cieszyła się jego radością, pałac, dwór, kamienica było jej to obojętne. Zarządzała sumiennie i wzorowo majątkiem w zakresie obowiązków przynależących do kobiety, a majątek mieli niemały. Każdy poranek oznaczał dla niej szereg zadań, decyzje wydawane ochmistrzyni, menu, korespondencja, obchód. Doglądała tych, których trzeba było pilnować i tych, którym trzeba było pomóc.

Pochylała się nad każdym potrzebującym stworzeniem, pod jej dachem ani ubogie dziecko, ani zwierzę nie mogło być głodne. I w tym wszystkim najbardziej kochała swojego męża Maurycego. Szczęściem było, że się spotkali, iż od pierwszego tańca wiedzieli, że są dla siebie. Kiedy nikt ich nie mógł dostrzec, siadała mu czasem na kolanach, głaskała wąsy, czesała palcami ciemne loki i wzdychała: Maurice, byłabym taka szczęśliwa, gdyby... ty wiesz.

Wiedział: gdyby mieli dziecko. Ale to jedno nie udawało się Groterom. Kochali się, dziękowali rodzicom i Panu Bogu, że obie instancje łatwo wydały zgodę na ślub, wypełniali obowiązki małżeńskie gorliwie i niemal codziennie, a raczej „conocnie”, ale Klementyna nie zachodziła w ciążę.

„Poczekaj” – mówił Maurycy – „kiedy wprowadzimy się do własnej kamienicy, poczujesz, że masz rodzinny dom, salon, buduar i pokój dziecięcy, to z pewnością się uda. Pan Bóg da. My się tylko starać musimy”. Klementyna wierzyła mu we wszystko, więc także i w to. Na wieść, że budowa zacznie się już na wiosnę i ona klasnęła w dłonie, uradowała się ogromnie. I kiedy Karol, kilka przecznic dalej, rzucił na stół zwitek rubli, pił i wirował z jakąś kuso ubraną tancerką i krzyczał: „u-ha!”, Maurycy całował dłonie żony, podał jej ramię i poprowadził do sypialni, by kochać się z nią, pieścić jej ciało i opowiadać o kamienicy.

– Schatmeyer twierdzi, że jego kamienice wszędy budowane zważ się Tamira, ale chcę naszą nazwać Klementyną – powiedział siadając na brzegu łoża z baldachimem, rozpinając kamizelkę. – Myślę, że Karol nie będzie protestował. Wielbi cię przecież jak ja, a kto by nie wielbił... Na fasadzie wmurujemy taki napis: Klementyna 1888, na cześć pani mojego życia. Architekt da radę w sześć lat, obiecał.

Pani jego życia, w samych już pantalonach, koronkach, bosa, poprosiła, by rozpiął jej gorset. Czynił to nabożnie, jakby rozpakowywał cenny i kruchy prezent. Gorset opadał na ziemię, małżonkowie opadali na łoże i naprawdę mogli sobie życzyć tylko potomstwa, bo bardzo sumiennie się o nie starali.

Czego zaś życzył sobie Karol, król życia, zasypiający z pijaną głową w piersiach damy o wątpliwej reputacji, w jej pokoju nad hotelem z restauracją? Miał mnóstwo zapału, odzyskał nawet wigor, zwłaszcza gdy dama wylała na swój biust i głowę Karola pół butli szampana. Spazmatycznie śmiała się i unosiła ręce, kiedy ten wariat zębami szarpał dekolt sukienki i odgryzał guziki.

– Fifi! – krzyczał pijany Karol – Fifi, będę panem kamienicy jak jakiś książkę.

Fifi chichotała i ciągnęła go na siebie, a on ochoczo podejmował wyzwanie. Też miał wszystko. I też miał jedno niespełnione pragnienie, głupie, takie, które nigdy nie mogło się ziścić. Kochał, chociaż nie było mu wolno. Kochał nad życie żonę najbliższego przyjaciela i wiernego współnika. Jego marzeniem było wziąć ją w ramiona, ale oczywiście nie zachowywałby się jak wobec tej prostej Fifi. Zachowałby się jak... ale nie było o czym mówić. Klementyna Groterowa musiała pozostać tylko damą jego serca, jak muza średniowiecznego rycerza, nieosiągalna. Skreślona. Naprawdę przyjaźnił się z Maurycym, a ona naprawdę kochała męża. Więc cóż? Obnażył swoją wzniosłą męskość i z pasją rzucił się między spódnice i pończochy zwariowanej Fifi, znanej w dzielnicy prostytutki z fantazją. Także z tego, że była zdrowa, no i jako jedyna we fraucymerze Grubej Franki miała ciekawe, ciemne oczy, pod ciężkimi powiekami.

– No, no, no! – Balbina dawno przerwała masaż i zasłuchana śmiała się szczerze. – Czy ty na pewno czytasz o zdarzeniach sprzed ponad stu lat?

– A co ty myślisz? Że ludzie wtedy płodzili się przez zapylenie? – Julia poczuła rumieniec od tej lektury, a może na wspomnienie autora. – Ale przyznam, że zaskakuje mnie cały ten Dominik. Dobrze pisze. Skąd u licha wie to wszystko?

– Z opowieści rodzinnych zapewne, jeśli chodzi o ludzi i zdarzenia, a co w duszy i w alkowie to sobie dośpiewa. Ma facet wyobraźnię.

– Tak. Dla sądu żaden materiał. Tylko do poduszki. Popatrzmy lepiej na te skany dokumentów, Balbino. Co my tutaj mamy? Akty własności, odpisy z parafii – ale wszystko już z początku XX wieku. Co wcześniej? Co z Maurycym i Klementyną, mieli w końcu dzieci?

– Pewnie odpowiedź jest tutaj – odrzekła Balbina, wskazując na wydruk powieści. – Ale ja z żalem muszę cię opuścić. Mam dziś jeszcze spotkanie, i to firmowe... Błagam, nie czytaj dalej sama, przyjdę jutro wieczorem.

Julia skinęła głową. I ona nie miała już czasu na czytanie niepublikowanych powieści. Musiała jeszcze przejrzeć umowę z rodzinami Rachowiczów i Dymiszów, bo spotykali się nazajutrz, by ostatecznie wszystko podpisać. A na myśl o zaliczce Julia uśmiechnęła się do siebie. Trzydzieści tysięcy,

a w przypadku wygranej dobry procent od wartości... Tę część swojej pracy uwielbiała.

*

W kancelarii przy Żurawiej zapanował wzmożony ruch i nerwowa atmosfera. Mecenas Julia Minejko, ogólnie lubiana przez zespół, ładna, spokojna i rozważna, miewała czasem napady energii, ogarniał ją dziki zapał do pracy i wymagała od wszystkich totalnego zaangażowania. Działo się to zwykle, gdy złapała wyjątkowo ciekawą albo opłacalną sprawę. Ta którą przyniosła dzisiaj do kancelarii, była i ciekawa, i opłacalna. Rzuciła dwie teczki dokumentów na stół i poinformowała ich podnieconym głosem: „kamienica Gosztowica”.

– To nie jest ten gmach, o którym mówią, że przeklęty? – Arek Precel, chudy i długi nad miarę prawnik, z rudawą, starannie ułożoną fryzurą, w okrągłych okularkach na nosie, stał oparty o ścianę z kubkiem herbaty w ręku. Arek nie lubił siedzących narad.

– Nie gmach przeklęty, tylko ludzie – powiedziała stażystka Miłka, jasnowłosa, niepozorna absolwentka prawa, jeszcze przed aplikacją – słyszałam tę historię, pełna trupów, zgony tragiczne, zawsze jakoś dziwnie i to kobiety tam giną. Ale budynek przetrwał II wojnę, jako nieliczny w tym mieście, to raczej fart niż klątwa.

– Klątwy nas nie interesują, tylko prawo własności – ucięła Julia. – Gmach przetrwał wojnę, a co ciekawe także jego księga wieczysta. Odnalazła się wśród tych odebranych Niemcom w Budziszynie, niesamowite, co? Pomyślcie młodzi, pięć wagonów dokumentów, hipotek mazowieckich nieruchomości! Niemcy wieźli je do budziszyńskiej fabryki papierów, żeby zniszczyć. Odnalezione w 1946, uratowane tysiące akt, a wśród nich nasza – to znaczy księga hipoteczna kamienicy przy Tołłoczki 2. Przy pierwszym postępowaniu sąd uznał akt notarialny potwierdzający własność Krystyny Gosztowicowej secundo voto Rachowicz, potem dokumenty potwierdzające prawo potomków do budynku. Sporo wiemy, ale wciąż za mało. Jak weszli w posiadanie domu? Czemu przed trzema laty nasza klientka, pani Elżbieta Rachowicz, walczyła tylko o jedno – mieszkanie? Na co czekała? Coś mi tu śmierdzi krótko mówiąc. Czyli?

– To co szefowa lubi najbardziej – mruknął Arek – własne śledztwo.

– Tak. I oczywiście dokładny *research*, sprawdzamy ludzi i dokumenty, musimy przeszukać wszystko, co się da. Miłka sprawdza archiwum państwowe, zajrzyj no, dziewczyno, do Archiwum Głównego Akt Dawnych, to prawdziwe skarby. Akta jeszcze z zaborów mogą być dla nas najcenniejsze. Sprawdź też we wszystkich naszych kanałach nazwiska: Wierzbicki Karol, Groter Maurycy, nie pytaj dlaczego. Chcę wiedzieć, jak zmarli i gdzie są ich groby. Arek, ty, kochany, przeszukasz ziemię i kosmos na temat architekta Schatmeyera. Gdzie się urodził, kształcił, gdzie zmarł, co robił po wykończeniu kamienicy. Jakąś następną może? I jeszcze dla ciebie rodzinka Gosztowica, czy nie mamy tam gdzieś trupa w szafie, potomka hrabiego z pierwszego małżeństwa, albo i bez małżeństwa. Prawa Rachowiczów do spadku po babce Krystynie wydają się bezsporne, ale... Grześ, a ty co, śpisz?

Grześ, najmłodszy, niewysoki, ruchliwy brunecik, także absolwent prawa zatrudniony u Julii, uśmiechnął się rozbijając do szefowej, błysnął spojrzaniem znad okularów i bardzo białym błyskiem zębów w uśmiechu.

– Ja jak mówiłem najbardziej lubię rozwody...

– Zapewniam cię, że rozwód to nic ciekawego – mruknęła Julia – zwłaszcza własny. Ty bierzesz dokumenty nieruchomości do analizy, składaj wnioski o zwrot do ratusza, a, i zbadaj w sądzie akta z poprzedniego procesu pani Elżbiety, i w ogóle naszych klientów: Rachowiczów i Dymkę pod lupę. Dyskretnie, bo zaraz przyjdą podpisać umowę. Przejrzałeś Arek, jeszcze raz?

– Tak, chociaż nie wiem po co. Wszystko jak zawsze. Zostajemy ich pełnomocnikami... ale, Julio...

– Co?

– A jeśli u naszych klientów coś śmierdzi, to co?

– To będziemy mieć kłopot natury etycznej – zamyśliła się Julia – ale najpierw sprawdzmy wszystko co możliwe. Zobowiązujemy się do pomocy w odzyskaniu kamienicy, a nie ukryciu zabójstwa, u licha.

– Pani mecenas, bardzo przepraszam – sekretarka Anetka zajrzała przez drzwi – ale dzwoni ta pani od sporu rodzinnego o działkę.

– Cholera – Julia przygryzła wargę – jeszcze to. Arek, dasz radę samodzielnie?

– No pewnie – odparł Arek, targając grzywkę – przedszkolak dałby radę. Trzeba ich spotkać i doprowadzić do ugody. Z największym szacunkiem dla sprytu i urody naszej klientki, druga strona ma prawa jak byk.

– O?! – Julia była zawiedziona. Nie lubiła przegrywać. – I w żaden sposób nie można ich podważyć?

– Nie, pani mecenas – uśmiechnął się Arek – ale dogadają się. Obiecuję jako supermediator.

– No dobrze – Julia nie miała teraz głowy do działki w Urlach nad Liwcem, o którą młoda wnuczka zmarłego właściciela sądziła się z jego dwiema siostrami starymi jak egipskie sarkofagi.

– Dobrze, to idź porozmawiaj, a ty, Anetka dawaj mi tu papiery, jeszcze zanim przyjdą klienci. I wracaj zaraz, Arek chcę wiedzieć, co sądzisz o pani Elżbiecie Rachowicz i Dominiku Dymszy. Miłka i Grześ do roboty, w miasto, w miasto.

Patrzyła na nich, kiedy wychodzili – dwójka drobnych młodych ludzi, poszturchujących się w żartach, i na dryblasza Arka, który miał wygląd raczej naukowca niż prawnika i zbierał szklanki ze stołu. Precel. Ten chłopak miał wszystko za długie. Precel – twierdził, że od precyzji, nie od ciastka... Uśmiechnęła się do siebie. Mało kto, patrząc na grupkę jej pomocników, przypuściłby, że ma do czynienia z niezwykle ludźmi. A Julia szukała długo i dobrała ich starannie. Zdążyła sprawdzić, każde z nich poza wysoką inteligencją i znakomitą wiedzą mogło poszczycić się dodatkowymi zdolnościami, które zaskakująco przydawały się w pracy. Miłka chciała kiedyś studiować medycynę, nie wyszło, ale jej pasją pozostały kwestie związane z ciałem, chorobami, a jeśli chodzi o medycynę sądową, wręcz mogła być biegłym. Wiedza Miłki o lekach i truciznach wykraczała czasem poza racjonalną farmakologię. Grześ pasjonował się jubilerstwem. Miał w jednym palcu historię złotnictwa, znał się na biżuterii. Nieobce mu były niesamowite dzieje klejnotów, a już szczególnie pasjonowała się aferami dotyczącymi brylantów. Znał też szamańską moc minerałów, wierzył czy nie, był żywym leksykonem wiedzy o właściwościach leczniczych i magicznych szlachetnych kamieni. Arek skończył też architekturę, był genialnym matematykiem, pasjonatem starych pojazdów. Niby najmniej istotny temat, stare domy i dyliżanse, ale miał tak zwanego nosa do miejsc i ludzi. Miała naprawdę bardzo dobrą brygadę, a i sama nie była przeciętną prawniczką. Mecenas Julia Minejko oprócz doskonałej znajomości prawa, doświadczenia i woli walki miała jeszcze coś: ponadprzeciętnie rozwiniętą intuicję. Dzięki niej nieraz szybciej docierała do istoty rzeczy. Tym razem intuicja podpowiadała jej, że w pozornie idealnej układance dotyczącej własności kamienicy przy placu

Tołłoczki brakuje jakiegoś elementu, oby jednego. Usłyszała domofon, zaraz Anetka wprowadzi do gabinetu panią Elżbietę i pana Dymkę. Julia bezwiednie poprawiła włosy, zwinięte w urzędowy, gładki kok banan, poprawiła żakiet i chciała podopinać guziki bluzki, ale pozostawiła je w niedopowiedzianym nieładzie. Arek już był z powrotem, udał, że tego nie widzi, przywołał na twarz uśmiech przeznaczony dla dobrych klientów i zaciekawiony witał w drzwiach zadbaną starszą panią Elę i energicznego sympatycznego Dominika.

Julia przedstawiła im Arka, Anetka wniosła kawę, herbatę i wodę, po czym znikła. Podpisanie dokumentów odbyło się gładko, nawet dociekliwy Dominik nie miał wielu pytań. Zerkał na panią mecenas, niedopięty guzik ściągał jego wzrok silniej niż paragrafy umowy, patrzył na ruchliwe, mocno pomalowane usta, mówiła i mówiła... Julia raz jeszcze wyjaśniła tryb postępowania: skoro wyczerpano drogę administracyjną, pozostał nam sąd. Potrzebny będzie akt własności, poświadczenie praw do dziedziczenia, wszystko co pani Elżbieta powinna już znać, bo wszak dochodziła już mieszkania i to z sukcesem. Oczywiście wszystkie dokumenty będzie składać kancelaria, państwo nie muszą niczego załatwiać, właśnie podpisaliście odpowiednie pełnomocnictwa. Poprosimy tylko o dostęp do aktów notarialnych, obecność na rozprawach w przyszłości, bo na pewno do nich dojdzie, i wszelką wiedzę... „Może to dobry moment, by spytać, czemu trzy lata temu pani Elżbieta Rachowicz uzyskała prawa tylko do mieszkania na trzecim piętrze?” – pomyślała Julia.

– Tylko o nie wniosłam – wyjaśniła pani Elżbieta. – Dominik był wówczas daleko za granicą, nie mógł przyjechać, a wadium było ogromne. Nie mieliśmy wtedy pieniędzy. Tak mi doradził prawnik, no i słusznie, chociaż to mieszkanie odzyskałam.

– Nie podpisała pani przypadkiem żadnego zrzeczenia się roszczeń do reszty budynku? – wtrącił się Arek. Pani Ela popatrzyła na niego przestraszona.

– Wie pan, podpisywałam tyle papierów, że już sama nie wiem, ale chyba nie...

– Poprosimy o te papiery, wszystkie odpisy dotyczące sprawy, jakie pani ma – Julia uśmiechnęła się uspokajająco. – Nie martwmy się zawczasu. A pan, panie Dominiku, gdzie wówczas przebywał, jeśli to nie sekret?

– Nie, skąd. Można powiedzieć, że na drugim końcu świata, bo w Australii.

Rozwodziłem się, jeden wątek sądowy naprawdę mi wystarczył. Poza tym pisałem scenariusz serialu dla telewizji w Sydney. Jestem obywatelem świata, pani mecenas.

– A tutaj, teraz, gdzie pan mieszka? – zapytał ciekawie Arek. – Czy w kamienicy przy placu Tołłoczki?

– Och, uparł się – zaczęła pani Elżbieta – zapraszałam oczywiście, oferowałam własny pokój...

– Nie, nie – szybko odparł Dominik Dymśza – nie wracajmy do tego. Lubię samodzielność. Mam mieszkanie na Starym Mieście, panie... aplikancie?

– Po prostu panie Arku – Julia uśmiechnęła się jeszcze raz. – Pan Precel jest już po aplikacji, więc tak będzie prościej. To moja prawa ręka, bardzo wnikliwy młody prawnik.

– Właśnie widzę – rzekł Dominik, a Arek ukłonił się grzecznie.

– W takim razie – dodał wnikliwy dryblas – niech mi wolno będzie spytać, pan już na stałe w Polsce, w tym mieszkaniu na Starówce?

– Na stałe mieszkam w Londynie. Jestem pisarzem anglojęzycznym, panie Arku – odpowiedział Dymśza, oddając ukłon i znów zerkając na rozpięcie w bluzce Julii. – Well, niech mi będzie wolno zmienić temat. Czy zerknęła pani do mojej książki?

– O tak! Świetnie pan pisze i w ogóle, z trudem się oderwałam, te postacie, nastrój. Panie Dominiku, skąd źródła? Skąd pomysł?

– Dominik odziedziczył zapiski swojej babki – odpowiedziała za niego pani Elżbieta. – Ciotka Klara Dymśzowa była trochę szalona. Zdziwaczała po tym powstaniu, z tęsknoty do kraju. Miała hopla na tle rodzinnych historii. Spisała, co jej opowiedziała matka, a ta pewno słyszała od ojca.

– Babcia Klara była cudowną kobietą Elu – skarcił kuzynkę Dominik – nawet jeśli trochę fantazjowała. Nie mogła przeboleć, że w powstaniu przepadły wszelkie albumy i zdjęcia rodzinne. Ona mieszkała w tej kamienicy przed wojną, a potem całe życie w Londynie, tam wychowała mojego ojca, tam urodziłem się ja...

– A to stąd lekki akcent – Julia popatrzyła na Dominika – tak wyczułam. Ale i tak doskonale pan mówi, a pisze pan po polsku znakomicie.

– Rzadko – odrzekł Dominik – właściwie tylko to, ale dziękuję. Poza tym jestem historykiem, umiem grzebać w starych dokumentach... i pochlebiam sobie, że mam wybujałą wyobraźnię.

Julia zapragnęła zapytać go jeszcze o syna, gdzie mieszka, czy z matką?

Czemu się rozwiedli? Czy jak ona bez orzekania o winę, a tak naprawdę z ogromnym poczuciem krzywdy i upokorzenia? Kto tam zdradził? Zrozumiała jednak, że te pytania są zupełnie nie na miejscu, nie dotyczą tematu i są prywatną sprawą jej klienta. Rozłożyła ręce jak osoba zamykająca obrady.

– A zatem – powiedziała – na tę chwilę to wszystko. Mamy co czytać, ja zresztą odwiedzę panią, pani Elu, by przeanalizować pozostałe akta. Czy pozwolicie się państwo zaprosić na lunch? Mamy taki zwyczaj w kancelarii, a kapitalną restaurację indyjską tuż za rogiem. Niech to będzie dobry omen dla naszej sprawy.

Elżbieta Rachowicz skinęła głową, była głodna po długim zebraniu i lubiła egzotyczną kuchnię. Dymsza tym razem nie patrzył w dekolt Julii, lecz przeniósł wzrok na zegarek.

– Well – powiedział, wstając z krzesła – chętnie, mam wolne dwie godziny. Ale ja stawiam. Proszę – dodał z naciskiem, kiedy Julia usiłowała protestować.

*

Wieczorem, w drodze do domu, utknęła w korku na wylotówce z miasta. Wyłączyła radio i przebiegała w myślach cały dzień, spotkanie w kancelarii, lunch, potem lato tego roku, a że korek ciągnął się aż do przedmieścia, zaczęła rozmyślać o całym swoim życiu. Zwykle potwornie ją irytowały samochody posuwające się jak żółwie, zwykle się spieszyła, ale nie tym razem. Hanka pojechała do ojca nad morze, Balbina dzwoniła, że nic dziś z czytania, bo ma kryzys w firmie, więc w domu czuwał tylko kot Ikarek. Dobrze się składało, bo Julia chciała porozmyślać, namacać swoje odczucia. Były bowiem bardzo mieszane: podniecenie mieszało się z lękiem, fascynacja z nieufnością.

Lunch przebiegł w znakomitej atmosferze. Dominik okazał się ciekawym gawędziarzem, opowiadał tak jak pisał: żywo, z dowcipem, umiał budować nastrój. Chyba trochę ją adorował, mówił głównie do niej, nalewał wodę, ale wobec swojej kuzynki Eli był również szarmancki, wręcz nadskakujący. Pani Elżbieta wciąż odwoływała się do córki Betty, w końcu Julia wyobraziła sobie tę kobietę jako sztywną, wszechwiedzącą angielską starą pannę w okularach. Miss Betty, jeśli faktycznie wysłuchiwała tyłu pouczeń matki, musiała wiedzieć o świecie wszystko i pewnie umiała znaleźć się w każdej

sytuacji. Nawet Arek, zwykle powściągliwy wobec klientów, dał się wciągnąć w rozmowę, ciekawy życia w Australii i w Anglii. Okazało się, że Dominik uwielbia stare lokomotywy, a stare pociągi także należały do pojazdów, więc wchodziły w zakres zainteresowań Arka. Marzył o tym, by zwiedzić National Railway Museum, a Dominik znał je dobrze, opowiadał o eksponatach, także o innych placówkach z pociągami retro. Czy ten człowiek znał się na wszystkim? Z czego właściwie żył, z pisarstwa? Co już wydał? Nie zadała mu tego pytania, chociaż ciekawość paliła ją żywym ogniem. Interesował ją więcej niżby chciała. A po lunchu, gdy szła z Arkiem do kancelarii, zapytała go o odczucia.

– Well, coś tu nie gra, ale facet leci na ciebie... – odpowiedział.

Darowała mu tę złośliwość z „well” – że „coś nie gra” sama wyczuwała, więc skupiła się na tej drugiej, przyjemnej uwadze. Czy rzeczywiście?

Zerkał na nią, gdy sądził, że tego nie widzi. Dopytywał co lubi, krzywił się na zieloną herbatę i niegazowaną wodę z cytryną, skąd mógł wiedzieć, że ma przyjaciółkę zwariowaną na tle zdrowego żywienia. Balbina, fanka kultury Wschodu, rozsmakowała ją w herbatach, kielkach i ziołach. Dominik proponował wino, ale odmówiła, wracała do domu samochodem, poza tym na służbowych spotkaniach wołała nie pić alkoholu. Skomplementował jej uśmiech, jak to powiedział: Pani Julio, taki uśmiech to najlepszy argument. A uśmiechała się często, bo sypał żartami, ona zaś wiedziała, że ma ładne usta, zachęcające do pocałunku. Nawet były mąż jej to mówił: „masz coś takiego sexy w uśmiechu”. Jak widać za mało, żeby uratować małżeństwo. Wspomniała byłego męża, mimo upływu lat wspomnienie zabolowało. Jakże banalna była to historia. Właściwie wszystko było nieciekawe od początku. Poznała Marka na studiach, na jednej z imprez w akademiku. Trafił do prawników przypadkowo, bo studiował architekturę. Był przystojny i wygadany, wpadła mu w oko, zaproponował kawę, potem spacer, na spacerze dała się pocałować, i uznała, że są parą. Tylko Balbina już wtedy twierdziła, iż nie współtworzą razem dobrej aury. Wkrótce zamieszkali razem, a kiedy zaczęli pracę, nastąpiły akurat czasy dobre dla ludzi operatywnych, więc oboje ruszyli w dorosły świat budować swoje kariery i zarabiać pieniądze. Ile mieli zabawy z nowych pomysłów, potrafili sobie doradzać, ona w kwestii wystroju wnętrza, on w dziedzinie porad prawnych.

„Gdzie u licha zaczęło się to psuć?” – myślała teraz. „Byliśmy sobie tak bliscy. Jak najlepsi przyjaciele. A może przyjaciele nie powinni ze sobą

sypiać? A może oni sypiali ze sobą zbyt przyjacielsko?”.

Bo jeśli chodzi o seks, to Julia była rozczarowana małżeństwem. Wszystko w życiu traktowała zadaniowo i bardzo serio, więc także i to. Kiedy kochali się z Markiem pierwszy raz, była bardzo przejęta, przygotowana, aktywna, a potem zdziwiona, że to tylko tyle. Po znaczących urywanych opowieściach koleżanek, książkach opisujących trzęsienia ziemi? Prawdę mówiąc, nie czuła nic, trochę bolały ją nazajutrz otarcia w intymnych miejscach. Była to raczej duchowa inicjacja niż cielesna, bo jedyną satysfakcję sprawiała jej myśl, że stała się teraz prawdziwą kobietą, wtajemniczoną, pożądaną przez kogoś. Brak przyjemności, o której tak szeroko niosła wieść i relacje koleżanek, złożyła na karb pierwszego razu. Za drugim, trzecim i kolejnym było tak samo z niewielkimi różnicami w czasie i pozycjach. Ale Julia młoda, zakochana, wówczas studentka, uznała, iż tak to jest i w ogóle w życiu nie jest najważniejszy seks, liczy się, że tak bardzo kocha męża, a on ją. Opowieści koleżanek, literaturę i filmy uznała za fantazje, doszła do wniosku, że wszyscy koloryzują i przesadzają z tymi orgazmami, a nie miała z kim o tym porozmawiać. Po jakimś czasie zresztą nauczyła się czerpać pewną przyjemność z samego faktu współżycia z mężczyzną, natura czyniła swoje, więc nawet miewała ochotę na seks, chociaż bez fajerwerków. Była osobą bardzo obowiązkową i nie wiadomo skąd przyszło jej do głowy, że po ślubie należy „to robić” codziennie, więc każdego wieczoru była przygotowana, wykąpana, głodziutka, pachnąca i czekała na Marka pod kołdrą w łatwych do zdejmowania koszulkach. Przeczytała w poradnikach, że w osiągnięciu rozkoszy pomaga czasem podłożenie poduszki pod plecy, ale wstydziła się zaproponować coś takiego swojemu mężowi, którego wielbiła, i chciała być z nim do końca życia. Jakże inną osobą była wtedy. Teraz, po latach, nie mogła się nadziwić własnej głupocie. Jak mogła nie zauważyć, że nie ma w ich pożyciu ani ognia, ani humoru, ani prawdziwego pożądania. Jak mogła myśleć, że tak właśnie ma być. Marek też chyba myślał, że trzeba codziennie, i całkiem chętny wsuwał się pod kołdrę, gasił światło. Najczęściej chwilę masował jej piersi, w tym czasie kładł jej dłoń na swoim członku, by też go pomasowała, bo to go podniecało niezawodnie, po czym wsuwał się w nią, poruszał się do skutku, czyli dość krótko. A po wszystkim całował ją w policzek, mówił dobranoc i zasypiał. Urozmaicał czasem seks małżeński unosząc jej nogi ku górze albo kochając się w pozycji na łyżeczki, ale nie potrafił doprowadzić jej do prawdziwego orgazmu. Żadne z nich nie rozpaczało, kiedy trzeba było

seksu małżeńskiego zaprzestać, bo okazało się, że Julia jest w ciąży. Dla niej było to oczywiste, iż nie można uprawiać seksu z dzieckiem w brzuchu, była przekonana, że wszystkie kobiety od chwili, gdy dowiadują się o ciąży, zaprzestają małżeńskich obowiązków. Marek też jakoś nie nalegał, bał się może albo znudził, a jej nie przyszło do głowy, że może mu tego brakować. Przecież duchowo też w pewnym sensie był w ciąży, jako jej mąż, jako ojciec dziecka. Była wtedy tak szczęśliwa, że teraz, wspominając, poczuła łzy na policzku. Zaczynali budowę domu. Marek jako architekt sporo zarabiał. Zdecydowała się porzucić karierę adwokacką i wychowywać Hanę, prowadzić dom doskonały. Ogarniała niemało: budowę, przyjęcia, bankiety, działkę, przedszkole, potem szkołę Hani, a ponieważ bardzo źle przeżyła poród, zabezpieczyła się porządnie przed drugą ciążą. Zgodnie z poradnikami po trzech miesiącach po porodzie można powrócić do współżycia, więc równo trzy miesiące od urodzin Hani leżała w sypialni gotowa i czekała na Marka. Myślała tylko, jak mu powiedzieć, żeby nie dotykał jej piersi, bo karmi, żadne słowa instrukcji nie przechodziły jej przez gardło. Na szczęście sam nie miał ochoty na masaż pełnych mleka sutków, spytał tylko: na pewno już można? Skinęła głową zarumieniona, trochę mimo wszystko ubodło ją, że nie wyglądał na szalenie stęsknionego. Ale Julia i tak myślała, że są cudownym małżeństwem. Cały ten czas przyjaźniła się z Balbiną, która czasem patrzyła na nią uważnie i pytała, czy na pewno jest ci z nim dobrze? Julia oburzała się wtedy.

– A te sprawy, no wiesz – pytała Balbina, oczami znacząco pokazując na wzgórek łonowy.

– Pewnie, że tak.

Zresztą żadna lojalna żona nie opowiada o tym, co w alkowie. Balbina kiwała głową. Z pewnością Julia i Marek stanowili wzór małżeństwa. Ale kiedy Hania poszła do szkoły, Balbina namówiła przyjaciółkę, by wróciła do zawodu. Założyły spółkę adwokacką, krótko to trwało, bo Julia zaczęła specjalizować się w odzyskiwaniu nieruchomości, a Balbina dostała propozycję przewodzenia w zarządzie pewnej spółki. Rozdzieliły się zawodowo, ale pozostały przyjaciółkami i to Balbina pomagała jej tak bardzo, gdy nastąpił krach wyobrażeń o szczęściu małżeńskim. Nadal banał, zepsute auto, nieplanowany powrót do domu, w którym miało nikogo nie być. Samochód popsuł się jej przed kancelarią, zawołała taksówkę, bo bardzo spieszyła się na spotkanie z klientem, a zapomniała zabrać dokumentów ze

swojego biurka. Poprosiła taksówkarza, by poczekał. Już od drzwi poczuła się nieswojo, jakby ktoś był w jej domu. Ktoś był, rzeczywiście, słyszała szmery i stękanie. Złodzieje, mordercy, pomyślała, ktoś ranny chyba, bo jęczy, chwyciła za parasolkę. Kocim krokiem posuwała się od drzwi do drzwi, ku sypialni, i tam ich zobaczyła: Marka ujeżdżającego z pasją białe pulchne ciało pojękującej rozkosznie kobiety. Utkwiły jej w pamięci rozrzucone, ruszające się rytmicznie piersi, chichot, stęknięcia, jakieś „jeszcze jeszcze”, i pośladki swojego męża. Ponieważ jako małżonkowie byli skromni i nie chodzili nago po sypialni, to właściwie ich nie widywała. Stała tak jak wmurowana i przyglądała się tym tańczącym biodrom i pośladkom, aż spotkała wzrok kobiety. Znała ją dobrze, Iga, ponętna blondynka, pracowała z Markiem w biurze projektów. Krzyknęła teraz, ale nie z rozkoszy, lecz ze strachu przed parasolką. Marek jakoś się w nią zapadł, odwrócił i syknął: „wyjdź stąd, Jula”. Jula opuściła parasolkę, zaczęła coś krzyczeć, rzuciła w nich butami Marka, ale wreszcie wyszła, i rozplakała się w taksówce. Pozostała jej satysfakcja, że popsowała im finał. Doznała olśnienia: sypiał z innymi kobietami. Ich seks nie był satysfakcjonujący tak samo dla niego jak dla niej. Dlaczego nie próbował tego zmienić? Polepszyć pożycia z własną żoną? Czy jej nie kochał, czy tak po prostu uporządkował sobie życie? Jeszcze teraz wspominając te okropne dni i tygodnie zagryzała wargi. Było jej wstyd, że była naiwną, niewydurowaną kobietą mimo trzydziestu paru lat. Że tak go kochała, a teraz nagle zniechęciła. Nie mogła mu darować swojej głupoty, bardziej niż zdrady.

Ktoś trąbił z tyłu, zagapiła się, nie zauważyła, że korek trochę poluzował. Oto do czego zeszyły jej myśli, od ponętnej Dominiki do wspomnienia o własnym nieudanym małżeństwie. A przecież wydobyła się z tego. Nie uległa błaganiom i obietnicom Marka, dojrzała w kilka miesięcy. Zmieniła się, nabrała pewności siebie i zbudowała wizerunek skutecznej prawniczki, w czym bardzo pomogła jej Balbina. Rozwód przeprowadziła błyskawicznie i jedyny kontakt, jaki utrzymywała z mężem, to bezlitosne egzekwowanie alimentów. Ha! Na próby z mężczyznami nie miała ochoty lub odwagi, ale odkrycie Internetu, sex shopów, gazet i filmów dla dorosłych, dowodziło jawnie, że seks to znacznie ciekawsza historia niż jej dotychczasowe doświadczenia. Czy, gdyby Dominik nie był jej klientem, chciałaby spróbować? Wjeżdżając w bramę, powiedziała do siebie: Julia, czyś ty słyszała, żeby kobieta odkryła seks i namiętność po czterdziestym drugim roku

życia? Miałaś swoje pięć minut, spieszyłaś, ale masz córkę, przyjaciółkę i kota, teraz praca, praca i pieniądze, ot co!

Przecież wjeżdżała w tę bramę zupełnie inna kobieta niż niegdysiejsza żona Marka: zdecydowana, ekspertka w prawie własności, operująca biegle trzema językami, sprytna, bezkompromisowa właścicielka kancelarii prawnej. Potrafiła wygrać najtrudniejsze sprawy, wyszarpnąć dla klientów tak dwór, jak i barak. Ciemne włosy rozsypały się z upięcia, kiedy oparła głowę o kierownicę. Atrakcyjna i wciąż ponętna, tyle że o tym musiałby jej ktoś powiedzieć.

*

Zespół „Minejko i S-ka” zebrał się koło południa w kancelarii, by zdać szefowej raport ze swoich dokonań i uzyskanych informacji. Nie wszystko układało się tak, jak chcieliby jej uroczy klienci. Arek miał ogląd całości, więc referował.

– No to tak, zaczynam od pozytywów. Mamy wniosek klientów o zwrot budynku przy obecnej lokalizacji plac księcia Tołłoczki 2, bezprawnie odebranego rodzinie Rachowiczów, złożone gdzie trzeba, czyli w ratuszu, w biurze do spraw nieruchomości. Drugie: decyzja o przejęciu mienia przez Skarb Państwa także bezsporna, dom Gosztowica objęty był dekretem Bieruta. Z poświadczeniem praw do dziedziczenia żadnych problemów. Po Krystynie Rachowicz dziedziczą dzieci: Feliks Rachowicz i Klara Dymiszowa. Po Feliksie syn Antoni, po nim żona – nasza Elżbieta Rachowicz, no i ich córka Betty. Po Klarze jej syn, a po nim jego syn, czyli nasz pan Dominik Dymisz. Dokumenty sądowe potwierdzające, że nasi klienci są jedynymi spadkobiercami zmarłych złożone razem z wnioskiem. Dotąd czysto, czyściutko.

– Gdzie kibel?

– W akcie własności. Nie jest do końca jasne, czy nasi klienci są jedynymi spadkobiercami, bo Krystyna Rachowicz potrzebowała kasy i obciążyła hipotekę przed wojną.

– Przekopałem dokumenty budynku – włączył się Grześ – i dobra wiadomość jest taka, że wszyscy obecni mieszkańcy wynajmują lokale, nikt nie powinien ubiegać się o prawo do własności. Jedynie mały zakład

krawiecki na parterze jest tam od wojny chyba, mógłby próbować zasiedzenia prawa użytkowania wieczystego, ale wątpię, czy im to przyjdzie do głowy. Tak więc kamienica poza mieszkaniem pani Elżbiety należy do Skarbu Państwa. Pani Elżbieta natomiast po uzyskaniu prawa do mieszkania numer 7 na trzecim piętrze, co zrobiła? Przeprowadziła odrębną własność lokalu i założyła dla niej oddzielną księgę wieczystą.

– U ła! To mamy dwie księgi? – Julia zmarszczyła brwi.

– Właściwie trzy – cicho dodała Miłka, znalazłam też starą, zamkniętą wśród akt dawnych.

Julia obróciła się ku niej gwałtownie. Jak to zamknięta? Księgi dawne utworzone jeszcze przez zaborców, utrzymywały moc prawną do dziś, chyba że je zamknięto. Zamknąć księgę można było, gdy traciła zasadność, bo budynek już nie istniał, lub po przeniesieniu danych do księgi założonej od nowa. Budynek bezspornie istniał...

– Założyli nową księgę? Nowa władza?

– No tak, po wojnie, odcinając sanacyjnych właścicieli od majątku. Tymczasem babka Dominika, Klara Dymiszowa mieszkała tam jeszcze w czasie okupacji, właśnie w tym samym mieszkaniu, co teraz pani Elżbieta. Resztę przed wybuchem wojny wynajmowali, a połowę domu zajmowała bardzo bogata żydowska rodzina: Mojsze Szenkel z żoną i synem.

– No dobrze – Julia powoli porządkowała fakty, ale rozumowała szybko – kto był właścicielem przed wojną, w dniu wybuchu wojny i w 1945 według zamkniętej księgi? Krystyna Rachowicz, potem jej potomstwo? Kiedy ona zmarła?

– W 1938 roku – odpowiedział Grześ – jakby w przeczuciu wojny. Krystyna Rachowicz zmarła w swojej rodzinnej kamienicy jako kobieta zaledwie pięćdziesięcioletnia. Uroczysty pogrzeb uwieczniły ówczesne gazety, bo była znaną działaczką w kobiecych kołach pomocy. Zmarła „wskutek ciężkiej i niewyniszczanej choroby” zdaje się na raka, „pozostawiając w nieutulonym żalu dziedziców: córkę i syna”, Klarę i Adama, młodych dziedziców fortuny! Ale...

– Mam wątpliwości co do fortuny. – Miłka pomachała kserokopią wypisu z księgi dawnej. – Pani Krystyna nie była już wtedy jedyną panią tego domostwa. Figuruje jako „właścicielka do połowy” od roku 1925. Miała kłopoty finansowe. Chyba nie bardzo umiała gospodarować albo nie wiedziała, jak poskromić wydatki służby. W latach dwudziestych odsprzedała

połowę kamienicy Mojsze Szenkelowi i jeśli ktoś miał tu fortunę, to on. W dodatku wzięła kredyt z banku, na hipotekę swojej części, co widnieje w księdze dawnej.

Julia chwyciła się za głowę.

– Rety! Co z Szenkelami, ktoś żyje? A kredyt gdzie wzięła, jaki to był bank? Zaraz okaże się, że nasi zacni w ogóle nie mają prawa do chałupy. Coś jeszcze? Czy przynajmniej akt własności ojca Krystyny, kupca, jak mu tam było...

– Gromadzki Alojzy – odpowiedział uprzejmie Arek.

– Bezsporny?

– Tak. Księga założona została w roku pańskim 1888, po ukończeniu budowy. Pierwsza własność na dwa nazwiska: wspólnicy Wierzbicki i Groter. W roku 1892 już tylko rodzina Wierzbickich. A w 1897 – uwaga – do księgi wpisany zostaje nasz kupiec Alojzy Gromadzki.

– Uff!

– Uff. Sprzedający: Karol Wierzbicki z żoną Klementyną.

Julia drgnęła. Coś było nie tak, pomyłka z imieniem żony, Klementyna była żoną Maurycego. Za dużo znaków zapytania.

– Z tego wynika, że te prawa Gromadzkiego jednak są. Mógł dać kamienicę w posagu córce Krystynie, kiedy szła za Gosztowica – westchnęła. – Gosztowic chociaż umarł bezpotomnie? – zapytała z prośbą w głosie.

– Tak – odparła Miłka. – Jego majątek, a właściwie to kamienica przeszła z powrotem na żonę Krystynę.

– No to nasza! O ile dług zaciągnięty przez Krysię w dwudziestym piątym spleacony albo w wojnę szlak trafił bank... O ile nie żyją potomkowie Szenkelów... Czy nie sprawdzili tego wszystkiego, kiedy Elżbieta Rachowicz wystąpiła o mieszkanie?

– Myślę, że tak – odparł Arek – i dlatego ubiegała się tylko o nie. Dokument, że Klara Dymaszowa z domu Rachowicz mieszkała tam przed wojną i była właścicielką, miała przecież z archiwum ratusza. Tak to wygląda, jakby Ela wtedy w ogóle więcej nie chciała, tylko to mieszkanie na trzecim piętrze. A teraz rozczarowała się albo nie chce dzielić się nim z Dominikiem... Nie wiem. Ale chcą więcej. Chcą całego domu, paradoksalnie zwanego domem Gosztowica, a miał go facet tylko cztery lata. Już dłużej drugi mąż Krystyny, inżynier Lucjan Rachowicz. Ona posługiwała się tytułem do śmierci, może dlatego.

– Ale my zobowiązaliśmy się to przeprowadzić – zacisnęła usta Julia. – Kto, u diabła, naprawdę jest właścicielem domu?

– Ten, kogo wskaże dom – szepnęła Miłka – ja tam wierzę, że budynki mają swoją pamięć. Czasem najbardziej ukochają tego, kto je budował.

– Architekt Schatmeyer, budowniczy gmachu Chmiel, posadzki kładł słynny wówczas mistrz Marwil – Arek odczytywał swoje notatki. – Sięgnąłem do narodzin domu. Budowali go sześć lat, od 1882 do 1888. Koszta nieopowiedziane, oczywiście ponoszone przez pierwszych właścicieli: Spółkę Wierzbicki & Groter. Coś się jednak stało. Nie dotarłem co, wygląda na to, że tym feralnym rokiem był dla nich 1888. Nie zdążyłem też zrekonstruować późniejszych losów architekta.

– Szukałam tych ludzi, ale nie zdążyłam wiele – dorzuciła Miłka – nie wiem, gdzie są te groby, to znaczy Wierzbickiego, bo jakiegoś Maurycego Grotera mamy na Powązkach. Jest grób rodzinny w spisie, nie byłam osobiście. Ale sprawdzam dalej.

– Na razie złożyliśmy jako dowód własności ten sam akt, który złożyła Elżbieta Rachowicz.

– W porządku – orzekła Julia. – Pójdę do niej, przestudiuję ten i inne dokumenty. Miłka szukaj info o tej pierwszej spółce Wierzbicki & Groter. Zajrzyj może do Liber Copulatorum i Mortuorum w parafii. Zaślubiny i zgony związane z budynkiem. Arek, do architekta dochodzi ci budowniczy. Grzesiu, bierzesz żydowską rodzinę Szenkelów, to ważne, a ty, Arku, nieszczęsny dług bankowy.

– Co tam się mogło stać? – Miłka nie mogła sobie darować tego dramatycznego wątku. – W tym 1888. Trzy ósemki.

– Jeśli chodzi o numerologię, to mogę zapytać moją nawiedzoną przyjaciółkę – uśmiechnęła się Julia – a widzę się z nią dzisiaj.

Przypomniała sobie, że czytają dziś z Balbiną dalszy ciąg powieści. To tylko powieść, nie dokumentacja, ale może odpowiada na kilka zadanych tutaj pytań. Julia bardzo zapragnęła znaleźć się w domu i zagłębić w dziejach spisanych przez Dominika Dymśkę, zwłaszcza że kiedy czytała, słyszała w głowie jego spokojny, niski głos.

II Czas budowy

Kamienica rosła. W dwa lata powstał budynek w stanie surowym i gdyby

nie to, że prace zatrzymywano podczas srogiej zimy, pewnie wyrósłby wcześniej. Dach, wewnętrzne udogodnienia, bo Schatmeyer obiecywał cuda: oświetlenie elektryczne, wodę bieżącą w kuchni i toaletach, a nawet łazienkę, w niej wannę na zdobionych nóżkach, którą służąca wypełni ciepłą wodą ze ściany, nie z dzbanów noszonych z kuchni. Wykonawca prac, dyrektor budowy inżynier Chmiel bardzo się starał. Z dumą oglądał posadzki Marwila, człowiek zasłużył na swoją opinię: malachitowe i jasne kafle okrywały podłogi, aż żal kłaść dywany. Piece w narożnikach pomieszczeń dostały barwę zieloną, jak życzyła sobie pani Klementyna Groterowa, która regularnie odwiedzała z mężem plac budowy. Schatmeyer stwierdził, że ona mogłaby być architektem, oczywiście gdyby pobrała odpowiednie nauki, co było nie do pomyślenia, oczywiście, ale tak umiała wyobrazić sobie schody, poręcze, świeczniki, półpiętra... i objaśnić. Jak by nie była niewiastą. Sam tak nie umiał.

I następne lata minęły w ciężkiej pracy, aż wiosną roku 1888 przybyła na budowę Klementyna z panem Maurycym, bo już, już, jesienią chcieli się wprowadzać.

Pracownicy uśmiechali się z lekką drwiną, gdy uwolniła się na chwilę od ramienia męża, wbiegła na schody, a tren sukni płynął za nią po kilku stopniach. Zakręciła się jak w walcu na półpiętrze, przed ogromnym oknem i zawołała: Maurice, kochany, chodź zobacz, jaki tu jest widok, na pola mokotowskie, chociaż całkiem dzikie, jakie piękne! Mąż wbiegł za nią lekko, wyjrzał przez okno i roześmiał się, bo na dziedziniec wjeżdżał powóz Karola. Otworzyli na oścież okiennice, wyglądali oboje, machali do przyjaciela, który wylaził z powozu z bukietem kwiatów i z dumą patrzył na budynek. Właściwie pozostała do wykonania elewacja, a projekt zakładał przepiękną: w błękitach i złoconych gzymsach. Kamienica była swoistym bliźniakiem, oba segmenty miały część rodzinną, salon, sypialnię, dwa pokoje dziecinne, buduar i gabinet pana domu, a w części tylnej kuchnię, pralnię, garderoby i pomieszczenia dla służby.

– Ciekawe z kim to pan Karol zapełni swoje metraże? – sapła gniewnie tęga Wiktoryna, zatrudniona od niedawna przy pani Klementynie. Wspinała się po schodach mimo tuszy dość rażno, ale i tak Karol ją wyprzedził, przeskakując po dwa, trzy stopnie, a gdy dotarł do półpiętra, na którym czekali go Groterowie, padł przed Klementyną na kolana i wręczył jej bukiet róż wielki jak koło powozu.

– Klementyno, nie mogłem dłużej ukrywać, że wiem. Maurycy mi powiedział. Ja szczerzy chłopak jestem, cieszę się waszym szczęściem, jakby to mój dziedzic się szykował światu.

Klementyna czerwona jak te róże skryła twarz w dłoniach, a potem zaczęła karcić męża.

– Jak mogłeś, Maurice, jak mogłeś.

Maurycy jako drugi padł na kolana przed żoną.

– Nie wytrzymałem, wybacz gwiazdo moja, ale przed Karolem nie zdzierżył, musiało to szczęście się ze mnie wypsnąć... jak trunek z ciasnej beczki.

– Wczoraj mi powiedział, a ja spać nie mogłem, myślałem, jak to uczcić – Karol zerwał się, otrzepał kolana i podał rękę Maurycemu – i jedno mi tylko przyszło do głowy: legat ze swojej części kamienicy chcę uczynić waszemu dziecku. A tylko jedno mam marzenie, że to będzie Karolek, a jakby płci żeńskiej było, to dajcie na imię Karolina, po przyjacielu, co?

Klementyna zanurzyła twarz w kwiatach. Jakże pachniały. Jakże szczęśliwą była kobietą, że dane jej było kochać i być kochaną przez takiego mężczyznę jak Maurycy. Teraz dopełniło się absolutnie: nosiła jego dziecko pod sercem. I przyjaciela dał Pan Bóg szczerego, zapis majątku na dzieciątko wcale nie był jej niemiły.

– I tak chcieliśmy ciebie na chrzestnego prosić, ale bój się Boga, jeszcze nie znać nawet. To jesienią będzie dopiero. Że też musiałeś się wykazać niedyskrecją, miły.

– Jak się wprowadzimy, akurat – gromko krzyknął Maurycy, tak szczęśliwy, że biegalby po parku wokół domostw i ogłaszał. – Ojcem będę, ojcem! Nareszcie dał Bóg. Czy dziewczka, czy chłopaczek, to za jedno! Tylko Karolowi powiedziałem.

– Legat – powtarzam – legat dla Karolinki, mojej chrześnicy! Karolek też być może.

– Panowie, miejcie dla mnie litość, choćby przed służbą – skromnie rzekła Klementyna. Uśmiechnęła się jednak promiennie do obu i dodała – a ty, Karolu, legatami nie szafuj, bo sam musisz rodzinę założyć i obok nas zamieszkać. Tylko pozwól, a raz dwa cię wyswatam, piękny jesteś, dobry i bogaty, wśród samych moich przyjaciółek znajdę ci żonę jak malowanie. A choćby Anna z Cieszkowskich, śliczna jak obrazek, przychylna ci i majątna.

– Nie wolno brzemiennej kobiecie w swatkę się bawić – mruknęła Wiktoryna, która doczłapała się do nich nareszcie. Najęta została jako położna, bardzo doświadczona w ciążach i porodach, miała dbać o panią, patrzeć, czy dobrze jada, jak się czuje, czy wszystko przebiega prawidłowo. Wszystko w kontakcie z doktorem, ale przecież doktor to nie baba po pięciu porodach jak ona i ciągle być przy pacjentce nie może. A pan Maurycy chciał, żeby ktoś był ciągle.

– Właśnie – poparł ją Karol – nie wolno. A ja nie chcę się żenić jeszcze, niech się waszym szczęściem nacieszę. O majątek się nie martw, Klementyno, właśnie przybywam z Maurycym się naradzić. Nowa wojna na wschodzie, nowe możliwości... Tak się wzbogacimy, że waszą czeladkę i swoją, jak się zdarzy kiedyś, wyposazymy na cacy.

Wiktoryna patrzyła na niego bez życzliwości. Obibok, birbant, rozpustnik, z dziwkami się szlajał, każdy wiedział, może tylko Klementynie nie mówili. I taki miał, co chciał, przynajmniej jeśli chodzi o pieniądze, bo po tygodniu bytności u pani dostrzegła Wiktoryna coś, co Klementynie i Maurycemu umykało od lat: że oczy i serce zgubił bałamut dla żony przyjaciela. Mężczyźni poszli do ogrodu dyskutować o interesach i elewacji, a Klementyna patrzyła na nich przez okno. Czowała się znakomicie, czwarty miesiąc przyniósł ulgę w porannych niedogodnościach, teraz miała apetyt, energię i jedynie zasypiała bardzo wcześnie, czasem nawet wsparta na ramieniu męża przed kominkiem.

– Tak być powinno – zdecydowała Wiktoryna – a jak mdłości wrócą, ziół zaparzę i tyle.

– Wiktoryno – zapytała cicho Klementyna, gdy schodziły, bo dopuściła już doświadczoną kobietę do poufałości – a jak to jest z... z mężczyzną i kobietą w tym błogosławionym czasie, czy...

Nie dokończyła jednak, bo wstyd ją ogarnął. Co też jej przyszło do głowy ze służącą takie tematy omawiać, nawet jeśli położna. Ale Wiktoryna uśmiechnęła się.

– A pewnie! – powiedziała – nie tylko można, a trzeba nawet męża miłośnie uściskać. Teraz już to prawie do samego końca pani Klementynie miłość będzie potrzebna i przyjemna. Może nawet lepsza jak przedtem. Byle delikatnie. Miesiąc przed rozwiązaniem post konieczny i dwa miesiące po, taka moja jest metoda. Byle szczęśliwie wszystko poszło, to i za rok drugie... Tylko pani Klementyna, jakby płamienie jakie zauważyła, krew, nie daj Boże,

to mnie mówić trzeba, no i wtedy, to leżenie musi być i już post. Ale tak, to nie.

Klementyna spłoniona i spłoszona uciekła schodami w dół, zawstydzona rozmową, ale też rada, że się odważyła, bo bardzo się stęskniła za Maurycem, zdziwiona nawet, że przy nadziei nadal takie pragnienie miłości budzi się w niej i to nad ranem, bo wieczorem śpi jak kamień i mąż przenosić ją musi do łóżka. Rano zaś miłość w niej wzrasta i tak by chciała, żeby całował ją i więcej, ale bała się, czy wolno, czy dziecku szkody się nie uczyni. A tu proszę, jak najbardziej. Czula mrowienie w skórze, łaskotki lekkie w pobolewających piersiach, takie przyjemne i wymagające utulenia, że nie doczeka chyba do ranka. Doszła do obu panów w ogrodzie i zarządziła odjazd z budowy.

– Maurycy najukochańszy – rzekła – zmęczona jestem bardzo. Odwieź mnie, proszę, do domu.

Maurycy pospiesznie pożegnał się z Karolem, umówili się na rozmowę o nowym przedsięwzięciu.

– Bardzo pragnę kąpieli – powiedziała mu prosto do ucha – i położę się odpocząć, a ty przyjdź mi potowarzyszyć. Poczytasz mi trochę, dobrze?

– Kąpiel, Wiktoryno? – zapytał położną zaniepokojony mąż.

– Byle nie za gorąca, to i bardzo potrzebna – gruby autorytet w czepku dostojnie udał się przygotować balię i osobiście sprawdzić ciepłość wody, ale pozwolił sobie mrugnąć porozumiewawczo do pani. Wiktoryna niejedno wiedziała i nie bez powodu doktor Mackiewicz polecił Maurycemu właśnie ją. Rzadko jednak widywało się taką zgodną i zżytą parę jak Groterowie. Naprawdę kochali się bardzo, a on był uczciwy wobec żony jak mało który. Tylko ten urwipoleć blondyn przy nim niedobry. Sprzyjała bardzo Klementynie, niech sobie duszka jeszcze użyje ze swoim chłopem, niech pod nim powzdycha gorąco, bo nigdy nie wiadomo, co poród przyniesie. Wyglądała zdrowo, ale te trzydzieści lat na pierwsze dziecko... To się nie podobało starej położnej. Żeby to czwarte, to i czwarty krzyżyk kobiecie niegroźny, ale pierwsze! Pokręciła głową i znów uśmiechnęła się na myśl, że się zaraz państwo w alkowie zamkną przed całym światem.

– No popatrz! – Julia oderwała się od lektury i smutno popatrzyła na Balbinę. – A ja idiotka przez dziewięć miesięcy trwałam w świadomości, że

nie wolno w ciąży, w XX wieku. Coś takiego. Że też nie mamy teraz takich zaufanych położnych Wiktoryn. A w ogóle, dziwnie mi się czyta, że w tamtych czasach oni tak zmysłowo.

Leżała na tarasie, na huśtawce z baldachimem, Balbina siedziała obok na rattanowym fotelu, popijały schłodzone koktajle na dzinie. Po upalnym dniu wieczór byłby cudowny, gdyby nie komary.

– Julka! – Balbina przywołała ją do porządku – pomyśl ty. Te zmysły to Dominik wymyślił, przecież nie miał tego w zapiskach. I oczywiście, że są takie Wiktoryny dzisiaj, jeszcze lepsze, bo wykształcone. Gdybyś zapytała wtedy kogokolwiek, położną, lekarkę, mnie nawet, usłyszałyś to samo.

– No tak, ale wiesz – Julia zawstydzona, że o tym rozmawia, opróżniła duszkę swój pucharek i schowała twarz w poduszkę – ale ja w ciąży wcale nie miałam chęci na seks. Przeciwnie, i myślałam, że tak ma być.

– A może w ogóle nie miałaś nigdy ochoty na seks z Markiem? – zapytała cicho Balbina, patrząc przed siebie w ciemny ogród. – Może on nigdy cię nie podniecał, po prostu.

– Nie, no coś ty... – zająknęła się Julia – tylko kto?

– Może nigdy nie podniecali cię mężczyźni? – Balbina puściła do niej figlarnie oczko.

– Tylko kto? No nie, wariatka! – i śmiejąc się z żartu, Julia odwróciła się na plecy, zarzuciła ramiona za głowę. Czowała się swobodna, dowcipna, ładna, chciała też okazać się nowoczesna i tolerancyjna. – Też masz pomysły. Nie mam nic przeciwko, ale nawet nie znam takiej kobiety...

– Nie trzeba zaraz znać – tajemniczo uśmiechnęła się Balbi. – Nie próbowałaś, więc nic nie wiesz.

– Jaka doświadczona, no, no – Julia była trochę wstawiona, chichotała i rumieniła się od samej świadomości, że zbacza na tak kręte tory – nie mów mi, że ty próbowałaś z kobietą, Balbi!

Balbina pogryzała trawkę i zastanawiała się, jak czasem ludzie inteligentni, bliscy, pozornie spostrzegawczy, mogą być tak ślepi, gdy chodzi o przyjaciół.

– Owszem, próbowałam – powiedziała – uważam, że wszystko warto sprawdzić, potem dopiero można gadać.

– Nie, no nie – Julia podniosła głowę, popatrzyła na nią zdumiona i rozchichotała się na dobre – i powiedz mi, co czułaś? To dziwne chyba, nie?

Zdziwiona była, że myśl o miłości kobiet wydała się jej nagle podniecająca.

– E, przestań paplać – powiedziała Balbina, kładąc się obok – czytamy lepiej dalej, bo boję się, że coś się stanie. Jak myślisz, Klemcia nam pomrze przy porodzie? Ja mogę teraz czytać.

Ale Julia patrzyła na nią dziwnie, sama zaskoczona niezdrową ciekawością wywołaną tym, co usłyszała od przyjaciółki. Wyciągnęła rękę do twarzy Balbiny, dotknęła palcem jej wypukłych dużych warg, spoważniała.

– Balbi – powiedziała – jestem chyba trochę pijana, ale jeśli całowałaś się kiedykolwiek z kobietą, to zrób to dla mnie i pocałuj mnie teraz. Chcę zobaczyć, jak to jest.

Balbina przysunęła się do niej, pochyliła się nad ciemną głową Julii, nad jej uśmiechem i powiedziała:

– O tak.

A potem pocałowała ją w miękkie i pachnące alkoholem usta, lekko i krótko, ale widząc dalsze oczekiwanie, mocniej i dłużej. Julia jeszcze nie reagowała. Jak model wsłuchiwała się w swoje doznania, biernie poddając się dotknięciom Balbiny, która rozpięła jej bluzkę i wyjęła ze stanika prawą pierś. Głaskała ją przez chwilę, zaczęła delikatnie uciskać, wciąż całując Julię to w górną, to w dolną wargę. Wyjęła drugą pierś, pochyliła twarz, teraz całowała delikatnie to prawą, to lewą brodawkę. Julii było dobrze, w dole brzucha rozlewało się przyjemne napięcie, ciepło wirowało w twardych sutkach. Balbina całowała jej szyję pod uchem, po czym wróciła do ust i pocałowała mocno, tym razem zmuszając ją do reakcji. Julia odpowiedziała, złączyły usta, objęła Balbinę i sama zaczęła całować ją z przyjemnością, czując jak mięsiste i słodkawe ma wargi, delikatny język, oddech, który pachnie dżinem i cytryną. Balbina oderwała się od ust przyjaciółki na chwilę, zrzuciła koszulkę, popatrzyła jej w oczy. Julia usiadła. Objęły się, piersi nagie dotknęły piersi w staniku, usta ust, oplotły się ramionami. Julia nie pamiętała, by tak dobrze czuła się kiedykolwiek. Chciała więcej i powiedziała to. Balbina wsunęła rękę pod spódnicę Julii, dotknęła ją delikatnie i nieśmiało, przez materiał, ale w samo centrum rozkoszy, głaskała ją przez majtki i jednocześnie pieściła językiem jej pierś. To wystarczyło, wywołała coś, w co Julia dotąd nie wierzyła. Oto doznała orgazmu, delikatnego jak muśnięcie prądem, krótkiego, ale przyjemnego aż do bólu. Cichutko krzyknęła i zachwycona poszukała ustami ust Balbiny. Pocałowały się jeszcze raz.

Balbi roześmiała się i odsunęła. Pospiesznie nałożyła koszulkę, wróciła na swój fotel.

- Tak to może być na przykład. I co, jak się czujesz?
- Oszołomiona – szepnęła Julia – trzeźwiejsza, syta, i strasznie mi głupio.
- To ja lepiej już pójdę – powiedziała zmieszana Balbina – nie przykładaj do tego tak wielkiej wagi Julka. Każda kobieta powinna chociaż raz pocałować kobietę.

Julia nie powiedziała, żeby została, choć doznanie było nowe i przyjemne. Faktycznie nigdy nie czuła czegoś takiego przy Marku. Nie wiedziała, co teraz zrobić ze sobą i swoim wcale nie do końca ugaszonym podnieceniem. Wracało falą na myśl, że też mogłaby dotknąć intymnie Balbinę. Pragnęła, by Balbina została z nią jeszcze, nie miała jednak odwagi poprosić ani nie umiała rozładować napięcia sama. Zasnęła i obudziła się z potwornym kacem fizycznym i moralnym.

Pod prysznicem, przy śniadaniu, którego nie mogła przełknąć, w samochodzie, wreszcie w kancelarii nie umiała odpędzić uporczywej myśli. Czy to znaczy, że jestem lesbijką? Czy Balbina nią jest? Czy wygłupiała się tylko, a niechcący Julia odkryła prawdę o sobie? Nie chciała być lesbijką. „Nie, nie” – tłumaczyła sobie gorączkowo. „Po prostu odmienność sytuacji, zakazany owoc, ciekawość, spowodowały, że tak mnie to ruszyło. Wszystko przez dżin z tonikiem, nigdy więcej. Jak ja teraz spojrzę w oczy Balbi? Nigdy już nie będzie tak samo”. Ale ten pocałunek, ten dotyk, zaskakujący finał małej przytulanki... warto było. Nigdy więcej. W końcu na Dominika też patrzyła z przyjemnością. W końcu, kiedy podglądała parę na drugim piętrze kamienicy, też poczuła silne podniecenie. Co się z nią dzieje, może lata nudnego seksu bez satysfakcji kielkują teraz wielokrotnie?

Do gabinetu wszedł Arek. Szkoda, że nie mogła go zapytać, na przykład: słuchaj Arek, jak myślisz, czy ja jestem homoseksualna? A Balbi jest lesbijką, czy to była magia chwili? A ty, Arek, masz dziewczynę, czy może jesteś gejem? Nie wiadomo, co by odpowiedział, bo oczywiście nie zadała mu takiego pytania, a Arek miał w głowie zupełnie inne tematy. Wydawał się zasmucony.

- Szefowo – powiedział grobowym głosem – pieprzy się.
- Dług na hipotekę w banku niemieckim, który wciąż istnieje? – omal nie krzyknęła Julia.
- Nie, nie, z długiem się wyjaśniło: wzięła go dla męża Rachowicza, a Lucjanek przegrał w karty, źle zainwestował. Zmarł na atak serca i zostawił Krystynę z tym wszystkim, dziećmi, długami, skandalikiem. Między innymi dla

zwrotu długu w banku sprzedała połowę Szenkelom. Ale dług zwróciła, banku na głowie nie mamy.

– No, chociaż tyle. Ale?

– Ale rodzina Szenkelów. Byli niesamowicie bogaci, na miarę Rothschildów. I co? Wojna przyszła i rozpierducha. Stary Mojsze Szenkel do końca nie wierzył w pogrom, wyprawił do Ameryki brata, ale sam z resztą rodziny został. Liczył na potęgę pieniądza. Przeliczył się. Przyszli Niemcy, i tak wszystko zabrali, a Szenkelów... – Arek wymownie skierował kciuk w dół.

– Getto?

– Getto, Oświęcim.

– Wszyscy zginęli?

– I otóż nie. Chwała Bogu, ale nas boli. Syn, zabrany do obozu. Wrócił jakimś cudem i przez jakiś czas mieszkał w kamienicy, nawet po wojnie, po wywłaszczeniu i to podobno z córeczką. Aż przyszedł rok 1968 i do widzenia, musieli wyjechać. I tak oto gałązka rodzinki kwitnie gdzieś w Izraelu. Julio, nie wykręcimy tego – połowa domu należy do potomków Szenkela. I ani się obejrzymy, jak się znajdują i będą dochodzić swoich praw. Czemu nie?

– No to mamy zgryz – wobec wiadomości, które oddalały marzenia klientów o pięknej kamienicy, Julia zapomniała o swoich seksualnych dylematach. – Co robimy, Arku? Trzeba przekonać klientów do walki o połowę. To i tak niezły kąsek, a lepiej mieć pewną połowę niż szemraną całość, no nie?

– I tak musimy dać ogłoszenie do prasy, polskiej i izraelskiej. Jak zwykle w takich wypadkach: ustalenie kręgu spadkobierców, artykuł 672 Kpc. A potem pół roku, pan Dominik się wścieknie. Zależy mu chyba na czasie, mam wrażenie, że chce jak najszybciej wracać do Anglii. Ale słuchaj Julio, Elżbieta i Dominik musieli coś wiedzieć o Szenkelach. Może wiedzą, dlaczego po wojnie dom znów należał tylko do spadkobierców Krystyny Rachowicz? Może coś się stało za okupacji?

– Może. Ale czemu nie mówią? – westchnęła Julia. Nie znosiła, kiedy klienci ukrywali choćby skrawki prawdy. – Idę dziś do nich, umówiłam się na oglądanie papierzysk na biurku pani Elżbiety. Chodź ze mną, powiemy im o wątku żydowskim, zobaczymy, jak zareagują.

Arek skinął głową. Julia pstryknęła palcami.

– A, a nasz architekt? Grześ masz coś?

– Niestety, kamień w wodę. Nie mogę nic znaleźć o Schatmeyerach. Pójdę jeszcze tropem kamienic z XIX wieku, chyba jest jakiś spis. Ale co właściwie może nam dać architekt? Zrobił swoją robotę, zapłacili, zniknął. Żadnych praw własności nie ma.

– Nie wiem, tylko przeczucie. Intuicja każe mi to sprawdzić.

Arek nigdy nie dyskutował z intuicją szefowej. Obliczał w głowie wartość kamienicy na ówczesne czasy. Wysokość długu i kwotę za sprzedaż, był sprawnym matematykiem, nie potrzebował kalkulatora, i coś mu się nie zgadzało. Połowa gmachu była warta więcej niż karciany dług Lucjana Rachowicza. Na co poszła reszta pieniędzy? On by sobie kupił automobil. Ile mógł wtedy kosztować, taki Mercedes-Benz, rocznik 1916?

Poszedł liczyć dalej i szykować się do wyjścia z Julią. Ona sama załatwiła kilka innych spraw, wysłała mejle, odebrała SMS od Hanki, że jej cudownie nad morzem, od Balbiny, że wyjeżdża na kilka dni służbowo, pozdrawia, prosi, żeby nie czekać na nią z czytaniem dalszego ciągu...

Julia znów się zarumieniła. Wyjazd służbowy! Czyżby? Głupio jej pewnie jak i mnie. Czyżbym straciła przyjaciółkę? Nie, zbyt lubiła Balbinę, zbyt wiele je łączyło, a i zawdzięczała jej dużo. A teraz, przez kilka pieśczot...

– Nie pozwolę na to – szepnęła do siebie – upiły się dwie baby, ucięły erotyczny eksperyment, a teraz w płacz, bo zyg, zyg, wstyd się zrobiło.

Szybko odpisała: „Balbi, nie wygłupiaj się, nigdzie nie wyjeżdżaj, tylko przyjdź czytać. Tym razem nie będziemy pić, ani kropelki”. Jeszcze uśmiechnięta buźka i już. Odpowiedź nadeszła błyskawicznie: „Julio, przyjdę, pewnie że przyjdę, ale naprawdę jestem na lotnisku. Nagła delegacja, kilka dni. Przyjdę zaraz po powrocie. To poczekaj z lekturą. Ściskam, trzeźwiuteńka oczywiście”. Na końcu też radośnie szczyrzył się emotikon.

„No dobrze” – pomyślała Julia. „To chyba kryzys za nami. Mało tego” – szepnęła buntowniczo – „wcale nie żałuję. Ma usta jak wiśnie. Że też tyle lat tego nie dostrzegłam”.

Arek zaszedł po szefową i znalazł ją w znakomitym humorze, pewną siebie i gotową do rozmów.

– Taksówka czeka – powiedział. Julia przypudrowała twarz, chwyciła torebkę i Arka pod ramię. „Ciekawe” – myślała – „czy będzie tam Dominik Dymśa”.

*

Owszem, był. Niecierpliwiał się wyraźnie w salonie Elżbiety Rachowicz. Czekał na prawników, sprawdzał coś na srebrnym, zgrabnym tablecie, ale szeroko uśmiechnął się na widok gości, a zarumienioną panią mecenas obrzucił pełnym uznania wzrokiem. Julia odpowiedziała uśmiechem, dodając sobie odwagi chrząknięciem. Na korytarzach kamienicy znów poczuła się nieswojo, na schodach pokazała Arkowi obrazy. Wywołują we mnie podświadome wspomnienia – szepnęła. Na drugim piętrze wzrok jej padł na zamknięte tym razem drzwi do mieszkania numer 5, przywołał obraz spółkującej namiętnie pary i znów po skórze przebiegł jej prąd, a sutki stwardniały. „Może ja w ogóle nie powinnam prowadzić tej sprawy” – pomyślała – „ogarniają mnie przy niej nieznane emocje”.

Na widok Dominika, który zgrabnie zerwał się z kanapy, na powitanie dotknął pospiesznie ustami jej dłoni, znów doznała dziwnego pociągu do tego mężczyzny. Dominik miał dziś różową koszulę, upał zwalniał go z krawatu, jasne džinsy dodawały młodzieńczości. Patrzył na nią figlarnie, trochę taksująco. Julia zadowolona była ze swojego wyglądu, wrzuciła rano białą lekką sukienkę, białe sandaalki na obcasie, a włosów nie zdążyła wysuszyć ani spać, więc kłębiły się teraz czarną chmurą nad ramionami. Co powiedziałby ów patrzący na nią z uznaniem Dominik, gdyby wiedział, że wczoraj pozwoliła sobie na mały romans z przyjaciółką? Może zadowolenie z własnej perwersji emanowało z niej jeszcze, bo Dominik nie mógł oderwać od niej oczu. Podobała mu się ta kobieta. Coraz bardziej mu się podobała. Lubił kobiety w jej typie, a ta miała w sobie coś ciekawego. Zerknął na zarysowany pod sukienką biust, patrzył na delikatne usta pociągnięte perłową szminką, poczuł łaskotanie w żołądku. Gdyby widział, jak te lekkie wargi spotykają się z wiśniowymi, pełnymi ustami Balbiny, kto wie, może by się zgorszył, a może wpadłby w jeszcze większy zachwyt lub podniecenie? Co rzekłaby na to pani Elżbieta? Julia wolała nie myśleć, nie zamierzała pytać. Nie o to, była tu w innym celu. Zasedli przy stoliku z zimnymi napojami, Julia poprosiła Arka, by zdał relację z działań kancelarii. Dokumenty złożone w odpowiednich urzędach, pięknie, ale...

Julia zerknęła na swoich klientów, założyła włosy za uszy, zamigotała kolczykami granatowymi jak oczy. Wyglądała na figlarną trzydziestolatkę, a nie

na poważną panią mecenas po czterdziestce. Głos jednak miała bardzo poważny.

– Mili państwo – powiedziała spokojnie, ale stanowczo – niestety pojawiły się komplikacje. Najprawdopodobniej istnieją inne osoby uprawnione do roszczeń wobec tej nieruchomości. Naszym obowiązkiem jest ustalić krąg spadkobierców, więc trzeba dać ogłoszenie w mediach w kraju i za granicą, a to oznacza także dodatkowe koszty.

Dominik przestał się uśmiechać, a nawet zdjął wzrok z ust pani mecenas. Popatrzył na kuzynkę. Elżbieta Rachowicz wyprostowała się na krześle, o ile było to jeszcze możliwe.

– Jak wysokie koszty? – zapytała.

– Jacy znowu spadkobiercy? – niemal równocześnie sapnął Dominik – nie wiem o żadnych spadkobiercach prócz nas, Elu? Księga wieczysta...

– No właśnie – Julia patrzyła pytająco na Elę – założono tę księgę od nowa, po zamknięciu księgi dawnej. Dlaczego? Kto wniósł o otwarcie nowej? I czemu nie powiedzieli nam państwo, że w dawnej hipotece na połowie własności figurował żydowski bogacz, czyli Mojsze Szenkel?

– Ja nie wiedziałem, i niech to szlag! – opadł na oparcie fotela Dominik, chyba szczerze zdumiony. Nadal jednak zerkał na Julię ze szczerą adoracją.

– Jak to Szenkelowie? – pani Elżbieta wyglądała na szczerze zdruzgotaną – przecież nikt z nich nie przeżył. Mąż opowiadał, owszem pożyczyci pieniądze jego babce, ale nikt nie przeżył, ta sprawa z nimi była jakoś załatwiona.

– Według naszych danych przeżyli, potomek podobno mieszkał po wojnie w kamienicy, potem wyemigrował do Izraela. Miał córkę.

Elżbieta pokręciła głową.

– Rodzina męża była już wtedy w Anglii, twoja matka Dominiku też.

– A ja pojęcia nie miałem o żadnej starej księdze? Dawnej? Co za diabeł? Czy musimy ją ujawniać?

– Jeśli nie chcą mieć państwo za jakiś czas kłopotów, bo diabeł wyskoczy z pudełka i zjawią się spadkobiercy z roszczeniami, to musimy. Lepiej teraz przeprowadzić wszystko prawidłowo... A może się nie zgłoszą?

– Jak te koszty? – przypomniała pani Elżbieta.

– W tej sytuacji liczyłbym około czterech tysięcy – szybko rzucił Arek.

– A czas? – Dominika najbardziej martwił czas – ile trzeba czekać?

– Pół roku – twardo odrzekła Julia i musiała przyznać, że dzielnie zniósł cios. Westchnął tylko głęboko, zajrzał jej w oczy.

– Piękna pani mecenas – powiedział – na pewno nie ma innej drogi?

– My zajmiemy się procedurą oczywiście – pocieszyła go, ignorując komplement – doradzam ogłosić poszukiwanie spadkobierców. Lepiej mieć pewną połowę niż... – chciała powtórzyć, że niż nic, ale Dominik uderzył rękami w poręcz fotela i dał wyraz swojej niechęci.

– Nie wiem, Elu, jak ty, ale ja mam już dosyć tych procedur. Może lepiej ubiegajmy się o odszkodowanie?

– Odradzam – włączył się Arek – wyciągnąć kasę zawsze trudniej niż akt własności...

– Proszę państwa – Julia wstała, zebrała swoje notatki i torebkę – zastanówcie się nad tym, a ja pewnie będę mogła coś doradzić po przejrzeniu tych dokumentów. Rozumiem, że tutaj?

Elżbieta zerwała się skwapliwie.

– Tak, tak, pani mecenas – zapraszam państwa, niektóre nie nadają się do transportu, tak stare. Proszę rozgościć się w gabinecie. Proszę, tędy....

Stanęli przed stołem założonym pożąłkłymi papierami, stosem zdjęć, listami z różnych czasów. Na podłodze pod oknem stała spora szkatułka z zapiskami. Dominik zajrzał przez drzwi.

– Ja muszę się pożegnać – powiedział – ale gdybym mógł w czymś pomóc?

Podszedł i znów pochwycił dłoń prawniczki. Miała ciepłą rękę, miękką i ciepłą. Pomyślał, że kobieta o takich rękach jest również miękka i ciepła w intymnych miejscach.

– Nie, nie, dziękujemy – odparła Julia – już ogarniała chciwym wzrokiem dokumenty w szkatule. Ty Arek zaczynaj od tych pod oknem. Dziękujemy panie Dominiku – zabrała mu rękę i wzdrygnęła się, bo nagle ogarnęła ją pewność, że była już w tym pokoju, a jakiś mężczyzna pochylał przed nią głowę.

Uciekła, uklękła przy szkatule. Dominik zatrzymał się jeszcze w drzwiach. Popatrzył na tę kobietę, jak odwrócona tyłem pochyła się nad zbiorem, a biała bawełniana sukienka opina jej biodra, ujawnia zarys bielizny i uwypukla pośladki, które poprzednio wydały mu się za duże i zbyt nisko zawieszane. Teraz nie miał takiego wrażenia, ledwie pokonał pragnienie, by podejść i przyłożyć w jeden z nich podniecającego klapsa.

*

Hanka wróciła do domu opalona, rozgadana, niby bardzo zadowolona, ale szybciej niż przewidywała Julia. Przywitała ją z ulgą. Osiemnastoletni ludzie często sądzą, że są bezpieczni i dorośli, a wcale tak nie jest, nie w oczach matek. Jej były mąż Marek z pewnością nie zasłużył sobie na zaufanie. Julia wcale nie była pewna, czy Hanka jest bezpieczna, czy nie wypuści się na nocną dyskotekę w nieznanym, podejrzanym towarzystwie, nie wrzucą jej pigułki gwałtu do szklanki i szukaj wiatru w polu... albo jakiejś łódki na dalekim morzu. Na szczęście nic takiego się nie stało. Hanka pojawiła się w domku na przedmieściu wieczorem, kiedy jej matka analizowała jakieś stare listy i próbowała zsynchronizować w czasie zdarzenia dotyczące kamienicy z biegiem historii. Córka stanęła w drzwiach uśmiechnięta, z włosami obciętymi krótko, lecz równo, kuso ubrana w wystrzępione szorty i jakieś body w paski okrywające zaledwie biust. Brzuch cały goły z zakolczykowanym pępkiem. „Zbyt kuso jak na miasto” – pomyślała Julia, ale nie powiedziała nic, tylko otworzyła ramiona. Nie dopytywała, ale i tak Hanka pospiesznie objaśniła wcześniejszy powrót: koniecznością zakupów przed rokiem szkolnym, tym że zepsuła się pogoda, irytującym zachowaniem nowej żony ojca. Julia uwierzyła tylko w to ostatnie.

– Wystarczy, wystarczy – gładziła śmieszne loczki córki. – Skąd w rodzinie takie kędzierzawe coś, jeśli jakiś Murzyn zakradł się do genealogii to raczej ze strony twojego ojca.

– Oj, mama – fuknęła Hanka, nurkując w plecaku. – Zawsze on winny. Nawet jak Murzyn w rodzinie, to na pewno z jego strony. Przywiozłam ci coś, zobacz.

Cieniutka srebrna bransoletka z bursztynem zaślśniła w palcach Hani.

– Srebro, mamik, bardziej do ciebie pasuje niż złoto – plotła Hanka. – Do ciemnych włosów, i jasnej skóry. Czy ty się kiedykolwiek opalisz? Praca, praca? Łojej, stęskniłam się za domem.

– Czemu nastolatka nigdy nie przyzna się, że za matką – narzekała głośno Julia, przymierzając bransoletkę. Rzeczywiście ładnie wyglądała na jej wąskim przegubie ręki. – Dzięki, kochanie, że pamiętałaś o starowince. Skąd miałaś kasę?

– Oj tam – odrzekła wymijająco Hanka – ja prysznic mamik, a ty zrób jakieś szamanko, pogadamy sobie na tarasie, co?

Julia westchnęła. Nie miała w planach kolacji na tarasie, ale lekturę wycinków prasowych dotyczących kulturalnych wydarzeń w Warszawie

w roku 1922. Zeskanował je Grześ w prasowych archiwach Muzeum Historycznego, podkreślił informacje o balu charytatywnym z udziałem pań. Była wśród nich Krystyna Rachowiczowa. Poza tym Julia ciekawa była dalszego ciągu powieści Dominika i już tak sobie wytłumaczyła, że nic się nie stanie, jeśli oszuka lekko Balbinę. I cóż, najwyżej dwukrotnie przeczyta ten fragment. Teraz jednak odłożyła wycinki i teczkę z wydrukiem. Domyślała się, że Hanka wyciągnęła pieniądze na prezent od ojca. Wzruszyła ramionami. I bardzo dobrze mu tak. Egzekucja alimentów od tego faceta to prawdziwa droga przez mękę. Miksowała sok, piekła tosty z szynką, rada, że akurat zrobiła zakupy. Zapaliła świece. Hania odświeżona, w turbanie, długonoga, smągła, wysoka, wygodnie usadowiła się w fotelu.

– No to mów! – Julia oparła brodę o dłonie. – Jak tam było?

– Bajecznie, naprawdę – Hanka chrupała tosta i rozkoszowała się smakiem domu. Tak naprawdę było okropnie, ciasno, czuła, że przeszkadza ojcu i jego żonie, którzy ciągle chcieli uprawiać seks, słyszała ich w łazience i przez ścianę sypialni, uciekała na plażę i tam dopiero spotkało ją coś przyjemnego. Ale postanowiła opowiadać po kolei.

– Ta żona ojca jest totalną idiotką, mamik. I w dodatku w twoim wieku, wcale nie młodsza, a już na pewno nie ładniejsza.

– Hmm – Julia posmarowała sobie chleb dżemikiem.

– To, co opowiadają, że to standard, że facet po czterdziestce bierze sobie jakąś laskę w wieku córki to może u ludzi, ale nie u nas. U nas babka to blond wieloryb, ma sto kilo, sto lat i gębę w piegach jak sito.

– Daruj sobie córcia – Julia wiedziała, ku czemu to zmierza – ja ją znam. Nie jest taka koszmarna i jest ode mnie młodsza. Niewiele, ale jest. To z nią nakryłam ojca w łóżku i taka jest brutalna prawda. Uwierz nareszcie, że on nie chce do mnie wracać tak samo jak ja do niego.

– To ty nie chcesz, mamik. On rzuciłby ją dla ciebie, moja w tym głowa.

– No nie chcę. Ciotka Balbina mówi, że...

– Ciotka Balbina – Hanka prychnęła gniewnie i rzuciła widelcem o podłogę – uwielbiam ją, ale niech ona się nie wtrąca w twoje sprawy. Znacznie pomogła w rozwaleniu małżeństwa, no nie?

– No co ty, Hania?

– No co ty, no co ty... Dążyła do tego z całych sił. Z zazdrości o ciebie. Myślisz, że nie wiem? Ona sama kocha się w tobie od lat i tylko ty tego nie widzisz. To ci powiem. Ciotka Balbi jest zdeklarowaną lesbijką, wodzi za

tobą oczami jak kot za myszką, i co?

– Haniu – zaprotestowała Julia, ale słabo – skąd ci...

– Ślepą trzeba być – grzmiała Hanka. – A może to ona nasłata ciebie wtedy do mieszkania. Wiedziała że oni tam są. Nie mogła sama podjechać po te papiery, co? „To ty podjedź, Juleczko, ja poczekam, przez przypadek zobaczysz, jak mężulek rżnie sobie koleżankę”.

– Nie było jej wtedy w kraju, Haniu, i myśl zanim powiesz coś takiego. W ogóle, jak ty się wyrażasz? Nie możesz wiedzieć... ja nie wiem... Zostaw ciotkę, jej orientacja, jej sprawa. Mów o sobie, czuję, że coś kisisz w rękawie.

Hanka miała bardzo zmienne nastroje i popadała z rozpaczony w euforię, tak też stało się teraz. Zapomniała o ciotce lesbijce. Przysunęła się do matki i zaczęła opowiadać, jak to już na drugi dzień, na wschodniej plaży, przy samutkim moło, spotkała pewnego chłopaka, już na studiach, na drugim roku, ale czuła, że tym razem to jest naprawdę...

Hania emocjonalnie opowiadała o pierwszej prawdziwej miłości swojego życia. Julia policzyła w duchu, że to już czwarta pierwsza miłość córki. Tamte odeszły w cień z wakacjami, zakończeniem obozu językowego, jakiegoś kursu, wszystko jedno. Teraz zapanował Przem, brodaty student Uniwersytetu Warszawskiego, geografii bodajże, a może etnografii, i tym razem ona, Hanna, jest pewna.

Julię zawsze interesowały sercowe sprawy córki. Obawiała się, że Hanka wejdzie w świat seksu nieprzygotowana jak i ona, nie chciała, by powtórzyła jej błędy, ale też nie wiedziała, jak z nią o tym rozmawiać. Tym razem jednak słowa Hani płynęły jej koło uszu miło, Julia niby słuchała z zaangażowaniem, robiła odpowiednie miny to zdziwione, to niedowierzające, ale tak naprawdę nie mogła się skupić. Uciekały jej myśli do słów córki o Balbinie. Takim pewnym tonem to powiedziała. Czyżby naprawdę przez tyle lat nie dostrzegłaby odmiennej orientacji najbliższej przyjaciółki? Gdyby nie wybryk na rauszu sprzed kilku dni, wyśmiałaby teorię Hani. Ale nie po tym zdarzeniu. Teraz dopiero biegła myślą w przeszłość i zaczęła uświadamiać sobie drobne epizody, które wcześniej kompletnie nie przykuły jej uwagi. A to wzrok Balbiny na sobie, gdy się przebierały, mierząc kiecki na zakupach. A to śmieszna rzecz: Balbi lubiła mydlić jej plecy, czasem gąbka ślizgała się niżej albo mydło spadło w wodę i Balbi sięgając po nie muskała policzkiem, ustami jej ramię. No nie wstydzily się siebie przecież, Balbina smarowała ją

olejkiem do opalania i wzajemnie... Albo masaże, masowała jej plecy i piersi, teraz wydało się Julii, że zbyt długo. W usta pocałowała ją pierwszy raz dopiero teraz, ale tyle razy ścisnęły się i całowały po przyjacielsku, Balbina upinała jej włosy, a raz, po upięciu kunsztownego koka pocałowała ją u nasady szyi. Przymknęła oczy, poddając się wyobraźni. To wcale nie był taki absurd, kiedy płakała po kolejnej sprawie rozwodowej, Balbina tuliła ją, głaskała i całowała w skronie. Słowa Hanki przywołały Julię do rzeczywistości.

– I dlatego postanowiłam właśnie z nim przeżyć mój pierwszy raz, mammo. Mam już pomysł kiedy i gdzie, i zobacz, bałam się, że nie będę miała z kim iść na studniówkę.

Julia oprzytomniała w sekundę.

– Haniu – krzyknęła przerażona – tak o tym mówisz jak o błahej sprawie! A to bardzo poważna sprawa. To wpływa na kobietę, na całe jej późniejsze życie, seks i w ogóle na wszystko. To nie może być byle kto!.

– Przecież mówię ci od godziny, że nie byle kto, ale Przemo, moja pierwsza prawdziwa miłość...

– Haniu, zanim dojdzie do inicjacji, jak to mówisz, warto pobyć ze sobą, całować się, pieścić, poznać ciało – nie wierzyła, że to mówi, ona, kobieta, która pod tym względem wszystko zrobiła źle.

– To już za nami! – krótko ucięła Hanka – petting, pieszczoty, wszystko, ale bez, wiesz, bez najważniejszego, mammo.

– A czy chociaż on jest na pewno zdrowy? – jęknęła Julia głosem przestraszonej matki.

– Nie wiem – lekkomyślnie zaśmiała się Hania – ale przyjdzie tu jutro, to zapytaj na wstępie, czy nie ma HIV-a. Idę, mamik, spać mi się chce we własnym łóżku.

A Julię dla odmiany pragnienie snu opuściło zupełnie. Poza ryzykiem choroby, złamanego serca córki, istniało jeszcze jedno zagrożenie: Hania mogła zrobić z niej babcię! Zganiła się za głupią myśl, że nie wiadomo, co z tego wszystkiego najgorsze.

*

Nie wyglądała jednak w żadnym calu na babcię, kiedy następnego dnia szła

lekkim krokiem na spotkanie z Dominikiem Dymszą. Należał do mężczyzn, którzy szybko wprowadzają w czyn swoje zamiary. Spędził wieczór na rozmyślaniach, po czym zadzwonił do niej, poprosił o chwilę rozmowy i wybrał przytulną kawiarenkę Pod Kaktusami, w sercu miasta.

– Panie Dominiku – zapytała zaskoczona telefonem – czy pojawiły się jakieś nowe okoliczności? Jakiej natury? Może zabiorę ze sobą asystenta?

– Nie, bardzo proszę – odpowiedział szybko Dominik – chciałbym zobaczyć się tylko z panią.

Zgodziła się zaintrygowana i teraz zerkała na komórkę i na szyldy kawiarenek na Starym Mieście, bo akurat Pod Kaktusami nigdy jeszcze nie była, a nie chciała się spóźnić. Spóźnienie uważała za ujmę dla swojego profesjonalizmu, a poza tym odbierało jej pewność siebie. „Z drugiej strony” – pomyślała i zatrzymała się na chwilę – „nie powinna być za wcześnie, niezbyt miło czekać samotnie przy stoliku na mężczyznę. Na klienta, nie idziesz na randkę, tylko na spotkanie z klientem” – poprawiała swoje myśli.

Niby prawda, ale coś jednak spowodowało, że spędziła dziś więcej niż zwykle czasu przed lustrem, starannie malowała rzęsy i usta, drobne zmarszczki zatuszowała specjalnym fluidem, a włosy układała kilka razy, podkręcała, rozrzucała, wybrała w końcu artystyczny nieład, by jednak wrócić już z auta do domu i zwinąć je w klasyczny kok na czubku głowy. Ostatni tydzień sierpnia na szczęście przyniósł ochłodzenie, więc mogła włożyć ulubiony żakiet, bardzo odpowiedni dla pani mecenas, w chłodnym kolorze niebieskiej wody, ale za to ładnie podkreślający wcięcie w talii, a kryjący szerokie biodra. Z poczuciem, że wygląda całkiem nieźle, weszła do kawiarenki i rozejrzała się ciekawie. Dominik już był, czekał. Uniósł się znad stolika, dojrzała go szybko, bo wyróżniał się pośród młodych, głośnych ludzi, którzy akurat opanowali kawiarenkę. Był spokojny, dobrze ubrany i wydał się jej bardzo przystojny. Odsunął jej krzesło, patrzył dziwnym wzrokiem, od którego lęk i przyjemność zmieszały się jej w brzuchu w uczucie dalekie od zawodowych doznań. Nie mogła wiedzieć, że nie mógł tej nocy spać.

– Panie Dominiku – powiedziała cichym głosem – proszę mi powiedzieć o co chodzi, pan wie, że nie powinniśmy spotykać się bez pani Elżbiety, jeśli coś nowego, jakieś decyzje...

– Zostawmy w spokoju Elżbietę, proszę – Dominik pochwycił obie jej dłonie w swoje ręce. – Pani mecenas... Julio, musiałem spotkać się z panią sam na sam.

– To zdążyłam zauważyć – usiłowała się roześmiać – ale w jakim celu?

– Jestem człowiekiem gwałtowniejszym niż pani myśli. W ogóle niewiele pani o mnie wie. Jeśli mowa o celach, to zwykle je osiągam. Jestem rozwodnikiem, zatwardziałym samotnikiem, od lat. Obieżyświatem, nicponiem, obojętnym już na emocje, tymczasem...

– Tymczasem? – Julia patrzyła mu w oczy i właściwie nie potrzebowała słów, by zrozumieć. Dominik wyglądał jak mężczyzna zakochany.

– Tymczasem... uległem emocjom – ścisnął mocno obie jej dłonie. – Julio, chciałem zapytać, czy nie zechciałaby pani poznać mnie bliżej. Proszę nie mówić „nie”, nie jestem zarozumiałcem, ale potrafię wyczuć, że nie budzę w pani niechęci.

Prąd popłynął przez ich ręce. Ten człowiek magnetyzuje wzrokiem, pociąg, który poczuła mgnieniem przy pierwszym spotkaniu, wzmógł się teraz. Podeszła do nich kelnerka.

– Kawa? – zapytał Dominik, nadal trzymając jej ręce. Kelnerka uśmiechnęła się, Julia skinęła głową.

– Dwie kawy – poprosił, puścił jej ręce, ale przesunął swoje krzesło, by być blisko niej. Siedział teraz obok, pochylił się nad jej uchem – czy możemy przejść na ty?

Znów skinęła głową.

– Julio, jest w tobie coś, co nie daje mi spokoju. Pojawiasz się w mojej wyobraźni, ten uśmiech i to twoje pochylenie głowy. Nie mogę przestać o tobie myśleć.

Julia czuła, jak przyspiesza jej oddech. Piers faluje pod żakietem, za chwilę zabraknie jej tchu. Dobrze odgadł. Nawet jeśli nie chciała się przyznać, nie był jej obojętny. Co za człowiek.

– Nie mogę – szepnęła słabo – jesteś moim klientem, Dominiku.

– Jestem gotów zmienić prawnika – powiedział. Co za człowiek. Nie bacząc na okoliczności, otoczył ją ramieniem i pocałował namiętnie, smakując raz po raz pełne wargi Julii Minejko, tak jak marzył o tym od kilku dni. Usta Dominika błędziły po jej ustach, a dłonie po plecach i szyi. Gdyby nie była to kawiarnia pełna ludzi, pociągnęłaby go na dywan i przytuliła się do niego. Wszystko w niej topniało i pragnęło teraz tego mężczyzny, pulsowało jej w skroniach, żakiet rozpiął się, by wpuścić jego ręce pod jasną bluzkę. Ale była to kawiarenka i wzbudzali zainteresowanie i półuśmieszki innych gości. Jakaś młoda dziewczyna wpatrywała się z niesmakiem, chłopak z mnóstwem

tataży rzucił: no, no.

– Jest kawa dwa razy – dość głośno powiedziała kelnerka. Oderwali się od siebie.

– Mieszkam tuż obok – powiedział. Ale Julia opamiętała się w chwili, kiedy filiżanka z kawą pojawiła się na stoliku.

– Nie mogę, nie mogę – szepnęła zmieszana jak nigdy dotąd. Wstała. Zobaczyła żal i może ból, na pewno rozczarowanie w jego oczach. Tym bardziej postanowiła uciec.

– Daj mi pomyśleć, proszę – rzuciła tylko i wybiegła z kawiarenki. Widział jeszcze przez szybę, jak zapina żakiet i wskakuje do pierwszej taksówki, która podjechała. Ukrył twarz w dłoniach, kelnerka pomyślała, że chętnie pogłaskałaby tego klienta po ciemnych gładkich włosach. Dominik jednak posiedział chwilę, zapłacił za obie nietknięte kawy z sutym napiwkiem i opuścił lokal.

Mimo emocji rozmyślał racjonalnie. Wiedział, co się z nim dzieje. Zapragnął tej kobiety, a taka fascynacja nie zdarzyła mu się od wielu lat. Wyrzucał sobie, że postąpił zbyt obcesowo. Pocieszał się tym, że chciała pomyśleć, poprosiła o czas. Ale będzie ją miał, nawet za cenę zmiany planów z kamienicą? Postanowił rozegrać to inaczej, wysłał jej wiadomość: Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć. Poznajmy się bliżej, opowiem ci o sobie, tylko tyle.

Nie odpowiedziała, ale nie mogła odmówić, gdy na adres kancelarii przyszło zaproszenie dla całego zespołu na sobotni wieczór do kamienicy Gosztowica. Pani Elżbieta wydawała mały bankiet z koncertem z okazji przyjazdu córki Betty. Dominik zapytał SMS-em, czy może po nią przyjechać. Podała adres domowy. Nie zdziwiła się, kiedy posłaniec przyniósł bukiet z dwudziestu jeden róż.

*

Następnego dnia pogoda całkiem przestała być sierpniową, wakacyjną pogodą i zamieniła się w deszczowy koniec lata. Hanka półgoła skakała po kuchni, klaskała w ręce ze złośliwej radości, że „ojciec i ta ona” mają całkiem popsutą końcówkę pobytu nad Bałtykiem. Tańczyła na bosaka afrykańskie wygibasy i wyglądała przez okno swojego najnowszego chłopaka, Przemka.

W tym samym czasie Julia pracowała już w kancelarii, Arek zwoływał zespół na omówienie kilku ważnych spraw, dziwaczny facet w kapeluszu z piórem spacerował w deszczu po placu Tołłoczki, a Balbina wracała z delegacji w Brukseli.

Przez cały lot, potem w taksówce, a właściwie i przez cały pobyt rozważała sytuację i zastanawiała się, jak teraz powinna postąpić. Hanka rozgryzła ją doskonale, Balbina, czyli Bożena Swarko od lat wiedziała, że może kochać tylko kobiety. Co więcej, od lat tak naprawdę, na serio kochała jedną kobietę, swoją najlepszą przyjaciółkę, Julię Minejko, która mimo niewątpliwej inteligencji we wszelkich innych sprawach – tego akurat nie zauważyła. Balbina pojawiła się w jej w życiu na drugim roku studiów, kiedy poznały się na wykładzie z historii prawa, temat pasjonujący, bo niuanse dziedziczenia majątków przez kobiety w Europie w wiekach dawnych. Pamiętała ten dzień, wpadła do auli spóźniona, zdyszana padła na pierwsze wolne miejsce i dopiero zauważyła, że obok siedzi szczupła, śliczna brunetka uczesana jak Mona Lisa, bo Julia nosiła wówczas włosy proste, długie, z przedziałkiem pośrodku. Oczy miała granatowe i bystre. Balbina знаła już wtedy swoje preferencje i to, co poczuła do tej brunetki, można było nazwać pragnieniem dotyku i czułością.

– Dużo straciłam? – zapytała szeptem.

– Nic a nic – odpowiedziała życzliwie Julia – docent tak nudzi, że jeszcze nie doszedł do meritum. Utknął we wczesnym średniowieczu, zanim dotrze do baroku, zaiste miną wieki. Balbina roześmiała się i kilka głów obróciło się ku nim.

– Jestem Bożena z czwartej grupy – syknęła Julii do ucha – ale mówią na mnie Balbina, od dziecka. Chodźmy potem na kawę.

Julia kiwnęła głową i pokazała jej podpis na okładce ze skryptu: „Własność Julii Minejko, historia prawa”. Po wykładzie poszły do Szafotu, knajpki studenckiej, zawarły znajomość nad kubkiem lury i eklerkami, znajomość na całe życie. Tak przynajmniej myślała Balbina, która zakochała się w koleżance, chciała być przy niej ciągle, marzyła o tym, by ją dotykać, chociaż wiedziała, iż jej miłość jest beznadziejna i że Julia raczej nie jest homoseksualna. Próbowwała pozbyć się tego uczucia, próbowwała flirtować z dziewczynami z innych środowisk, miała w wielkiej tajemnicy przed Julią kilka kochanek, ale obdarzała uczuciem tylko ją jedną, dlatego nigdy nie wyszła za mąż, nie założyła rodziny. Znała tajemnice przyjaciółki, druzbnowała

na ślubie z architektem Markiem, trzymała do chrztu jej córeczkę, tuliła ją w ramionach płaczącą po zdradzie męża i wspierała w rozwodzie. Pożegnała się z myślą, że kiedykolwiek Julia spojrzy na nią inaczej niż na przyjaciółkę... aż do tego upalnego wieczoru na tarasie, kiedy pozwoliła się pocałować, a nawet pieścić i doprowadzić do przyjemności, jakiej nigdy nie zaznała z mężczyzną. Balbina zostawiła ją wtedy, ale nie mogła spać, dręczyła się rozbudzoną nagle nadzieją, pytaniem: a może? Wciąż czuła smak ust Julii, jej pierś w swojej dłoni, ten chrapliwy dźwięk, który wydała pod jej ręką, to ciepło uderzające w dłoń przez materiał majtek. Balbina oblizwała zeschnięte wargi, całą noc przewracała się po łóżku. Rano sekretarka zadzwoniła z informacją, że szefowa musi lecieć do Brukseli, bo jej wicek zapadł na gripę żołądkową i nie jest w stanie reprezentować firmy na zlocie branżowym. To było ważne spotkanie i sekretarka już przebukowała bilety. Balbina nie dyskutowała z takimi zdarzeniami, spakowała się, poleciała, zaprezentowała ofertę swojej firmy. Odmówiła sobie spotkania z tutejszą płatną panienką Vivienne, którą kilka razy zapraszała do hotelu podczas służbowych pobytów w Belgii, ale która była tylko kochanką, doskonale wiodła Balbinę do orgazmu, sama ze śmiechem pozwalała robić ze sobą wszystko według aktualnej fantazji, była dobrze wytrenowana w kobiecej miłości, profesjonalna, kiedy trzeba perwersyjna. Balbina westchnęła na wspomnienie Vivienne, jej giętkiego języka, który tak dobrze wnikał w intymne zakamarki ciała, jej zapach i smak, wreszcie wzajemne pieśczenie się łechtaczkami, której to umiejętności dzięki niej się nauczyła. Balbina omal nie straciła tchu na myśl, że mogłaby doznać takiej bliskości z Julią. A jeśli to możliwe? Wracając z Brukseli zdecydowana zapytać o to Julię Minejko, swoją wieloletnią przyjaciółkę. Może nie od razu, może kiedy jeszcze raz spróbują upić się i trochę popieścić. Jeśli to znów okaże się dobre, Balbina powie Julii prawdę o sobie i zaproponuje jej, by zamieszkały razem. Hanka i tak pewnie wyjedzie na studia. Gdyby to mogło się stać, gdyby Julia się zgodziła... Balbi westchnęła tak marzycielsko, że aż taksówkarz się odwrócił. Gdyby tak się stało, Bożena Swarko byłaby najszczęśliwszą osobą na ziemi, a w miłości ze swoją ukochaną, wobec możliwości dotykania jej, smakowania, posiadania jej, poczucia na sobie jej pieścizot, byłaby sprawną nauczycielką i nieśmiałą uczennicą. Wspomniała ciepłe jasne ciało Julii, zakręciło się jej w głowie z pożądania. Tak, zdecydowanie musi zawalczyć o swoje szczęście, musi się zdeklarować. Może będą żyły długo i szczęśliwie.

*

W czasie, gdy Balbina w taksówce podejmowała tak ważne życiowe decyzje, jej ukochana Julia siedziała z zespołem w kancelarii. Potrzebowali burzy mózgów. Zbyt wiele niewiadomych wiązało się ze sprawą kamienicy Gosztowica, a Julia w takich przypadkach zawsze i bezwzględnie projektowała z ekipą wszelkie możliwe scenariusze wydarzeń i przyczyn. To była niezawodna metoda, zawsze się sprawdzała, bo zwykle jedno z założeń okazywało się słuszne. Julia bardzo chciała wygrać tę sprawę dla rodziny Dominika. Tak teraz mówiła o wyzwaniu: „dla Dominika”, chociaż pamiętała oczywiście, iż pracuje też dla Elżbiety Rachowicz i że emocje w jej profesji są niedozwolone. Co z tego, nie mogła myśleć o nim bez emocji, wydawał się taki zakochany, po prostu zakochany, a Julia rozkoszowała się myślą, że ktoś mógł ją pokochać niemal od pierwszego wejrzenia, jak w książkach. Nie wiedziała jeszcze, co zrobi, co mu odpowie, sama nie знаła swoich decyzji, ale chciała pokazać mu jak świetną jest prawniczką. Zdobędzie dla niego tę kamienicę. Będzie z satysfakcją odbierał podziękowania i wyrazy uznania. Pomoże mu ją sprzedać za bajeczne pieniądze. I chyba dopiero wtedy pozwoli sobie na zbliżenie z nim, z tym przystojnym, trochę nieodgadnionym mężczyzną o ładnych, mocnych dłoniach, które czuła już na swoich ramionach. Dopiero wtedy, w końcu była profesjonalistką i nie powinna romansować z klientem, chociaż sprawa nie należała do karnych. Niestety do tej cudownej zwycięskiej chwili wiodła jeszcze długa droga i to pełna zakrętów, a być może pułapek. Właśnie obmyślali strategię, jak je pokonać lub ominąć.

– Nasze problemy, nasze znaki zapytania, Arku?

– Całkiem sporo szefowo – Arek uniósł oczy znad okrągłych okularków. Jak zwykle chodził po pokoju, inni siedzieli wokół niej przy stole. Arek podszedł do tablicy i zaczął wyliczać, i rysować. Nakreślił gwiazdę Dawida.

– Mojsze Szenkel i jego potomkowie. Pytanie pierwsze: co się z nimi dzieje? Pytanie drugie: co się stało z ich prawem do połowy własności, skoro nie przepisano ich z księgi dawnej do nowej. Mimo pogromu Żydów w wojnę...

– I tak uwłaszczano wszystkie kamienice w czterdziestym piątym. Może w związku z tym nie bawili się w szczegóły?

– No, ale jakoś mieszkał tu ten jego syn ocalony z obozu. To jako kto? Najemca? Coś musiało zdarzyć się za okupacji.

– Co? Wtedy Żydzi nie kupowali i nie sprzedawali kamienic, szli do getta. Mamy, dajmy na to, rok 1943. W naszej kamienicy mieszka kto?

– Ja wiem – nieoczekiwanie odezwała się Miłka – sprawdziłam to. Do czterdziestego czwartego mieszkała tu córka właścicieli Klara, ta, co wyszła za Dymśkę i oboje poszli do powstania, a potem wyemigrowali. W mieszkaniu na trzecim piętrze, jak teraz pani Ela. Obok niej – uwaga – zamężna siostra naszego utracjusza, Lucjana Rachowicza, niejaka Zenka Luboczowa.

– Ale siostra męża właścicielki nie ma prawa do nieruchomości. Chyba że żona i dzieci właściciela nie żyją. A my mamy spadkobierców w prostej linii.

– To nie koniec, drugie piętro zajmowali Niemcy. Oficerowie. Na parterze utrzymały się geszefty: sklep z zabawkami, cukiernia, a żydowskiego krawca wysłali oczywiście do getta.

– A pierwsze piętro?

– Na pierwszym piętrze pokoje zamieniono w restaurację dla oficerów niemieckich. Obawiam się, że były tu też pokoje... hmm, schadzek, usług erotycznych byśmy dziś powiedzieli?

– Burdel koło knajpy, znaczy? Skąd ty to wiesz, Miłka?

– Wszystko z miłości do medycyny. Badałam swego czasu dawne przychodnie, przedwojenne gabinety lekarskie w mieście. Wpadłam na trop takiej lekarki, dermatolog, ale też ginekolog miała tu swój gabinet. Ona wymyśliła maść antygrzybiczą na bazie piołunu! Żeby przetrwać wojnę i móc pracować, oddawała usługi Niemcom, a raczej ich lekkomyślnym kochankom, świetnie dokonywała aborcji.

– W naszej kamienicy? – słabo zapytała Julia.

– Dziwnie brzmi to „w naszej”, ale tak – uśmiechnęła się Miłka – i popatrzcie, jak to się dziwnie plecie: teraz na drugim piętrze też jest prywatny gabinet lekarski.

– Jak to ? – Julia wspomniała piękną parę kochanków – myślałam, że mieszkania.

– Jedno mieszkanie i dwa gabinety. Jeden z nich należy zresztą do mieszkańców, pod piątką egzystuje sobie dobrze młody lekarz z żoną. Drugi gabinet? Nie wiem, kto prowadzi.

– To się dowiedz – poprosiła Julia – chociaż do sprawy własności niewiele to wnosi. Podobnie, Niemcy za okupacji czy wynajem na cukiernię. To niczego

nie zmienia. Podstawowe nasze pytanie: krąg spadkobierców, czyli co z Szenkelami. Daliście ogłoszenia?

– Oczywiście – Arek narysował na tablicy herb i datę 1897. – Pytanie drugie: jak kamienica dostała się w ręce rodziny Gromadzkich w roku 1897? I czy Alojzy, ojciec Krystyny, był jedynym kupcem, potem właścicielem, ergo: czy miał prawo oddać dom córce w posagu?

– Ba! – w zamyśleniu odparła Julia. – Pewnie jakaś odpowiedź jest w książce Dominika, ale nie miałam czasu czytać, zresztą potrzebujemy dokumentów, nie książek.

– Jeśli o książce mowa, jest pytanie trzecie: doczytałaś, że Groterowa była w ciąży?

– Tak, doczytałam do ciąży. Chodzi o jej potomka?

Arek powiedział: właśnie i narysował na tablicy coś, co miało być chyba kołyską ze znakiem zapytania. Grześ podniósł rękę jak w szkole.

– Grzesiu, co wiesz?

– Sprawdziłem te kamienice w całej Europie – dumnie obwieścił Grześ. – Przejąłem zadanie od Arka, bo wiąże się z historią jubilerską. Styl naszego pana Schatmeyera jest znany w dziewiętnastowiecznym budownictwie. Postawił sześć „kamienic sióstr”. Dwie w Berlinie, po jednej w: Warszawie, Lizbonie, Pradze i Brukseli.

– Brawo ! A co z samym architektem?

– Zmarł gdzieś w Wittenbergii, jeszcze przed pierwszą wojną, ale oszalał. Wieścił dwie straszne wojny i opowiadał, że kto przetrwa, ten będzie budował wszystko od nowa. Zresztą, może nie był wcale taki szalony. Ale pojawiają się moje ukochane kamyczki. Zanim trafiłem na Schatmeyera architekta, znalazłem niemieckiego Schatmeyera jubilera. Znaczącym diamentów, szafirów i pereł w skali europejskiej. Ślad po nim znika też przed pierwszą wojną, umarł chyba. Myślałem, że przypadek, a oto nie. Brat. Rodzony brat.

– Co to ma do sprawy? – Arek złapał się za głowę. – Nic nie rozumiem, za dużo wątków.

– Nie wiem – jego młodszy kolega wzruszył ramionami – tylko jedno: te kamienice Schatmeyera coś łączy.

– Pewnie klątwa – zadrwiła Miłka.

– Nie. Otóż coś ciekawszego. Każda z nich musiała mieć zamurowany pokój. Schatmeyer widać od młodości miał świra na tle ukrywania się przed kataklizmami. Każda.

– Nasza też?

Nasza też powinna... ale w planie budynku, złożonym do księgi nie ma czegoś takiego.

– No to mamy czwarte pytanie. Ukryta komnata... do kogo u licha należy taka nieruchomość, jeśli jest? – Arek narysował kłamkę od drzwi wyrastającą wprost ze ściany.

– Poszukam jeszcze raz w zbiorach pani Elżbiety, poczytam dalej powieść Dominika – Julia patrzyła z niepokojem na te rysunki. – Wy natomiast idźcie myśleć, idźcie szukać, co to mogło być. Jutro chcę usłyszeć wasze projekcje.

– Jutro szefowo jest sobota i mamy bankiet z koncertikiem u miss Rachowicz – przypomniał Arek.

– A. To dobrze, jeszcze lepiej, macie cały weekend – uśmiechnęła się, obracając na rękę bransoletkę od córki – więcej wymyślicie. A jutro proszę mi być w strojach na poziomie, reprezentacyjnie, to jednak służbowe wyjście.

– Szefowo – powiedział Grześ – mogę jeszcze coś?

– Aha – już wstawała od stołu, bo przed powrotem do domu zamierzała zajść do pani Elżbiety, przejrzeć kilka następnych dokumentów.

– Niech pani nie nosi bursztynów, szefowo. Srebro tak, ale bursztyny nie są dla pani.

– Oj, Grzesiu, ty metafizyku, dostałam od córki.

Miłka popukała się w głowę, patrząc wymownie na Grzesia, Arek chrząknął znacząco.

– Bursztyn przyniesie komplikacje – westchnął Grześ.

– Parasol, szefowo, konieczny. Leje na zakończenie wakacji jak z cebra.

– Koniec wakacji, jesień, Hanka idzie do maturalnej klasy – przypomniało się Julii. Wiesz co, Arcik, zamów mi taksówkę, i tak muszę tu wrócić na spotkanie z nową klientką. Ta z kolei chce odzyskać działkę w sercu miasta. Co za bum na nieruchomości!

*

Pani Elżbieta, poruszona przyjazdem córki, nie była zachwycona najściem Julii, która uparła się, by mimo wszystko systematycznie zaglądać do dokumentów. Prawdę mówiąc, niewiele wносиły. Większość papierzysk to były pamiątki rodzinne, stare listy, zdjęcia, metryki urodzin i zgonów,

nieważne obligacje, wycinki z gazet o wynikach wyścigów konnych w 1922, w których wygrała klacz Lucjana Rachowicza, akcje nieistniejącej fabryki mebli. Z listów, owszem, można było wyłuskać pewne informacje o adresach czy o relacjach między ludźmi, ale te, które ocalały, w większości były powojenne. Co mogło się stać ze starszymi? Wojna pewnie, pożary i bombardowania, ucieczki, kolejni lokatorzy, coś tak kruchego jak papier miało prawo zniknąć. Ale z drugiej strony – na Mokotowie ocalała z bombardowań po powstaniu tylko ta jedna kamienica. Musiała godnie i tragicznie wyglądać prawie nienaruszona wśród pobojuwiska gruzów. Niemniej oznaczało to, że te mury stały tutaj od końca XIX wieku, musiały być jakieś kufry na strychu, sejfy może.

– Pani Elżbieto – Julia wyszła do swojej klientki ze zdjęciem Krystyny Rachowicz w rękę – czy wiadomo, co stało się z pamiątkami z domu pierwszych państwa Rachowiczów, Krystyny i Lucjana? Musiało coś być. Rozumiem, że książki z biblioteki, meble, obrazy, naczynia – to wszystko zabrała wojna, a potem komuna. Ale może gdzieś są jeszcze jakieś listy, dokumenty.

– Pani mecenas, przecież babka Dominika, Klara, nie wzięła ze sobą do powstania kufra z dokumentami! – Elżbieta spoglądała nerwowo na zegarek. Chciała już jechać na lotnisko po Betty, zastanawiała się, czy zostawić tutaj samą prawniczkę z jej papierami, czy po prostu poprosić, by wyszła. – Nie wzięła także rodzinnych pamiątek do kanałów. Wie pani z historii, jak było: uciekali w tym, co na sobie. A czego pani tak szuka?

– Właściwie najbardziej byłby mi potrzebny jakiś niepodważalny akt własności kamienicy, przejęcie jej przez kupca Gromadzkiego. Wprawdzie mamy te księgi wieczyste, ale sama pani widzi. Dwie i w każdej co innego. Jeśli kupił ją w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku, to nie tak znowu dawno. Starsze dokumenty się zachowują.

– W Anglii może tak, ale nie tutaj, nie w tym kraju – westchnęła tragicznie Elżbieta.

– A to zdjęcie? – zapytała Julia. – Jak ocalało?

Elżbieta zmieszała się albo tak tylko wydało się Julii. Popatrzyła na fotkę Krystyny, wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, doprawdy. Może mój teść wziął na wojnę zdjęcie matki? On szedł z Andersem, przeżył, więc i zdjęcie ocalało. Piękna była, prawda?

Obie kobiety pochyliły się nad fotografią w sepia, Krystyna, z burzą

rudawych włosów, ujętych w dwa pukle jak uszy pudła, w sukni spiętej pod szyją ciemną kameą, młoda, dumna, ale lekko uśmiechnięta, zaiste była piękna, uroda ponad czasem. Dziś także by była. Mogła mieć na tym zdjęciu dwadzieścia parę lat.

– Już Gosztowicowa – potwierdziła Elżbieta – proszę zobaczyć, ma na palcu herbowy pierścionek. I pomyśleć, że to córka kupiecka! – Nostalgia za minionym feudalizmem kryła się w westchnieniu. Ale otrząsnęła się szybko. – Pani mecenas, ja muszę już jechać na lotnisko. Może pani zostać, poszperać jeszcze w aktach, jeśli tak, Wandzia poda herbatę, ale ja bardzo chcę zobaczyć córkę.

– Oczywiście, oczywiście – Julia nie zamierzała zostawać pod czujnym okiem Wandzi i przeszkadzać w powitaniach – tylko teczkę z metrykami pożyczę, dobrze?

Ela gotowa była zgodzić się na wszystko, byle tylko wyjść. Julia spojrzała w otwarte drzwi pokoiku po lewej stronie i zapytała:

– Czy tu będzie lokum Betty? Pokój paniński?

– Tak – odpowiedziała Elżbieta Rachowicz – skąd pani wie?

– Tak mi przyszło do głowy – wymijająco odrzekła Julia. Drzwi skrzyknęły, bo Wandzia niosła do środka naręczce świeżej pościeli, a w niejasnym wspomnieniu Julii zza podobnych drzwi wyszedł powoli duży przegowany kot.

– Macie kota? – zapytała

– O, nie! Co to, to nie – Elżbieta uśmiechnęła się, wyciągając rękę na pożegnanie. – Mam od dziecka alergię na sierść. Pani mecenas, do zobaczenia jutro wieczorem. Pozna pani moją Betty.

Julia wyszła na plac Tołłoczki, deszcz przestał padać, znów było ciepło i świeżo w mieście, znów ludzie zasiadali przy stolikach na powietrzu. Telefon w torebce wysyłał sygnały. SMS od Balbiny, że wróciła i w niedzielę przyjdzie czytać dalszy ciąg powieści Dominka. SMS od Hanki, z informacją, że wróci późno, bo idą z Przemem na imprezę. Wróciła do rzeczywistości. Postanowiła pieszo wrócić do centrum, zaczęła dzwonić do córki i nie zauważyła, że podąża za nią dziwak w kapeluszu z piórem, drelichowych spodniach do kolan, wiszących na szelkach jak na drągu. Po prostu ożywiony, obdarowany siwymi wąsami strach na wróble we własnej osobie. Bo gdyby strach był żywy, tak właśnie musiałby wyglądać.

*

Betty okazała się czarująca. Była pianistką, koncertowała w Europie, przyjechała do Warszawy na kilka występów w filharmonii. Julia zawstydziała się na myśl, że wyobraziła ją sobie jako kostychną, angielską starą pannę. Jakie okulary i staropanieństwo? Betty Ashton była mężatką, niedużą, pulchną kobietką po trzydziestce, ruchliwą i wciąż uśmiechniętą, z rudawą falą skręconych włosów. W ogóle nie wyglądała na Angielkę, jeśli już to na małą Irlandkę. Witała z matką gości już w korytarzu, mówiła dość poprawnie po polsku, wszystkich ścisła i całowała w policzki. Na widok Dominika rozszczebiotała się całkowicie, płacząc angielski z polskim, widać kuzyni bardzo się lubili. A Dominik, który z kurtuazją podjechał pod dom Julii swoim samochodem, wysiadł, by otworzyć jej drzwi, wprowadzał ją pod ramię, zdejmował płaszcz, podawał powitalny kieliszek szampana, słowem zachowywał się nie jak klient, lecz co najmniej partner. I w konsekwencji musiała zarumieniona wyjaśniać uroczej Betty, że nie jest girl friend Dominika, lecz prawniczką, i udała, że nie dosłyszała, jak Dominik szepnął kuzynce do ucha: *not yet*, jeszcze nie.

Julia sądziła, że będą gościć w salonie Elżbiety, nawet dziwiła się wczoraj, że nie widzi przygotowań. Okazało się jednak, że czeka ich mała niespodzianka. Kiedy już większość gości odbyła rytuały powitalne, pani Elżbieta otworzyła drzwi za salonem i wprowadziła wszystkich do specjalnie przygotowanej sali, niezwyklej. Wysokie pomieszczenie rozjaśniały świece ustawione w łukach ścian, na specjalnych postumentach i w oknach. Nie było tu podłogi w zwykłym rozumieniu – pod butami chrupotały białe kamyki grysiku. Ścieżki ułożone z gładkich marmurowych płytek prowadziły do stołu w centrum, długiego, prostokątnego, przybranego w biały obrus. Już pyszniły się na nim owoce i słodczyce, zastawa i oczywiście świece. Julia poczuła się onieśmielona, Dominik był przy niej. Pani Elżbieta zapraszała, usadzając gości, kelnerzy z butelkami wina natychmiast oferowali białe lub czerwone. W głębi, pod ścianą stał fortepian, prawdziwy i okazały Bechstein. Widocznie biesiada zacznie się od zapowiedzianego koncertu. Wszyscy obecni czuli się swobodnie, być może po powitalnych napitkach, Julia nie. Ze zdziwieniem patrzyła, jak jej trójka młodych prawników obraca się wśród tych ludzi jakby byli u siebie, zawierają znajomości, wymieniają wizytówki. Boże, Grześ

najwyraźniej plółł coś o kamieniach z bransoletki Betty Ashton, trzymał w ręku jej przegub, pokazywał i popisывwał się płynną angielszczyzną. Pozostałe osoby, nieznane Julii budziły w niej bardzo różne odczucia. Panowie w garniturach i pod krawatami, konwersujący jakby znali się od lat. Pytali Dominika, czy jest coś mocniejszego niż to szlachetne wino, więc Dominik przeprosił na chwilę Julię i zaprowadził panów do jeszcze innego pomieszczenia, salki obok, doskonałej na cygaro, fajkę i wyposażonej w barek z mocniejszymi trunkami. Kobiety były dobrze ubrane, koktajlowo, raczej dojrzałe, raczej zamożne, najwyraźniej zaprzyjaźnione z Elżbietą. Młodzieży nie było. Julia zastanowiła się, czy ubrała się odpowiednio, bo pozwoliła sobie na sukienkę w mocnym kolorze indygo, rozkloszowaną i przewiazaną w talii szeroką szarfą. Dekolt ta sukienka miała odważny, odsłaniała ramiona i górę biustu, ale Julia czuła się w niej jak dama z minionego stulecia, narzuciła futrzaną pelerynkę, jakby wybierała się do kościoła. Jej brygada prezentowała się bez zarzutu, chłopcy Arek i Grześ w najlepszych siwych garniturach, a Miłka w czerwonej jak mak sukience. Niepotrzebnie tylko rozglądali się po kątach jak jakaś szajka szpiegowska. Dominik powrócił z panami, Elżbieta dała znak, że będzie mówić, i bez najmniejszej tremy, pośrodku komnaty, spowita w jedwabny szal zaczęła witać gości, opowiadać o radości z wizyty córki, o wszczętym procesie o odzyskanie mienia – tu przedstawiła Julię i jej zespół, i wszystkie twarze odwróciły się ku nim. Julia skinęła głową i wzniosła kieliszek do otaczających ją ludzi. Pani Elżbieta wywołała z tłumku Betty, której nie musiała przedstawiać. Jeszcze raz dała wyraz swojej matczynej miłości i dumie, po czym zaprosiła na koncert, a potem na kolację i – jak miała nadzieję – miły wieczór. Julia czuła się trochę jak we śnie, w innej epoce, w innej kulturze. Dominik podał jej ramię i prowadził do krzesła, by mogła wygodnie słuchać muzyki i widzieć artystkę.

– Dominiku – szepnęła – czy dużo tu macie takich sal rycerskich? W trzypokojowym mieszkaniu? Może ta przestrzeń rozsuwa się jak w fantastycznej bajce?

Dominik uścisnął jej palce, uśmiechnął się do niej.

– Nie mamy, ale może dzięki tobie będziemy mieć. To sala biesiadna oryginalnie zachowana w kształcie z XIX wieku. Teraz należy do państwa, Ela wynajęła ją na koncert.

– Dominiku – mówiła nadal, bo goście jeszcze sadowili się na widowni – ale to się dzieje naprawdę i jesteśmy w naszych czasach?

– Tak, Julio – Dominik zrobił zabawną minę – nasze czasy też potrafią być eleganckie i zabawne zarazem. Zaraz posłuchasz jak bardzo. Betty gra ślicznie.

Betty grała ślicznie, znane kawałki klasyki, od czasu do czasu odwracając głowę ku swoim widzom i uśmiechając się do nich, poddana muzyce. Nie stwarzała napięcia oficjalnego koncertu, bo też grała dla swoich, dla przyjaciół matki, dla dobrego nastroju i nieodpłatnie. Grała ponad godzinę, a i tak widownia nie chciała jej wypuścić. Po kilku bisach artystka zwróciła się jednak ku gościom: mama mnie zabije, gorące dania zamówione są na konkretną godzinę. Chodźmy do stołu.

Stół kusił apetycznymi potrawami. Julia kątem oka dostrzegła, że Grześ nakładł sobie kopiasty talerz. Potem panowie poszli palić do pokoju obok, Betty opowiadała, gdzie ostatnio koncertowała, a Julia, wolna od ciągłego towarzystwa Dominika, wymknęła się do łazienki. Zastanawiała się, co byłoby, gdyby ulotniła się po angielsku, bo atmosfera bankietu, widok tej sali i okien obudziły w niej niejasne wspomnienia i uczucie smutku, chciałyby wyjść. Poszła cicho cicho ku szafom z paltami, lecz tu nagle wyrósł przed nią Dominik i zagroził jej przejście.

– Jestem bardzo zmęczona – zaczęła wyjaśniać.

– Rozumiem – odpowiedział – chodź, tu jest miejsce, gdzie można znakomicie odpocząć.

– Jeszcze jeden pokój? – zapytała. Dominik przytaknął, otworzył drzwi za łazienką i posadził Julię w głębokim fotelu. Był to rodzaj gabinetu, minicytelni: fotel, stolik, lampa, książki. Nic ponadto, tylko obraz na ścianie: duży, za duży do tak małego pomieszczenia, w dodatku portret. Julia zaciekawiona usiadła wygodnie, zdjęła buciki, które ją uwierały. Dominik usiadł przy niej na podłodze, i zaczął masować jej stopy.

– Mieliśmy porozmawiać – przypomniała, a wtedy ten dziwny człowiek pocałował ją w stopę, w łydkę i uniósł się. Klęczał teraz pomiędzy jej kolanami. Nie mogła się powstrzymać, znów rządził nią ten prąd, który pchał ją ku Dominikowi. Ujęła jego głowę w obie ręce, przeczesła włosy, roześmiała się kokieteryjnie. Przycisnęła uda do jego boków, pochyliła się ku niemu i pocałowała go w usta. Ona pierwsza objęła nagimi ramionami jego szyję, poczuła, że jego ręce wędrują w górę po jej kibici, zatrzymują się na piersiach. Zła na sukienkę, zapragnęła, by dotykały jej bez ubrania, jednak Dominik nie posunął się do tego, by zdjąć z niej cokolwiek. Pieścił piersi przez materiał w kolorze indygo, zapatrzonej w jej oczy. Ta jedyna pieszczota,

lekka, ale nieustanna obudziła w Julii nieznane odczucia. Gdyby ją przy tym całował, gdyby powędrował drugą ręką pod suknię, może czar by prysnął. Ale on, wiedziony instynktem, czuł, że powinien postępować powoli, nie rozpraszać jej odczuć na wiele doznań. Widział, jak wrażliwe ma sutki, jak zarysowały się twardo pod materiałem, masował je cierpliwie, pocierał, dotykał przez suknię palcami i obserwował narastające w niej podniecenie, obejmującą ciało ciepłą falę, błyszczące oczy, przyspieszony oddech, cała ogarnięta tym odczuciem, zaczęła ustami szukać jego ust. Całowali się więc i on na chwilę zdjął ręce z jej piersi, ale natychmiast znalazła je i kazała im wrócić na miejsce, ścisnąć ją jeszcze mocniej, niemal do bólu. Czowała że doznaje orgazmu od samej pieszczoty piersi i zapragnęła, by ten mężczyzna, który klęczy między jej kolanami, doprowadza ją do rozkoszy, też zaznał przyjemności. Przesunęła się na fotelu do przodu i szerzej rozsunęła nogi. Nie pozwoliła mu zdjąć rąk z biustu, sama rozpięła jego spodnie i sprawdziła dłonią, jak bardzo jest podniecony. Był, bardzo. Poprowadziła pulsujący, twardy penis pod suknię, w głąb siebie, osuwając tylko na bok rąbek majtek i błogosławiąc sierpień, który pozwalał nie zakładać rajstop na opalone gładkie nogi. Dominik przyjął wyzwanie, zaskoczony jej odwagą, porzucił wypięszczone piersi, uniósł pośladki i wszedł w miękkie, wilgotne ciało. Pchnął tylko kilka razy, zanim wbiła się w niego paznokciami, a twarz ze zduszonym okrzykiem schowała w jego koszulę. Doznała przenikliwej rozkoszy, niespodziewanie dla siebie, mocno, szybko, wszechogarniającą siłą. Dominik jeszcze nie, przewrócił ją na dywan, zerwał majtki, bo mu przeszkadzały, oddał się miłości, oddychając coraz szybciej. Gdyby ktoś wszedł teraz, zobaczyłby szczytującego Dominika i zastygłą w powracającej rozkoszy Julię, właściwie całkowicie ubranych. Na szczęście nikt nie wszedł, jedynie dama z portretu miała chwilę rozrywki, a kochankowie po chwili opamiętania i uspokojenia zaczęli się śmiać. Dominik uniósł jak sztandar jej podarte stringi, zamknął je w dłoni i powiedział:

- Muszę ci odkupić.
- Musisz – potwierdziła – te możesz wziąć na pamiątkę. Podrapała go po plecach i znowu zaczęli się śmiać: z siebie, z sytuacji, z majtek. W końcu Julia dotknęła obolałych piersi.
- Ty draniu, wygniotłeś je za wszystkie lata postu – zażartowała, czochrając mu czuprynę – musimy iść.
- Nie powinny były pościć – powiedział poważnie – owszem, musimy,

gdyby nie to...

Ręka Dominika niebezpiecznie zaczęła podążać do dekoltu Julii, ale ona roześmiana, zapłoniona jak pensjonarka, odsunęła je tym razem, zerwała się, poprawiła suknię i szal i podała mu rękę.

– Wracamy na salę. Zapewniam cię, że pierwszy raz będę na bankiecie bez bielizny.

– Nie martw się, będą tutaj – zapewnił pokazując na wewnętrzną kieszeń marynarki i poklepując klapę. Na myśl o Julii w sukni do kostek, ale bez niczego pod spodem poczuł pożądanie i musieli się zatrzymać, bo chciał przynajmniej ją pocałować. Julia pokazywała palcem na jego wypukłość pod rozporkiem i śmiała się do łez.

– Musisz odczekać – szepnęła – uspokój go! I lepiej wróćmy oddzielnie. Ja pójdę do łazienki, potem do Elżbiety, żeby się pożegnać, a potem odwieziesz mnie?

– Tak, ale taksówką – odrzekł. I tak się stało. W taksówce nadal zachowywali się nieprzyzwoicie, obecność kierowcy podniecała oboje. On co chwila sprawdzał, czy ona rzeczywiście jest bez majtek, a ona, czy to go nadal podnieca. I to, i to było prawdą, dojechali w wyśmienitych humorach, Dominik odprawił taksówkę, patrzył na nią pijanym, zakochanym wzrokiem.

– No a teraz co będzie? – zapytała wesoło Julia. – Córka w domu, nie mogę cię zaprosić. Ech – westchnęła – ale wezwę ci taksówkę i poczekam z tobą spacerując, bo taka ciepła noc. A ty taki przystojny – znów zbadała ręką stan jego podniecenia, nie ustępował. Julię zaś ogarniała figlarna chęć złagodzenia tego stanu.

– Nie mogę cię tak wypuścić – powiedziała – chodźmy do altanki. I spiesz się, musisz zdążyć, zanim przyjedzie taxi.

Wziął ją pospiesznie, niecierpliwie, opartą o ścianę w altanie. Ścianka obsunęła się wprawdzie pod ich ciężarem, ale tylko dodatkowo ich to rozbawiło. Pocałował ją i szepnął, że teraz ma jeszcze altankę do odbudowania.

– Prawdziwa lady demolka z ciebie.

Patrzyła, jak wsiada do samochodu, uniósł rękę, a ona posłała mu pocałunek.

*

Rano ukryła twarz w poduszki. Niedziela, na szczęście niedziela, bo do pracy by pójść nie mogła. Rzuciła się wczoraj na łóżko w sukni, nad ranem śnił się jej Dominik, potem, że bolą ją piersi jak w ciąży, a potem, że rumor altanki obudził Hankę i ta z potępieniem patrzy na matkę. Nie obudził. Hania chodziła własnymi ścieżkami, miała teraz w głowie Przema i początek roku szkolnego, a oni w tej altance zachowywali się jednak dość cicho. Nie zmieniało to faktu, że czuła się rozkosznie obolała, czuła się kochanką Dominika, czuła się więcej niż heteroseksualna, bo wspomnienie jego podniecenia powodowało w niej falę gorąca i tęsknoty. A jednak schowała twarz w poduszki.

– Cudownie, Julko – szepnęła – przecież to klient. Cudownie było i tyle – dodała – i nie żałuję. Nawet jeśli on już nigdy nie zadzwoni.

Dominik zadzwonił przyzwoicie, po dwunastej. Prosił o spotkanie, wyznał w słuchawkę, że o niej myśli, bo znalazł coś w kieszeni i jak na to patrzy, to nie mieści się w spodniach.

– Ty erotomanie, ty fetyszysto – odpowiedziała – dzisiaj mowy nie ma, jestem umówiona z przyjaciółką. W pewnym sensie tu będziesz, czytamy twoją książkę. Ale jutro...

Jęknął, ale zniósł to dzielnie. Umówili się na poniedziałek po południu, pod kancelarią. „Będę pamiętać ten bankiet przez całe życie” – pomyślała Julia, wspominając pakamerę za łazienką, znów z poczuciem, że zna to miejsce od dawna. I ta mała dziupla z fotelem, portret i ta miłosna scena, która się zdarzyła – jakoś nie były jej obce.

– Co to był za bankiet! – oznajmiła już przy powitaniu Balbinie, przybyłej w niedzielne popołudnie na plotki i czytanie powieści. Policzki jej płonęły, oczy błyszczały i ciemność zapadła w duszy Balbiny, bo zrozumiała, że czas na jej wyznanie z pewnością nie nadszedł.

– Co za bankiet, mówię ci! – powtórzyła Julia.

III Klątwa

– Co to był za bankiet! – Wiktoryna obracała oczami, sapłała, bo tusza przeszkadzała jej coraz bardziej. Siedziała w kuchni otoczona wianuszkami pokojówek, kucharek i służących. Młodsza podkuchenna przyniosła jej wody. – Ostatni w starym mieszkaniu pewnie. Pan Maurycy oszalał ze szczęścia, ale i ma powód. Dziecko dorodne i chłopak od razu, dobrze, bo pani Klementyna powiedziała mi po porodzie, że dzieci więcej nie chce. Nie

spodziewała się, że to aż taki trud. – Wiktoryna uśmiechnęła się z wyższością. – Krzyczała i siniaki mi nad łokciami porobiła, pan omal nie zemdlął, słysząc te krzyki... A ja na to powiem, że poród całkiem dobry jak na niemłodą już pierworódkę. Pani Klementyna prawdziwie trudnych porodów nie widziała. Taka pani Jamrozowa, biedactwo, rodziła trzy dni i na koniec umarła, a miała lat niespełna dwadzieścia... A ty czego słuchasz znajdo? – krzyknęła w stronę podkuchennej – nie dla panien to opowieści!

Podkuchenna uciekła przegoniona ścierką, inne młodsze służki też się wyniosły, a pełna chwały Wiktoryna zamyśliła się nad kubkiem herbaty. Ileż to ona porodów odebrała. Mogła śmiało nazwać się mistrzynią w położniczym fachu. Towarzyszyła damom i mieszczańkom, a i służącym, i gospodyniom na wsi pomagała, jak ją zawołali. Doktorzy z respektem słuchali Wiktoryny, a jej doktor przy porodzie tylko przeszkadzał. Pan Maurycy też niepotrzebnie doktora Mackiewicza wołał, doktor się nudził, bo bóle wcześniej się zaczęły i tyle było z niego pożytku, że pana Maurycego koniakiem wspierał.

– Kiedy się na dobre zaczęło z panią Klementyną – podjęła opowieść Wiktoryna – to tego doktora pani nawet wpuścić nie chciała do komnaty. Zawsze mężczyzna. Po mojemu doktorzy przy porodach niepotrzebni, chyba że kroić brzuch trzeba, no to już musi być. Operacji ja nie zrobię.

Chociaż, gdyby tak mogła się tego uczyć. Tyle razy widziała, i jak narzędzia przygotować, jak pacjentkę znieczulić. Przy młodej Jamrozowej nie była, a kto wie, żeby ją zawołano, może by żyła jeszcze ta krucha blondynka, której nie pomógł ani doktor, ani pielęgniarka zza granicy. „Krew pewnie poszła pierwsza” – rozmyślała Wiktoryna – najgorzej, jak pójdzie pierwsza krew i łożysko... albo potem zaniedbali.

Ile kobiet by nie umarło, żeby zakażenie się nie wdało! Już ona zadbała, żeby u Klementyny wszystko było zmieniane, gotowane, czyściuteńkie. Bała się, czy dzieciątko przypadkiem pośladkami nie idzie, ale nie, dobrze się w końcu ułożyło i wszystkiego sześć godzin rodziła, a krzyku! Sinawy trochę był, to z wody go Wiktoryna ochrzciła i zadowolona patrzyła na nieporadne ruchy, słuchała, jak pierwszy okrzyk wydaje, niczym skrzeczenie żabki. To był miły moment w jej pracy. Ale najbardziej Wiktoryna lubiła potem ten wyraz twarzy matki, jak ją oblewa ulga i czułość, i do dziecka, i do położnej, a i do męża nagle, chociaż przed chwilą wrzeszczała taka, że już nigdy go do sypialni nie wpuści. Pani Klementyna wprawdzie nie krzyczała nic

podobnego, w ogóle nic konkretnego, tylko jak ból odchodził, to łapała Wiktorynę za ramię i obiecywała zadyszana: nigdy więcej Wikciu, ja nie jestem do rodzenia stworzona, a jak ból przychodził, to tak ją ścisnęła, że ot i Wiktoryna całe ma ręce w siniakach. Ale szczęście rozlało się po twarzy Klementyny, kiedy Wiktoryna głośno obwieściła: chłopak! Zdrowiutki jak rydzyk.

Ucięła pępownię, nie dała małego Grotera umyć, tylko położyła pani przy sercu i pierś matki mu od razu podała.

– I nie popękała mi pani, dobre mięśnie – pochwaliła Klementynę. Wszystkiego dopatrzyła i jak pana poproszono do żony, to już oboje i matka, i synek wyglądali pięknie, tylko pani blada jeszcze i zmęczona, synek okropnie brzydki, bo nosek zadarty, a plamy na twarzyczce jeszcze nie zeszły. Wiktoryna ręce złożyła z radości. Pan otarł łzę wzruszenia. Doktor pijaniutki spał w bibliotece, a kilka przecznic dalej Karol Wierzbicki wcale nie w przybytku rozpusty, lecz w kościele czekał na wieści, modlił się po raz pierwszy tak gorąco, o to, żeby przeżyła. „Niech diabli porwą dzieciaka” – tak się dziwnie modlił – „i Maurycego, i mnie, byle tylko ona nie cierpiała, i przeżyła”. Kto wie, może i on biedy późniejszej narobił, bo tak się modlić nie wolno.

Po szczęśliwym porodzie nic jednak nie zwiastowało kłopotów. Dziecko było zdrowe i głośne, Klementyna miała pokarm i chciała sama karmić syna, który zgodnie z obietnicą dostał imię przyjaciela, a drugie po matce. Także mały Karol Klemens Groter wierzgał nogami w kołysce, przybywała do niego rodzina podziwiać i witać go na świecie. Chrzciny planowano huczne już w nowej kamienicy, budowniczy uwijali się tam jak w ukropie, rusztowania objęły cały gmach, błękitną elewację i rzeźby przygotowywano ze szczególną starannością. Ostatni bankiet wydał Maurycy na cześć żony, po uroczystej mszy w podzięce za potomka. Karol obiecany legat przywiózł w darze. A Maurycy podarował Klementynie perłową kolię, taką jaką sobie wymarzyła, bo uważała, że do jej urody perły szczególne pasują. A wypiękniała po porodzie jeszcze bardziej, macierzyństwo kobietom służy i tak mąż, i jego przyjaciel patrzyli na nią z zachwytem jak w luźnych jasnych sukniach nosiła na rękach dziecko i kołysała do snu. Jesień zapanowała ciepła, bardzo pragnęła teraz własnego parku i altany, więc jeździli obaj i razem, i na zmianę, pospieszając prace przy wykończeniu kamienicy i parku. I tylko Wiktoryna, która bankiet ze szczegółami omawiała

z personelem w kuchni, a miała co opowiadać, bo jako opiekująca się dzieckiem była obecna przy kołysce, nie ze wszystkiego była zadowolona.

– Widzisz Józia – mówiła swojej przyjaciółce, Józefie Piętkowej, zarządzającej kuchenną służbą – jak anioły oni by żyli, gdyby nie ten zły duch, cały ten pan Karol Wierzbicki.

Józia kiwała głową, bo o niejednej pokojówce, zepsutej przez pana Karola już słyszała.

– Pani bym doradziła jeszcze córeczkę urodzić, zanim jej czterdziestka przyjdzie – snuła proroctwa Wiktoryna – bo ty wiesz, Józia, i ja wiem, że ból rodzenia najszybciej się zapomina. I jak jedno dziecko jest, drugiego się chce, i pani zapomni, że się zarzekała. Córeczka panu Maurycemu serce by zabrała. Ale ten potępieniec między nimi się płącze...

– Ale na małego legat dał – swarliwie przypomniała Józia – chrzestnym będzie!

– No i to mi się nie podoba – Wiktoryna kręciła głową. – Taki bezbożnik, co szasta pieniędzmi i kobiet nie szanuje, chrzestnym! Jeszcze mały Klemens podobny urośnie do niego – postanowiła nie nazywać dziecka imieniem Karola – a co najgorsze, że pan Maurycy żonie perły kupił.

– Perły – w zachwycie szepnęła Józia – a powiedz jakie.

– Nieważne jakie – Wiktoryna z wyższością popatrzyła na Józję – lepiej by było, żeby pani je tobie oddała jak takaś ciekawa. Perły, Józia, nieszczęśliwe. Lśniły na paninej szyi w trzech rzędach, wszystkie inne damy wzroku nie mogły oderwać, a ja coś czuję, że nie przyniosą jej szczęścia. Perły to łzy i cierpienie, bo z cierpienia powstały!

Widać w złą godzinę wypowiedziała te słowa Wiktoryna, bo po dniach szczęścia nadszedł wielki smutek. W połowie października nieoczekiwanie chwycił mróz, ściał kałuże, oblodził drogi, gałęzie, rusztowania. Pewnego dnia wybrali się obaj panowie, Maurycy i Karol, do swojej kamienicy. Spotkać się tam mieli z Schatmeyerem i Chmielem, bo prace końca dobiegały i jeśli wszystko dziś potwierdzą, Chmiel nakaże rusztowania zdejmować. Wspólnicy wybrali się nieco wcześniej przed spotkaniem, by sami we dwóch obejrzyć elewacje. Dom witał ich błękitnym frontem, okna zdobione biało, schody ogromne z rzeźbami przy poręczach i tylko rusztowania szpeciły piękno budynku. Mężczyźni weszli na rusztowania i pięli się ku górze, na sam szczyt, by sprowadzić jakoś prac, a i popatrzeć na piękną panoramę pól mokotowskich, widoczną z wysokości.

Nieszczęście nastąpiło w mgnieniu oka. Pan Maurycy stąpnął niefortunnie na oblodzony, metalowy element struktury. Poślizgnął się, zachwiał, krzyknął, załopotał rękami i może Karol zdążył się obrócić, może chciał podać mu dłoń, lecz jego przyjaciel spadł jak ciemny, utracony ptak. Karol złapał jeszcze jego przerażone spojrzenie, krzyknął strasznie i ruszył w dół, nie bacząc na niebezpieczeństwo. On jednak nie poślizgnął się nigdzie, ani na zakrętach, ani na schodach, a gdy zbiegł, już nad Maurycym Groterem stali przerażeni Schatmeyer i Chmiel.

– Kark złamał – szepnął Chmiel, który nie pierwszy raz widział taki wypadek na budowie.

– Jeszcze żyje – dodał Schatmeyer – dogorywa.

Maurycy żył jeszcze, ale nie było dla niego ratunku, nie miał czucia w członkach i nie mówił, oczami tylko wpatrywał się gorąco w Karola, jakby prosił go o opiekę nad swoją rodziną. Karol stał blady jak trup, chwycił za rękę Maurycego, który zapewne nawet nie odczuł dotknięcia. Skonał, zanim zawołano pomoc.

Karol rozumiał, że to on musi zawiadomić Klementynę. Siedziała w salonie, z odłożoną robótką, wpatrywała się w ogień. Nachodziły ją złe przeczucia, bo wspólnicy długo nie wracali, już zmierzchało, już powinni być. Z ulgą odwróciła się, gdy panna zaanonsowała Karola. Wystarczyło jednak, że spojrzała na jego twarz i zrozumiała, iż stało się coś złego.

– Klementyno, usiądź – poprosił Karol. Na dziedzińcu podniósł się rwetes, rzuciła się do okna i zobaczyła nosze.

– Czy żyje? – zapytała Karola. Zaprzeczył.

Klementyna nie zemdliała. Nie zbiegła natychmiast do ciała małżonka, nie zapłakała i nie zapytała Karola, jak to się stało. Tkwiła pośrodku pokoju, nieruchoma, biała, z rękami na piersiach. Karol ruszył ku niej, ale nie pozwoliła mu podejść. Nagle pękła w niej jakaś blokada i padła na kolana, chwyciła się za włosy i jak żałobna płaczka zaczęła kiwać się sierocym ruchem i wydawać przeciągłe, nieartykułowane dźwięki. Domownicy, którzy wiedzieli już co się stało, słyszeli to wycie i kiwali głowami ze zrozumieniem. Dziecko obudziło się, zaczęło płakać, ale matka w tej chwili nie słyszała jego krzyku. Skowyczała jak pies do księżyca, poszarpała sobie twarz, włosy rozsypały się po jej ramionach i plecach. Wyglądała na obłąkaną. Karol posłał po Wiktorynę. Kiedy zadyszana wbiegała, usłyszała tylko, jak Klementyna z wycia przeszła w klątwy i krzyczy do Karola:

– *Obyś zginął, obyś stracił mowę, wzrok i czucie w członkach! Nienawidzę cię! Nienawidzę!*

A kiedy Wiktoryna chciała podejść bliżej, zatrzymała ją ręką. Odruch rozpaczy i szukanie winnego skupiło się na posłańcu, który przyniósł złe wieści.

– *Ty go zabiłeś. Przeklęty niech będzie dzień, w którym namówiłeś go na ten dom. Przeklęta niech będzie każda kobieta, która wejdzie tam jako pani. Niech cierpi jak ja cierpię, niech krzyczy jak i ja teraz krzyczę. Moja noga tam nie postanie.*

Mimo lęku Wiktoryna ruszyła ku pani, która padła po tych słowach bez tchu na dywan, piana potoczyła się jej z ust, a paznokciami darła materię, dopóki nie zemdliała. Karol był szybszy od grubej Wiktoryny.

– *Zajmij się dzieckiem – rzucił jej szybko, a nieprzytomną Klementynę porwał na ręce i niósł ku sypialni, krzycząc strasznym głosem: „Doktora! Doktora Mackiewicza wołać. Jezu Chryste, ona umiera”.*

Julia popatrzyła na Balbinę. Ogarnęła je groza, chociaż to tylko powieść, tylko wizja Dominika Dymyzy, nie wiadomo nawet, czy zgodna z faktami. Napisał to tak, że tylko kalosz mógł pozostać obojętny.

– No i mamy klątwę, miałaś rację – powiedziała cicho Balbina. Kiedy wróciła i pełna emocji jechała do Julii, po drodze układała sobie swój *coming out* i cichą, ale poważną prośbę: „Pomyśl Jula, może ty też masz skłonność do kobiet, nie spieszmy się, ale nie odrzucaj tego uczucia”. A może nawet Julia pocałuje ją na powitanie, powie: „Wiesz, odkryłam to w sobie.” Nie, nie, to byłoby zbyt wiele, na to nie liczyła, wystarczyłaby nadzieja.

Julia jednak przywitała się z nią pobieżnie, przyniosła powieść do salonu, a zanim znalazła ostatnią czytaną stronę, zaczęła opowiadać.

– Ten bankiet, Balbi! A ten dziwny człowiek, adoruje mnie! Ale jak!

– Dominik? – zapytała Balbina.

– On sam – Julia uderzyła dłonią w wydruk – jak on całuje! A jak pisze! Jak anioł.

Balbina pomyślała, iż nie wie, jak piszą anioły, ale że Julia najwyraźniej zapomniała o ich małym *tête-à-tête* albo nie przykłada do tego żadnej wagi. I jednak nie domyśla się jej prawdziwych preferencji, bo rozczochrana teraz, w różowym szlafroku, źle dopiętym, rozsuwającym się na gołych nogach, nie

wodziłaby jej na pokuszenie. Myślami wciąż przebywała w mieszkaniu Elżbiety, w objęciach Dominika. Balbina zrozumiała to i pogrzebała wszelkie nadzieje.

– Opowiesz mi? – zapytała. Chociaż tyle, pokarm dla wyobraźni.

– Najpierw poczytamy, chodź, potem zjemy coś i może dam radę o tym mówić, bo muszę na chwilę oderwać się od tych myśli, Balbi... I czuję, że w powieści nareszcie będzie o kłątwie.

No i miała rację, było, i teraz patrzyły na siebie trochę zdumione. Spodziewały się, że Klementyna umrze przy porodzie albo zdradzi Maurycego.

– Popatrz, popatrz – rzekła Julia – więc to ona rzuciła kłątwe! Na wszystkie kobiety tego domu, to chyba i na Elżbietę Rachowicz, nie?

– Na kobiety, ale na Karola też. Dostawca złych wieści zawsze obrywa. Czy ona umarła? Przeczytaj jeszcze akapit.

Julia schowała szybko wydruk pod szlafrok, otuliła się szczelnie i oparła się o ścianę.

– Nie wiem, nie dam, nie powiem – roześmiała się. Gdyby nie to, że dodała: „Widzisz, to cały on, Dominik, mistrz napięcia”, Balbina uznałaby ten gest za prowokację. Wydruk leżał na białym, ciepłym brzuchu Julii, gdyby tak sięgnąć po niego?

Ale Julia znikła w gabinecie, wołając:

– Co tam dobrego przywiozłaś z Brukseli? Złapałaś tego megaklienta? Ja wrzucam dresik i gadamy. A Hanka jest z Przemem w kinie, wiesz już o tym Przemku? Jak wiking, broda i jasna czupryna, ale nawet nieźle chłopak wygląda.

Być może dostrzegła coś w oczach Balbiny, bo wyszła schowana od stóp do głów w szary dres, kompletnie aseksualna, usiadła po drugiej stronie stołu i oznajmiła przyjaciółce:

– Słuchaj Balbino, przespałam się z Dominikiem, dwa razy, i to było cudowne. Po prostu: Mój mąż nie miał zielonego pojęcia o seksie!

– No, no – powiedziała Balbina. – A co będzie dalej?

– Właściwie nie wiem. Nawet jeśli nic, to warto było.

– Oho, nic! – powiedziała Balbina ironicznie – na razie wrą w tobie endorfiny, ale obawiam się większych komplikacji. Jogę poćwiczmy, Julio, kilka asanów na uspokojenie.

*

Julia także obawiała się komplikacji, zwłaszcza gdy minęła jej euforia i zaczęła analizować sytuację racjonalnie. Domyślała się, iż jej przyjaciółka jest homoseksualna, że może stworzyła sobie jakieś nadzieje wobec niej, ale postanowiła udawać, że tego nie dostrzega, incydent na tarasie puścić w niepamięć i nie dopuszczać nigdy do niebezpiecznych sytuacji. Balbina zresztą pojechała do siebie, Hania jeszcze nie wracała i Julia została sam na sam ze swoimi myślami o Dominiku. Nie była głupia, nie była też naiwną nastolatką, nie kochała pierwszy raz w życiu i nie ona jedyna. Widziała sporo podobnych historii. Mimo satysfakcji, że ma romans, zdawała sobie sprawę, że to oznacza komplikacje. Dominik był jej klientem i nie chciała, by zmieniał kancelarię prawną. Nie była wprawdzie jego adwokatem w sprawie karnej, ale mimo wszystko trzeba będzie ukryć to, co się wydarzyło, przed wszystkimi, przed zespołem, przed Elżbietą i wysokim sądem. Przed samą sobą? To będzie najtrudniejsze. Postanowiła, że jej uczucia nie wpłyną na postępowanie w sprawie. Fakty są faktami, reprezentuję rodzinę, a pewnych pytań nie da się pominąć, czy sypiam ze spadkobiercą, czy nie. Na przykład przejęcie gmachu. Dominik pewnie jakoś wyobraził sobie to kupno kamienicy od wspólników „Wierzbicki & Groter” przez kupca Alojzego, pewnie opisał to w swojej powieści. Czy miał jakieś źródła poza opowieściami babki? Musi to wyciągnąć z niego. Ujrzała oczami wyobraźni, jak dopytuje o niuanse rodzinne, zaraz po kolejnym udanym seksie, jeszcze naga w ramionach Dominika, zakrywając poduszkami strategiczne fragmenty ciała. Swoje czy jego? Znów ogarnął ją śmiech. Tak czy tak, to by raczej nie było etyczne. Więc co? Powiedzieć: Dominiku, było cudownie, ale odłóżmy romans do zakończenia sprawy. Chyba tak, tak trzeba zrobić, chociaż z żalem. Nie wyglądało, by dla niego było to tylko jednorazowe zwycięstwo nad panią mecenas. Trudno, musi poczekać. Tak postanowiła i podjęła następne postanowienie.

Podeszła do lustra, położyła ręce na piersiach, uśmiechnęła się.

– Julio Minejko – powiedziała do siebie – życie zaskakuje cię w czterdziestym drugim roku życia. Okazuje się, że umiesz się kochać. Okazuje się, że dojrzałaś do miłości. Masz takie wrażliwe piersi. Byłaś ciemniaczką, ale już nie jesteś. I nigdy więcej nie będziesz uprawiać seksu bez

zabezpieczenia i z mężczyzną, którego właściwie nie znasz. Nigdy.

Przypomniała sobie, jak pouczała córkę i uświadamiała jej groźne konsekwencje takiej lekkomyślności. Tymczasem sama... Zarumieniła się przed lustrem. Nie, no Dominik nie był z pewnością żadnym nosicielem, ale raczej nie ucieszyłby się z kolejnego spadkobiercy do kamienicy. Na szczęście termin był niezły, nie powinna akurat wczoraj zająć w ciążę. Cholera, nigdy nic nie wiadomo, ani z chorobami, ani z ciążami. Zachowała się jak kretyńska.

– Teraz Jula nic już nie możesz zrobić – upomniała się sucho – najwyżej się przebadać. Tymczasem jutro dzień pracy, bierz się za metryki, akta zgonów i narodzin z żółtej koperty *Madame* Elżbiety.

Jak postanowiła, tak zrobiła i mimo że metryki nie należą do najciekawszych dokumentów świata, pochłonęły ją całkowicie, i kiedy Hania wróciła wieczorem do domu, zastała matkę zatopioną w pracy.

– Wszystko dobrze? – zapytała znad pożółkłych papierków.

– Dobrze, dobrze – odpowiedziała Hania – do szkoły jutro idę, ja pitolę, jakie te wakacje krótkie.

*

– Ten akt chrztu mnie niepokoi! Arek, co o tym myślisz? – Julia nie znalazła w żółtej kopercie nic ciekawego poza tym. Akt chrztu Danuty Dymusy, urodzonej w roku 1940, chrzczonej w parafii świętego Andrzeja Boboli. Nie pasowała do żadnych osób ani opowieści, w dodatku poczuła ucisk w gardle na widok imienia Danuta, poza tym intuicja uparcie mówiła jej, że to ważne. Arek przyglądał się dokumentowi.

– No nie wiem – zaczął z powątpiewaniem. Nie pojawiła się żadna Danuta w opowieściach. Może zmarła? Aktu zgonu brak. Ale kim by była, córką Klary? I pan Dominik by nie wiedział, że ojciec miał siostrę?

– Lepiej zapytaj, gdzie ona jest teraz, jeśli żyje.

– Bardzo byłaby stara...

– Nie za stara na prawa do kamienicy. Czuję, że trzeba zbadać ten wątek. Udasz się do parafii świętego Boboli, sprawdzisz w aktach.

Łupnięcie w sercu na widok dokumentu wytłumaczyła sobie imieniem. Danuta. Tak miała na imię matka Julii, kobieta, której nigdy nie poznała, bo znikła z horyzontu, kiedy Julia była jeszcze malutka. Niosła przez całe życie

żał do matki, że opuściła ją i ojca, iż nie chciała zaistnieć w jej życiu. Pozostała w oczach Julii obcą kobietą, ale imię powodowało ucisk w sercu.

– A wasze dokonania i przemyślenia przez weekend? Grzesiu, poza bursztynowymi sensacjami?

– Jakie sensacje? Czysta wiedza. Rzymianie zwali bursztyn siuškami rysia, to nie jest kamień dla zodiakalnego Byka. Ty powinnaś nosić czerwony koral, rubiny, o!

– Grzesiu, Grzesiu, kamienice i ich tajemnice.

– Tylko tyle, że nasze kamienne siostry łączy coś jeszcze poza twórcą i rozkładem komnat, w tym jedna tajna, jak pamiętacie. Pół niedzieli robiłem research. Otóż w przeciągu ostatnich trzech lat do każdej ktoś się włamał. Praga, Berlin, Lizbona, wszędzie. Nic nie zginęło, sprawca, zapewne ten sam, rozwaliał ściany przy kominku. Tylko tyle i aż tyle. Jakby czegoś szukał.

– Ukrytego pokoju, oczywiście. A czy znalazł?

– Odpowiedzi na to pytanie nie mam – rzekł Grześ – ale tak sobie myślę, że ktoś idzie śladem architekta Schatmeyera. Musi wiedzieć, musi znać plany budynków, z tymi pokojami. I wiedzieć, co tam ukryto.

– A w kamienicy Gosztowica włamania nie było! – Arek powiedział to tak, jakby kradzieże w dalekich krajach nijak się miały do polskiej rzeczywistości.

– Może tu nie ma co kraść, wojna i tak dalej. Miłka?

– Sprawdziłam te gabinety na drugim piętrze. Nic ciekawego, facet stomatolog, ten, co mieszka obok z żonką, ciacho, a drugi gabinet prowadzi kobieta, ginekolog położnik. Nie ma związku ze sprawą, wynajmują. Jedyne, co ciekawe: doktorek dobrze zna pana Dominika Dymkę, kiedy siedziałam w poczekalni, bo poszłam tam niby się zapisać, to wychodzili razem bardzo zagadani i zaprzyjaźnieni. Nie widział mnie.

– I co takiego? – Arek był w destruktywnym nastroju. – Zęby u niego leczy, bo gdzie ma leczyć jak nie we własnej kamienicy? Ja wam powiem coś lepszego.

Popatrzyli na niego ciekawie.

– Poszedłem śladem rodziny Gromadzkich. Alojzy, niezwykle operatywny człowiek, taki drugi Wokulski, proszę nie wyobrażać sobie zacnego głupawego grubasa, przeciwnie – postawny gość, ruda broda, szeroki uśmiech, w bryczesach i siodle na przykład, bo był też dobrym jeźdźcem. I handlowcem. Dziś powiedzielibyśmy biznesmen całą gębą, inwestował w kolej, prowadził interesy z Rosją. Kamienicę zakupił od Karola Wierzbickiego, który w owym

roku 1890 władał całością. Adwokat, który prowadził sprawę sprzedaży, działał jako plenipotent Karola Wierzbickiego i jego żony Klementyny Wierzbickiej, primo voto Groter.

Julię wbiło w fotel. Więc nie umarła, wyszła za mąż za Karola?

– Wyjechali potem do Europy. Pani Wierzbicka nie chciała oglądać tego budynku. Byli dostatecznie bogaci, żeby kupić sobie dom w Wittenberdze i tam wychowywać dzieci.

– Dużo mieli tych dzieci? – zapytała Julia, ciekawa, czy Klementyna jednak zmieniła zdanie w sprawie macierzyństwa.

– Nie mam pojęcia, tak tylko powiedziałem, ale dom sprzedali prawnie, całkowicie i rodzina pierwszych właścicieli jest od niego odcięta. Od chwili kupna mamy sprawę czystą, bo Gromadzki został właścicielem kamienicy w majestacie prawa, zapłacił, i mógł ją przekazać córce w posagu. Kupił jej tytuł hrabiny w końcu, no nie?

– Jesteś wielki Arek! Skąd zdobyłeś te wieści? Masz skan jakiegoś dokumentu?

– Mam. Otóż Alojzy był fanatycznym wielbicielem nowinek technicznych i rozwoju motoryzacji. Miał dwa automobile, bodaj czy nie pierwsze w kraju. Jeździł w takich śmiesznych goglach i czapce uszatce, widziałem fotkę. Był prawdziwym pionierem, wziął nawet udział w pierwszym wyścigu Paryż – Dieppe, ale sprzedał jedno auto, kiedy kupował kamieniczkę, tania nie była. Sprzedał Karolowi Wierzbickiemu jako część opłaty. Pewnie Karolek wywiózł nim rodzinę. Coś mnie naszło, żeby w niedzielę poczytać sobie o pierwszych automobilach w Polsce i ich właścicielach. Nie uwierzycie, trafiłem na to przypadkiem. Akta starych aut są archiwizowane w muzeach.

No to całkiem niezłe – klasnęła w dłonie Julia. Mimo wszystko ciekawił ją dalszy los Klementyny. I nastrój Dominika, który czekał już od kwadransa w kawiarence nieopodal kancelarii. O tym, że czekał także na jej wyjście człowiek w dziwnym kapeluszu, strach na wróble odziany dziś w szary długi sweter zapięty skórzanym pasem, nie wiedziała. Rozczarowany, że wybiegła tylko do kawiarenki na rogu, popatrzył, jak przywitała się z mężczyzną, który chciał ją chyba pocałować a otrzymał uścisk ręki, oddalił się w swoją stronę, klnąc pod nosem.

Dominik na widok Julii otworzył ramiona i rzeczywiście pragnął pocałować ją natychmiast, wydała mu się piękna i pełna, chociaż tym razem ubrana była w zwykłe dzinsy i białą koszulę, bo nie miała tego dnia żadnych służbowych spotkań. On też podobał się jej z tym porozumieniem w oczach, gotowością do przytulenia jej i pocałunku. Zatrzymała go, oparła ręce o ramiona i szepnęła: chodźmy stąd, proszę.

Zamierzała usiąść i wyjaśnić mu, stanowczo, zdecydowanie, że nie mogą spotykać się jak kochankowie, dopóki nie zamkną sprawy odzyskania kamienicy. Może zostać posądzona o stronnictwo, wtedy ktoś gotów podważyć wyrok. Nie wolno jej i tak dalej. Ale na widok uśmiechu Dominika zapragnęła przytulić się do niego, poczuć jego bliskość, uśmiech i podziw w oczach czynił jego twarz piękną. Pamiętała jednak, że kawiarnia przy samej kancelarii to dość niebezpieczne miejsce na czułości z klientem. Dominik zrozumiał, pospiesznie zapłacił, wyszli. Samochód miał zaparkowany nieopodal, z trudem szli obok siebie jak obcy ludzie, tak bardzo chciała, żeby ją objął i żeby cała ulica Żurawia zobaczyła, iż są ze sobą, że stanowią piękną parę. Otworzył przed nią drzwi, wsiadła, nie pytając o nic.

Założył okulary – pierwszy raz dostrzegła, że jest krótkowidzem.

– Gdzie jedziemy? – zapytała słabo.

– No a gdzieżby – roześmiał się, włączając w sznurek samochodów – do mnie, oczywiście. Tam nikt nas nie zobaczy.

Nic nie odpowiedziała. Samochód mijał znane jej budynki, ale miasto wydało się jej inne. Przez głowę biegły postanowienia, decyzje, protesty i wiedziała, że są niewarte funta kłaków. Ważna była obecność tego mężczyzny, który pewnie prowadził auto, parkował na dziedzińcu nowszej, powojennej już kamienicy, podał jej rękę, prowadził do windy i otwierał kluczem ciężkie, drewniane drzwi. Weszli do obszernego jasnego mieszkania. Nie zamierzał jednak rzucić się na Julię już w progu ani zrywać z niej ubrań, ani czynić żadnych gwałtownych gestów. Może szkoda? Zganiła się za te myśli. Pocałował ją na powitanie, sama podała mu usta, obrócił ją dookoła i powiedział po prostu:

– Witaj w moich progach. Rozejrzyj się i rozgość, zaraz zachowam się jak dobrze wychowany gospodarz. Już szesnasta, co jadasz o tej porze? A co pijesz?

Dobre pytanie. Zwykle jadaliby w kancelarii jakiś catering, piła według przykazań Balbiny tylko wodę niegazowaną lub herbatę zieloną, ale teraz

z przejścia w ogóle nie miała apetytu, żołądek podchodził jej pod gardło. Miała świadomość, że wkracza w świat tego mężczyzny, iż musi być ważna, skoro ją tu zaprosił i że nie będzie miała siły woli, by tak z nim po prostu zerwać. Zniknął w kuchni.

– Daj, co tam masz – krzyknęła – nie jestem głodna.

Zdjęła wygodne płócienne baleriny, nie dlatego, żeby nie brudzić, ale zobaczyła przez uchylone drzwi, w głębi pokoju popielaty, gładki dywan i zapragnęła dotknąć go bosymi stopami. Dominik wrócił w fartuchu kucharskim w paski. Zaprowadził ją do salonu, przez ów dywan, pod drzwi na balkon, odsłonił firanę.

– Popatrz sobie na ruch miasta za oknem. Niesamowity widok – powiedział – a ja chwilę zabawię w kuchni.

Rozglądała się ciekawie. Miał tu porządek absolutny, pokój niezagracony, tylko dywan, niska ława i narożnik, duży ekran telewizora, regał z książkami i kwiat w rogu pokoju. Popielate, beżowe i zielone barwy dawały poczucie spokoju. Panowała i cisza, dzięki dźwiękoszczelnym oknom, za nimi bowiem rzeczywiście pulsowało życie miasta, pod balkonem przebiegała ruchliwa ulica, co chwilę przesuwał się tramwaj, szeleściły samochody. Otworzyła na chwilę drzwi balkonu i stanęła nad miastem. Uderzył ją gwar, klaksony, dzwonek tramwaju i upał. Czym prędzej cofnęła się i zamknęła drzwi. Wolała patrzeć na pejzaż miejski zza szyby, w ciszy chłodnego pokoju. Wszedł Dominik z tacą, przyniósł wodę z cytryną. Więc pamiętał. Kolorowy fartuch kuchenny nie odebrał mu wcale uroku, przeciwnie.

– Jestem mistrzem włoskiej kuchni. Tajskiej i walijskiej też. Tej ostatniej nie zrozumiesz, nie chciałem ryzykować. Zaraz dostaniesz spaghetti swojego życia – oznajmił. – Ty, Julio, odpocznij w moim zakątku relaksacyjnym.

Włączył muzykę, teraz zauważyła głośniki i sprzęt obok książek. Obok wody postawił dwa kieliszki.

– Lato, ciepło, szesnasta trzydzieści osiem. Najlepszy będzie biały szprycer z lodem – oznajmił poważnie i zniknął. Kiedy wrócił ze szprycerem, siedziała wygodnie na dywanie z głową opartą o sofę, z zamkniętymi oczami. Usiadł obok. Podał jej kieliszek.

– Jak moje królestwo? – zapytał. – Nieźle się urządziłem, co?

– Masz tu dziwny spokój – odpowiedziała – lubię taki. Jeśli spaghetti będzie równie dobre...

– Będzie, zobaczysz. Zresztą obejrzyj mieszkanie, jest jeszcze sypialnia,

mały gabinet do pisania, łazienka z wanną na mosiężnych nóżkach i kuchnia oczywiście. Te zamknięte drzwi to nieurządzony jeszcze pustostan, gabinet *in spe*. Poza zakątkiem relaksu najczęściej przebywam w kuchni. Właśnie – zniknął za kuchennymi drzwiami.

Nie chciało się jej łączyć po mieszkaniu. Bała się oglądać sypialnię. Być może w gabinecie do pisania znajdowały się jakieś ciekawe materiały w związku z historią Klementyny Groterowej, warto byłoby go o to zapytać, ale Julia postanowiła odłożyć pracę na później. Teraz zrelaksuje się, porozmawia poważnie z Dominikiem, pozwoli mu jeszcze raz się pocałować i dopiero wtedy wróci do zwykłego biegu spraw. Popijała szprycera. Dominik, który pojawił się z dwoma miseczkami parującej i pachnącej potrawy, zabrał jej kieliszek.

– Nie pij tyle na pusty żołądek – skarcił ją – nie zamierzam wykorzystywać pijanej kobiety. Zjedz najpierw to. Spaghetti rozplęwało się w ustach. Dodał jakichś nieznanych jej przypraw, dorzucił kawałki sera i ciemne winogrona. Siedzieli na ziemi, jedli w ciszy, czekała na jakiś czuły gest, ale Dominik zawijał na łyżce makaron, zajadał, smakował, śmiał się do niej i znów sięgnął po kieliszki.

– Za spotkanie u mnie. W ogóle za nasze spotkanie! Musiało nastąpić, teraz to wiem.

– Co dodałeś do tego sosu – zapytała – grzyby halucynogenne? Jest mi tak dobrze, że mogłabym zostać na zawsze.

– Nie ma mowy! – zaśmiał się. – To kawalerskie mieszkanie. A sos tak właśnie przygotowują w Australii. Masz go na ustach i na brodzie.

– Dominiku – powiedziała poważnie – pocałuj mnie mimo sosu. I zrozum, że nie możemy się spotykać w ten sposób aż do zakończenia sprawy. Potem, jeśli wygramy, a pewnie wygramy, ty wyjedziesz... albo wrócimy do tematu naszych spotkań. Ależ dobre to było, czuję, jak ciepło wypełnia mi żołądek.

Dominik odstawił swoją miskę, usiadł blisko Julii, wziął ją za rękę i zaczął oglądać palec po palcu. Mały złoty pierścioneczek był jej jedyną ozdobą, paznokcie miała krótko przycięte, pociągnięte bezbarwnym lakierem. Pani mecenas w każdym calu.

– To pamiątka? – pokręcił pierścionkiem.

– Tak, po babci – Julia uśmiechnęła się smutno. – Pomagała ojcu mnie wychować, nie znałam swojej matki.

Dominik przysunął się i podłożył ramię pod jej głowę. Leżeli tak

w milczeniu, muzyka sączyła się z głośnika, zegar cykał, Julia oczekiwała pocałunku, ręki, która zacznie błądzić pod jej białą bluzką, zastanawiała się, czy da radę ją odsunąć. Co zrobi z powolutku narastającym mrowieniem w brzuchu? Nic jednak się nie działo i zaczęła poważnie zastanawiać się, jak go zachęcić. Wyczuł wszystko najwyraźniej, bo się roześmiał.

– Well – powiedział – skoro tak bardzo, mimo wszystko, chcesz.

Pocałował ją delikatnie, musnął ustami powieki, brwi, górną wargę i będąc bardzo blisko, niemal dotykając ustami jej policzka, powiedział:

– Jesteś niezłe pokręcona kobieto. Pragniesz mnie jak ja ciebie. Jesteśmy dorośli. Czemu, u licha, mamy czekać na cokolwiek? Powiedz mi, że powinniśmy się zabezpieczyć, to zrozumiem, zachowaliśmy się jak kaskaderzy. Rozbioreę cię teraz, powoli, dużo tego nie ma...

Spłynęła na nią pewność, że on ma rację, zgadzała się teraz z każdym jego słowem, jakby ją zaczarował. Pomogła mu z džinsami, unosząc posłusznie biodra, pochyliła głowę, by zdjąć z niej bluzkę. Jeszcze w bieliźnie otworzyła ramiona, zerknęła tylko pytająco. Tym razem był przygotowany. Przyjmowała go w siebie z zachwytem, dobrze jej było na popielatym dywanie i potem, po miłości, kiedy naga stała w oknie i patrzyła na miasto. Czowała wzrok Dominika na pośladkach, nie martwiła się zupełnie, że są pulchne. Wróciła do niego, dopijali wino i śmiali się znowu, bo bawiła ich sytuacja. Odcięci od świata, w pokoju nad miastem, o siedemnastej.

– To mi się nie zdarzyło – szeptwała Julia – zaczarowałeś mnie. Potwierdzał, przyciągając ją do siebie, skubiąc ustami brodawki jej piersi.

– Smakuję mi z tym winem – odpowiadał i pobudzał ją do śmiechu. Tak zastał ich wieczór, musiała w końcu pójść. Ubrała się, zamówiła taksówkę i uśmiechnęła się do niego, upinając włosy. Zdążył wrzucić na siebie ubranie, zerknąć przez balkon, stwierdzić, że zrobiło się zimno. Włożył jej przez głowę swój duży sweter i tym samym zrujnował upięcie, więc rozrzucił jej włosy i z uznaniem popatrzył na swoje dzieło. Dmuchnęła w długą grzywkę jak łobuz, granatowe oczy pociemniały. Sygnał w telefonie obwieścił, że kierowca już jest. Dominik objął ją jeszcze w drzwiach. Wiedziała, że będzie tu wracać.

– Jutro? – zapytał.

– Jutro mamy spotkanie z zespołem i twoją kuzynką Elżbietą – przypomniała mu – i błagam cię, Dominik, zachowujmy się, jakby nic nas nie łączyło. Wieczorem jestem umówiona.

– Więc pojutrze. Powiedz, że tak.

– Wiesz, że tak, tak! Będę tu wracać jak sikorka na parapet po ziarna.
Roześmieli się. Zbiegła po schodach lekka jak ptak.

*

Jutro nadeszło, wrześnieowy dzień, ładny, jak wymarzony, by wszyscy ludzie zajmowali się swoimi sprawami, zapomnieli o wakacjach i wrócili na zwykły tor codzienności. Tak się działo, w szkołach, szpitalach, setkach biur. Praca zaczynała się od ósmej i nikt już nie pamiętał o wakacjach. Dla Julii dzień zaczynał się od śniadania z córką, z tym, że Hanka pochłaniała w biegu jakieś okruszki musli, pakowała swoje rzeczy zawsze dwie minuty przed wyjściem, szukała komórki i słuchawek, i wyrzucała z siebie dziesiątki narzekań. Julia, w ulubionym szlafrocuku w jelonki, popijała kawę i ze stoickim spokojem podawała jej kanapkę, potem komórkę, kiwała głową na zgodę, że życie jest ciężkie, zwłaszcza gdy się ma lat dziewiętnaście. Słyszała, jak Hanka zbiega ze schodów, ale wiedziała, że córka zaraz wróci po worek ze strojem na w-f, który leżał zapomniany pod stołem. Julia podniosła go i stanęła w drzwiach, z milczącym uśmiechem wyciągnęła rękę ze zgubą. Hanka wbiegła, pochwyciła worek i krzycząc: jeny, jeny jak późno, czemu ja właśnie mam tak daleko do szkoły? Znikła, nie czekając na odpowiedź. Była zbyt zaaferowana swoimi sprawami, by zauważyć, że matka, która zwykle w takich sytuacjach denerwowała się, łąjała ją, że je śniadanie na stojąco, powtarzała po raz setny, że należy przygotować rzeczy do szkoły w przeddzień, była dziś zupełnie inna: wyciszona, spokojna, wtulona w swój szlafroczek i piękna. Julia, która zaczynała urzędowanie w kancelarii o dziesiątej, lubiła rano niespiesznie pić kawę przy oknie, położyć po domu, wyprawić córkę do szkoły i rozmyślać nad sprawami, które prowadziła. Tym razem też usiłowała, ale w porządkowaniu argumentów i hipotez przeszkadzało jej wspomnienie Dominika. W miejscu wnikliwości prawnika pojawiła się wnikliwość kobiety. Powracało pytanie: czy faktycznie się dzieje? Czy trafiło się jej coś, co się nie zdarza ludziom po rozwodzie, w pewnym wieku i tak dalej. Człowiek akurat taki jak trzeba i miłość? Z trudem notowała, co ma do zreferowania klientom, bo tęskniła za Dominikiem. Nie irytowało ją dzisiaj bałaganiarstwo córki, bo ogarnęła ją czułość i wyrozumiałość wobec całego świata. Patrzyła na tę nastolatkę utyskującą na życie i myślała, jak bardzo ją kocha. Natomiast nastolatka głupia

nie była i zaczęła rozważać rzecz w autobusie, a jechała dość długo. Najpierw więc przypomniała sobie słówka z niemieckiego, potem uśmiechnęła się do siebie na myśl, że zamiast na zajęcia przygotowujące do matury rozszerzonej z chemii, pójdzie z Przemem do kina i że on, cudowny brodaty Przemo traktuje ich związek bardzo poważnie, bo zaprosił ją na studencką imprezę, którą organizuje w sobotę. I dopiero, kiedy nałożyła słuchawki i leciutko poruszała się w rytm muzyki, mijając Wisłę pomyślała, że mamuśka była dziś jakaś inna. Łagodniejsza, uśmiechnięta „do środka”, promienna, nawet gdy wręczała jej worek ze strojem... Czyżby miała rację ciotka Balbina, że matka wklepała się w romans z klientem? Hanka zmarszczyła brwi. Wciąż miała nadzieję, że jej rodzice się pogodzą, bardzo przeżyła ich rozwód. Miała ojcu za złe kochanki, oczywiście, ale gdyby wrócił, przeprosił, był znowu z nimi? Ona zwyczajnie wybaczyłaby mu. Oczywiście chciała, żeby matka też wybaczyła. Znała ją jako kobietę odpowiedzialną, taką, która miała odpowiedzi na wszystkie pytania świata: czy chodziło o dobór ubrań do prania, czy dylematy egzystencjalne. Ale nie jako kobietę zakochaną... a już na myśl, że jej matka może rozebrać się do naga przed kimś, kto nie jest lekarzem... i co więcej, kochać się z obcym facetem... Hanka tupnęła nogą. Chłopak, który przyglądał się grze jej mimiki od kilku minut, sam także w słuchawkach, popatrzył z zaciekawieniem w brązowych oczach, bo Hanka skrzywiła się okropnie. To by było obrzydliwe. Musi z nią pogadać, wybić jej z głowy amory w tym wieku. Przypomnieć, że ma cellulit i za pulchną pupę, to zawsze pomaga. Dziś wieczorem, o, zresztą i tak przychodzi Balbina na to ich idiotyczne wspólne czytanie. Wciągnie ją do sojuszu przeciw facetowi, a ciotka pomoże, bo sama kocha się w matce! Już nawet ona byłaby lepsza niż obcy facet. Hania pomyślała, że niewiele osób w klasie ma podobny dylemat. Uśmiechnęła się ze złośliwą satysfakcją i wyskoczyła na przystanku przed szkołą. Chłopak, który się jej przyglądał, także wysiadł, i westchnął. Żeby zmieniać szkołę w klasie maturalnej! Tak mają tylko dzieci rodziców o dziwnych zawodach, które rzucają ich z jednego miejsca na drugie i to niespodziewanie. Nigdzie nie zagrzejesz miejsca, wszędzie od nowa i od nowa. Zależysz od polityki i wyniku wyborów. Urodzić się w małżeństwie dyplomatów, to dopiero pech. A mieć czarnoskórego ojczyma, co lepsze? Przypuszczalnie niewiele osób w klasie, albo i w całej szkole, do której go zapisali, ma podobny dylemat.

*

Julia wydobyła się wreszcie z marzeń i miękkiego szlafrocza, przeistoczyła w poprawną panią mecenas, zmyła mleczkiem resztki snu i wspomnienie pocałunków Dominika, ubrała służbowo i włączyła w podmiejski sznurek aut wiozących do pracy „tych na dziesiątą”. W kancelarii czekała na nią ekipa, mieli przygotować się do spotkania z klientami: panią Rachowicz i panem Dymszą. Julia cieszyła się, że zakomunikują im chociaż jeden pewnik. Bezdyskusyjna własność prababki Krystyny Gromadzkiej do spadku to już coś. No i nikt nie odpowiadał na liczne ogłoszenia, które dali w prasie trzech krajów. Czasu nie minęło wiele, ale wiedziała z doświadczenia, że to dobry znak. Zwykle zainteresowani zgłaszali się w pierwszym miesiącu po publikacji, cisza dobrze wróżyła, niech trwa. Radosna weszła do sali konferencyjnej i zauważyła, że jej młodzi prawnicy są czymś zaaferowani.

– Oho! – zakrzyknęła, jaśniejąc uśmiechem – co tam, co tam?

Zauważyli, że jest pełna energii, jakaś promienna i w świetnym nastroju. Elegancka w urzędowym żakiecie, ale oczy pomalowała tak, że były jeszcze bardziej granatowe. Miłka pomyślała, że ma lat dwadzieścia siedem, a chciałaby wyglądać tak jak szefowa, i skuliła się w sobie. Grześ popatrzył ciekawie, bo ten nastrój nie zgadzał mu się z wpływem bursztynu na zodiakalnego Byka. A Arek nie bawił się w analizy, tylko od razu uniósł w górę *corpus delicti*, czyli skan pewnego dokumentu.

– Oto nasz dziwny akt urodzenia niejakiej Danuty Dymszy!

– Co z nim? – spytała Julia, jednocześnie zastanawiając się, czy to nazwisko należy odmieniać. Jakby to było: kancelaria Julii Dymsza? Dymszy? Źle brzmi.

– Fałszywy – oznajmił Arek. – Byłem w parafii, wpuścili mnie do archiwum, ale proboszcz, stary człek, od razu powiedział, że czuje podróbkę. I zgadza się: nie ma w księgach aktu chrztu żadnej Danuty w tym czasie. Nie chrzcili takiej. Możemy jeszcze dać do ekspertyzy, ale to fałszywka.

– No to skąd się wziął i po co?

– A wiem, podpowiedział mi proboszczunio. Nie pierwsi widać byliśmy u niego z czymś takim. To zabytek sam w sobie, bo znakomita podróbka z czasów okupacji. Mistrz od dokumentów działał na Smolnej. Wypuszczał z ręki takie papiery, że żaden Szwab się nie zorientował... Dowody osobiste,

kenkarty, ausweisy... no i metryki. A kto potrzebował wtedy takich metryk najbardziej?

– Żydzi, oczywiście – szepnęła Julia.

– Żydzi. Taka doskonała metryka kosztowała bardzo dużo. Ale dobrze zrobiona, do tego album rodzinny z dziadziusem, kilka opowieści o porodzie, szukaniu imienia i tak jakaś mała Ryfka zamieniała się w Danusię. Trzeba było znaleźć chętną polską rodzinę, oczywiście, to też kosztowało, ale oznaczało życie.

– Czy to nas spotyka z Szenkelami? – zapytała Julia.

– Narzuca się samo, to jasne. Po sąsiedzku... Klara Rachowicz akurat wyszła za mąż.

– Ale dowodów nie masz, mogła być z innej rodziny. I tak czy tak, kochani, adoptowana dziewczynka też dziedziczy. Więc gdzie ona jest?

Tego nikt nie wiedział. Arek zwrócił uwagę, że trudno mówić o adopcji, ale też o jej braku. Grześ na to z żelazną logiką, że nieważne czy adoptowana, jest przecież metryka chrztu, więc pewnie była i urodzin, ale podrobiona. Cóż, jeśli to była Szenkelówna, to i tak miałyby prawa do kamienicy. Miłka przypomniała, że są badania DNA na tym świecie, więc jeśli jacyś Szenkelowie się odezwą z ogłoszenia i ta Danusia...

– Ta Danusia miałyby teraz koło siedemdziesiątki – przypomniała Julia – nie wiadomo, czy żyje, czy miała dzieci. Dobrze byłoby ją znaleźć. Ale mamy zaraz spotkanie z klientami, więc zapytamy. Może coś jednak o niej wiedzą?

Z utęsknieniem popatrzyła na drzwi. Arek z ciekawością na szefową, a Grześ na Miłkę. Od dwóch dni klócili się na temat leczniczego działania kozłka białego i nalewki z bursztynu.

– Baby nie przegadasz – powiedział w końcu zirytowany Grzegorz. Znalazł nowe materiały na temat nalewek i chciał nimi Miłkę zaskoczyć, ale sekretarka Anetka już anonsowała gości.

– Punktualni jak poborca podatkowy – szepnął Arek.

Julia witała ich służbowo, sucho ściskając ręce. Nieco zdziwiona obecnością Betty, która przyszła z mamą, zupełnie obojętna wobec uśmiechu Dominika i jego płomiennego spojrzenia. Zgasiła go zmarszczeniem brwi, które dostrzegł tylko Arek.

– Proszę państwa – zaczęła uroczyście Julia. – Właściwie mamy dobre wiadomości. Bardzo dobre. I jedno pytanie.

Sytuacja z odzyskaniem kamienicy rzeczywiście rozwijała się dużo szybciej

i korzystniej, niż Julia przewidywała na początku. Jak za dotknięciem magicznej różdżki kolejne kłopoty znikwały: wyjaśniło się przejęcie gmachu przez Alojzego Gromadzkiego od Karola Wierzbickiego...

– Chętnie zapytam, panie Dominiku, o źródła książki, bo fabuła jest interesująca i jeśli tak właśnie było – Dominik skłonił głowę, co można było odczytać jako zaproszenie do rozmowy o źródłach, jakich tylko sobie życzyła.

Pokonała rumieniec. Ewentualni nieznani spadkobiercy milczeli. Jeśli taki stan się utrzyma, a ratusz nie będzie wnikał w różnice między księgą dawną a założoną po wojnie, to będzie to kwesta czasu, i rodzina wróci do swoich praw. Julia widziała już skromne przyjęcie na cześć zwycięstwa, szampana, ulgę i podziw na twarzy Dominika, błogostan w oczach pani Eli, potem małą intymną uroczystość tylko we dwoje. Cierpliwość. Teraz uzbrajamy się w cierpliwość.

– No i mamy jeszcze jedną tajemniczą osobę... – dodała na sam koniec.

Popatrzyli ciekawie na Julię. Ujęła w dwa palce kserokopię dokumentu, pokazała wszystkim, po czym odczytała: Danuta Dymśza, urodzona 23 marca 1940 roku, córka Klary i Janusza Dymśzów, chrzczona w parafii świętego Andrzeja Boboli.

– Kto to jest Danuta, proszę państwa? Gdzie jest? Panie Dominiku, mówił pan, że pana ojciec był jedynym dzieckiem Dymśzów, z tego zaś wynika, że miał siostrę?

Zapadła cisza. Prawnicy zauważyli, jak pani Elżbieta z córką wymieniły porozumiewawcze spojrzenie. Dominik znów wyglądał na szczerze zdziwionego, podskoczył ku Julii i wczytywał się w dokument.

– Skąd to? Co to? – popatrzył na Elżbietę. – Nic nie wiem, Ela, o co chodzi?

Pani Elżbieta westchnęła, popatrzyła bezradnie.

– Nie sądziłam, że to ma znaczenie. Nie wiedziałam nawet, że to jest wśród papierów – przepraszająco zerknęła na Betty – nie czytałam ich, a pani mecenas sięgnęła po te właśnie jako pierwsze. Akty narodzin, metryki śmierci, wyciągaliśmy je do pierwszego procesu z Urzędu Stanu Cywilnego, z własnych szuflad, co ocalało. Ta osoba, Danuta Dymśza nie żyje, więc to chyba nie ma znaczenia.

– Ale kim była? – zdenerwował się Dominik – czemu nic nie wiem?

– Nikim – głucho i z niechęcią odparła pani Elżbieta – była nikim i dlatego nic nie wiesz. Mój mąż Antoni też niewiele wiedział. W ogóle o tym się nie

mówiło w rodzinie. Raz tylko wspomniał, że jedną z fanaberii Klary były jej altruistyczne zachowania, ratowała, pomagała, powinna zostać zakonnica. Przygarnęła żydowskie dziecko w okupację. To znaczy dała nazwisko, że niby to jej córka i ochrzczona, rodzice poszli do obozu, ale ojciec dziewczynki jakoś powrócił, wykupili go chyba. A potem sami wiecie: powstanie, ucieczka. Dziecko zostało tu ze swoim ojcem, Klara znalazła się w Anglii, sama potem urodziła synka. Pogmatwane losy. Ale z tego, co mówił mąż mój Antoni, wyjechali w sześćdziesiątym ósmym do Izraela, ten ojciec z córką. Antoni mówił: zobacz, losu nie oszukasz, miała polskie nazwisko i papiery, w okupację się udało, a i tak ich dopadli, i do widzenia dla rasy mojżeszowej. Ale to epizod, naprawdę dziewczynka nie należała do rodziny.

Jakiś cień, nuta wyższości w głosie pani Rachowicz nie spodobała się Julii. Dominik wyglądał, jakby słyszał tę historię pierwszy raz.

– No dobrze, a skąd wiemy, że nie żyje? Czy nie miała dzieci?

– Jakie to ma znaczenie – nagle Betty z niecierpliwością w głosie poparła matkę. – Skoro nie było żadnego pokrewieństwa, co ma do rzeczy, czy żyje?

Julia postanowiła im nie mówić o podejrzeniu, że dziewczynka mogła być potomkinią Szenkelów. Zagrała argumentem nie do końca prawdziwym, aż Arek spojrział na nią zdumiony.

– Proszę pani – powiedziała powoli – czy pani nie rozumie, że w świetle tego dokumentu Danuta Dymśa jest dziedziczką kamienicy w tym samym stopniu co ojciec Dominika Dymśy i pani dziadek, Adam Rachowicz? Urodzona czy przygarnięta, jest trzecią wnuczką Krystyny. Jeśli miała dzieci, dziedziczą tak jak wy.

– Nic podobnego – wymknęło się Betty, na jej twarzy ujawnił się twardy, wilczy rys – ten dokument jest sfałszowany, zresztą to tylko akt chrztu, nie metryka urodzenia.

Julia patrzyła na nią z uśmiechem. Więc sprawdzali to, przynajmniej te dwie panie doskonale wiedziały, że istniała taka osoba i taki dokument. Poddały papier ekspertyzie, a kiedy okazało się, że to podróbka, w dodatku akt chrztu, nie metryka urodzin, zlekceważyły go do tego stopnia, że nawet nie ukryły. Zastanawiała się, czy Dominik faktycznie nic nie wiedział. Chyba nie, bo sam nagle zapytał:

– A skąd wiemy, że wyjechała do Izraela i tam zmarła?

Elżbieta westchnęła.

– Antoni mówił. Po wyjeździe odezwali się podobno do Klary z Tel

Awiiwu, nie wiem, czy może myśleli osiedlić się w Anglii. Utrzymywali kontakt jakiś czas, a potem umarli wszyscy, i oni, i Klara. Mówił, Antoni, że dziewczyna była dziwna, smutna i wystraszona, nie miała dzieci, w ogóle rodziny poza ojcem. Ale, Boże jedyny, raz czy dwa o tym rozmawialiśmy, Betty pamiętasz, wzięło ojca na wspominki, jak oglądaliśmy wizytę Żydów w Oświęcimiu? To był epizod. Jakoś nikt nie przykładał do tego wagi, Klara jej nawet nie wychowała, zgodziła się tylko na papier, że dziecko chrzczone, nie żydowskie.

– Nie wie pani, czy w archiwach USC nie mają takiej metryki urodzenia? – zadała cios Julia. – Dużo ważniejsza byłaby niż akt chrztu, inaczej niż w wojnę, prawda? Sprawdźmy to.

– Nie ma nic takiego – powiedziała Elżbieta – sprawdziliśmy przy pierwszym procesie.

Ach tak. Kołatało się jeszcze w głowie Julii pytanie, skąd w teczkach z dokumentami rodzinnymi znalazł się ten papier. Wszak tu wszystko zaginęło, splunęło, przepadło. Wszak do kanałów Klara nie brałaby aktu chrztu dziecka, które zostawało, ani zresztą innych papierów. Mógł je przechować ojciec dziewczynki, człowiek, do którego poczuła współczucie. Wieczna ucieczka, ukrywanie się, obce nazwiska, lęk o córkę. Ledwie poczuli się bezpiecznie, musieli wyjechać. Danuta musiała mieć wtedy... czterdziesty-sześćdziesiąty ósmy – dwadzieścia osiem lat. Rety. Ponad ćwierć wieku żyła jako Polka z aktem chrztu w szufladzie semickiego ojca. Ale jak znalazł się ów akt w rękach pani Elżbiety? Ciekawe, ale postanowiła uspokoić atmosferę.

– Jeśli tak – powiedziała słodko i obiecująco – to mamy ten budynek jak w banku. Gdybym nie była przesądna i nie obawiała się, czy dzielić skórę na niedźwiedziu, już spytałabym, co zrobicie państwo z taką nieruchomością? Można oczywiście mieć dochody z wynajmu, ale...

– Sprzedamy – oznajmiła pani Elżbieta – prawda, Dominik?

– Po uprzednim remoncie oczywiście – dodała Betty, patrząc na kuzyna znacząco. Znów była delikatną rudą artystką, wilczy cień zniknął z lanej twarzy. Dominik patrzył na nie jakby lekko zdziwiony.

– Pani mecenas ma rację – zaczął – nie ma co dzielić skóry na niedźwiedziu. A remont tak czy inaczej konieczny, lekarze z drugiego skarżą się na mrówki.

Nie dokończył, bo rozmowę przerwał im głośny sygnał komórki Elżbiety. Miała ustawiony znany kawałek arii z *Carmen*, spadł na nich nagle jak alarm

przeciwbombowy. Przeprasząco zerknęła na zebranych i odebrała, po czym zerwała się na równe nogi i krzyknęła. Betty także.

– Gdzie, ale kto? Jakie zniszczenia? Nie gaz? – chaotycznie krzyczała w komórkę Elżbieta Rachowicz. Dominik i Betty już stali obok niej, ekipa Julii też zerwała się z krzeseł. Elżbieta popatrzyła na nich przerażonym wzrokiem.

– Wybuch. W naszej kamienicy był wybuch. Ktoś zdetonował bombę na moim piętrze. W złą godzinę powiedziałaś Betty o remoncie. Musimy jechać.

– A włamanie? – zapytał szybko Grzegorz – włamanie do pani mieszkania było?

Popatrzyli na niego z grozą w oczach i tym szybciej pospieszyli do drzwi. Dominik rzucił: „Pani mecenas, poprosimy z nami”, więc ekipa na znak Julii zebrała się szybko, ruszyli za klientami samochodem Arka.

– Co też tam zastaniemy? – głośno myślała Julia.

– Nie martwcie się – uspokajał Grześ – chałupa przetrwała bombardowanie w trzydziestym dziewiątym i pogrom po powstaniu, da radę jednej nieatomowej bombce.

– Co ci z tym włamaniem odbiło?

– A bo to mi się zgadza z tamtymi kamienicami w Europie. Ktoś czegoś w nich szuka, musiało i u nas pierdyknąć.

– Dawno nie mieliśmy takiej wybuchowej sprawy.

Część II

Julia Minejko nie знаła swojej matki. To bardzo bolesne dla dziecka, i wiele razy słyszała, że dotknęła ją niepowetowana strata, ale tak naprawdę uświadomiła sobie ból braku matki dopiero jako siedmioletnia panienka. Wcześniej nie było tak źle, po pierwsze zupełnie swojej matki nie pamiętała, więc nie mogła rzeczywiście za nią tęsknić. Ojciec i babcia usiłowali wynagrodzić dziewczynce fakt, że inne dzieci mają mamę, ona zaś nie i rozpieszczali ją jak potrafili, a rozmaite ciotki, panie w przedszkolu i szkole użalały się nad sierotką. Sierotka zorientowała się niebawem, że sytuacja może nieść pewne profity, mama urosła w jej oczach do rangi nieosiągalnej, smutnej królowej, opiekującej się nią z chmurek, a z kolei tu na ziemi wiele osób chciało ułatwić jej trudne życie. Owszem zazdrościła innym dzieciom, że przychodzą po nie do przedszkola mamusie ładne, uśmiechnięte i bardzo miłe, ale jej babcia też była całkiem ładna, uśmiechnięta i bardzo miła. Mamusię natomiast mogła wymyślić sobie według własnej woli: opowiadała więc koleżankom o bardzo pięknej pani, zupełnie takiej jak na ilustracjach w książkach z bajkami, o oczach wielkich i niebieskich, a sukni złotej, do stóp. Pani ta była to aktorką, to sanitariuszką wojenną jak Lidka z *Czterech pancernych* albo podróżniczką jak Andżelika z serialu. Umarła powalona groźną i nieuleczalną chorobą, zostawiając ukochane dziecko. Julia nieraz płakała, opowiadając tę historię, sama rozczulona i przejęta, bowiem brak mamy i taka historia dawały dziewczynce poczucie pewnej wyjątkowości. Aż padł pierwszy cios. Julia poszła do szkoły, i uraczyła swoimi opowieściami małe koleżanki z pierwszej klasy, zyskując natychmiast podziw i grono najlepszych przyjaciółek. Jedna z nich, Alinka, zapytała bardzo przejęta: „A gdzie jest grób twojej mamusi? Zaniesiemy jej kwiatki”. I oto Julia nie wiedziała nic o grobie, co w dwójnasób ją ubodło, bo: czemu sama nie wpadła na to pytanie, i czemu nikt nigdy jej nie powiedział co z tym grobem? Pędem pobiegła do domu i zażądała od babci i ojca informacji, gdzie jest grób mamusi. Oczywiście również kwiatów i natychmiastowej wizyty na cmentarzu. Ale tata patrzył na babcię, babcia na tatę i w końcu ojciec wydukał: „Kochanie, nie ma grobu twojej mamy. Tak, mówiliśmy ci jako dziecku, że

poszła do nieba. Teraz jesteś już duża, powinnaś wiedzieć: twoja mama nie umarła, wyjechała daleko”.

– To ona żyje? – wyjąkała wtedy Julka, a miała tę rozmowę pamiętać do końca życia. – Nie umarła jak królowna? Nie była aktorką ani sanitariuszką?

– Nie – babcia przytuliła Julkę – nie przypuszczałam, że tak to sobie wyobraziłaś.

– Musiała wyjechać – tata plątał się w zeznaniach – rodzinne sprawy, praca, polityka, tak, tak...

Był niewysokim mężczyzną, solidnym człowiekiem, inżynierem. Bardzo przeżył to rozstanie przed laty. Kształcił się w stolicy, tu poznał żonę, mieszkali razem raptem trzy lata, ale przyszedł taki czas, że zdecydowała się wyjechać. Bez względu na przyczyny i okoliczności, porzuciła go i dziecko. Po tym wszystkim przeprowadził się do domku swojej matki na przedmieściach, tego właśnie, który obecnie zajmowała dorosła już Julia. Czas powoli zaciera wspomnienia, zaczął żyć swoim życiem, Julka była już na studiach, gdy spotkał miłą kobietę i wyniósł się do niej na południe Polski. Danusia, pierwsza żona też pewnie żyła po swojemu, gdzieś daleko. Nie wiedział nawet gdzie, bo nigdy się nie odezwała. Każde z nich zbudowało sobie świat od nowa.

Niemniej świat małej Julki runął. Informacja dokonała wielu zniszczeń, bo nie było bohaterskiej śmierci, nie było pięknej pani w chmurach, która cały czas opiekuje się dziewczynką, i nie było grobu. Co gorsza, siedmioletni człowiek umie już wydedukować sobie pewne rzeczy i Julia zrozumiała, że mama wyjechała, to znaczy zostawiła ją, to znaczy nie chciała jej, czyli nie kochała. To zabolowało bardzo, od tej chwili zaczęła nieść w sobie poczucie odrzucenia, żal do matki, że odeszła, do ojca, iż jej nie zatrzymał, poczuła się sierotą. Najpierw płakała, odmówiła pójścia do szkoły, jedzenia. Babcia próbowała rozmawiać i wyjaśniać, ale prawda zniszczyła także zaufanie Julki do najbliższych i nie wierzyła już, iż mama musiała, że nie pyta nigdy o nią, bo na pewno ma bardzo ciężko. Julka odrzucała wszystko, powoli do szkoły wróciła, o matce przestała mówić w ogóle. Dwa razy tylko poruszyła temat. Kiedy skończyła piętnaście lat, w swoje urodziny zapytała: Jak ona wyglądała? Babcia nie odważyła się kłamać. Mama twoja, Danusia, była niedużą kobietą, miała ciemne oczy i ciemne włosy. Masz podobne rysy i włosy, bo oczy nasze, Minejków, takie intensywnie granatowe. Danuta Szenkowicz to prawdziwe imię? Babcia zająknęła się lekko. Tak.

Julka nazajutrz ścięła włosy na zapałkę. Kiedy kończyła lat osiemnaście,

babcia już nie żyła, ojciec świętował urodziny córki, która decydowała o swoich dalszych losach. Zapytała ojca: czy wiesz, gdzie ona mieszka, w jakim kraju? Kazimierz Minejko, który naprawdę dostał wiele kopniaków od życia, a właśnie zaczynało mu się układać, nie chciał wracać do dawnych spraw, bał się może, że ona zacznie własne śledztwo. Skłamał. Powiedział, iż nie wie, że rozeszli się, Danuta wyjechała nie wiadomo gdzie, dużo ludzi wyjeżdżało do Ameryki, do Kanady... ale nie dała znaku. I że nie była złym człowiekiem, ale skrzywdzonym przez los i historię, i chciała rozpocząć nowe życie. I że lepiej jej nie szukać. Julka wzruszyła ramionami, nie chciała szukać, chciała wiedzieć. Ojcu uwierzyła, bo nie przyszło jej do głowy, że sprawa mogła mieć jeszcze inny podtekst. Wybrała studia prawnicze, życie przyniosło małżeństwo, macierzyństwo i rozwód, kazało dbać o rozwój kariery i ogród przy domku, więc przestała o tym myśleć. Aż do dnia wybuchu w kamienicy przy placu Tołłoczki. Nie umiałyby wyjaśnić, dlaczego te zdarzenia wywołały w niej znowu dziwne uczucia, tęsknotę i bolesny temat. Ucisk w sercu, kiedy tam poszła po wybuchu.

Kamienicę otoczono barierkami, służby mundurowe i ekipy techniczne biegały gorączkowo, nikogo nie wpuszczano, nawet mieszkańców. Powiedziała policjantom, że jest prawnikiem, pozwolili jej wejść na chwilę. Dominik jej towarzyszył i jakiś pan w kasku, zwany inspektorem. Na schodach znów poczuła to głupie uczucie *déjà vu*. Bała się, bała się zbyt mocno jak na sytuację, zaczynała wręcz ogarniać ją panika. Dominik dostrzegł to chyba, bo tak mocno ścisnął jej rękę, że przeszło. Po trzecim piętrze nie mogli chodzić, inspektor pokazał im tylko dziurę w murze, w głębi kawałek pokoju, zdążyła zobaczyć różową, odrapaną farbę na ścianie, kawałek jakiegoś starego tapczanu. Nie były jej obce, przynajmniej jej podświadomości. Poczuła ścisk serca, duszność, dziwny żal. Musiała wyjść, i tak ich wyproszone. „Zabezpieczymy wszystko, zabezpieczymy” – mówił inspektor do Dominika – „proszę się nie martwić, nic nie zginie. Nic tam zresztą pewnie nie ma, a pani mecenas błada, jakbyśmy trupa znaleźli”.

Na powietrzu poczuła się lepiej, pojechała do domu, już w samochodzie zaczęła wspominać całe swoje życie, krok po kroku, aby spróbować znaleźć cokolwiek, co łączyłoby ją z tym budynkiem lub podobną przestrzenią. Wróciły obrazy dzieciństwa, dawny żal do matki.

Teraz rozmyślała o przeszłości w swoim fotelu, w zmroku, który ogarniał pokój. Kiedy weszła do domu, jeszcze nie było Hani, jeszcze nie przyszła

Balbina. Już nie było jej babci, tylko zdjęcie nad kominkiem przypominało jej postać, babcia istniała już tylko w albumach ze zdjęciami. Fotografii matki nie znalazła żadnej. Owszem, jakiś pusty album, zionął smutkiem, wyrzuciła go. Teraz sama siebie nie rozumiała. Po wybuchowym dniu, poruszona odkrytą przestrzenią, która nie okazała się tajemniczą komnatą, tylko obskurnym pokojem, Julia Minejko siedziała skulona w fotelu, i płakała. Była znowu małą porzuconą dziewczynką, nienawidziła swojej matki i pragnęła, by jej córka nigdy niczego podobnego nie zaznała.

A jej córka właśnie szurała drzwiami, wносиła do domu wiatr i hałas. Julia szybko osuszyła policzki.

– Hej, jest tu kto w tej grobnicy? – wołała Hanka od progu – mamik, mamik, co tak siedzisz w ciemnościach. Zaraz ci coś opowiem.

Podbiegła bliżej, przyklęła przy fotelu, a matka chwyciła ją w objęcia, przytuliła mocno i jednak rozplakała się jeszcze raz.

– Chyba cię nie rzucił? – groźnie zapytała Hanka.

– Nie, nie, zresztą kto? – przez łzy uśmiechnęła się Julia.

– No ten Dominik, myślisz, że nie wiem? Balbinie powiedziałaś, a mnie! A ja wiem i tak. Podoba ci się?

– Tak, bardzo – odrzekła szczerze Julia.

– No to obie jesteście zakochane, mamik – westchnęła Hanka, przytulając policzek do kolan matki. – Zapalę światło i opowiem ci, zanim przybędzie Balbina, okej?

Zanim przybyła Balbina, Julia zdążyła dowiedzieć się, że miłością życia jej córki pozostaje Przemo, nieustająco Przemo, ten wspomniany po powrocie znad morza, bo tam go poznała. Że Przemo organizuje powitalną imprezę z kolegami z grupy i ona tam wystąpi jako jego dziewczyna, więc trochę też jako gospodyni, i to jest miłe, cudowne, i czad. Ale do tej pory plan utraty dziewictwa nie został wprowadzony w czyn! Julia odetchnęła. Hanka oznajmiła, że wie wszystko, także to, iż pierwszy raz też jest niebezpieczny, umie się zabezpieczyć i jedno co ją trapi, to dziwne uczucie, że Przemo nie spieszy się wcale do tego. „Bogu dzięki” – pomyślała Julia, ale Hania natychmiast pocieszyła ją nadzieją, że zespolenie ciał i dusz nastąpi tego samego wieczoru co impreza, jak już goście sobie pójdą, w sobotę. A potem zaprosi Przema na studniówkę. A właśnie, w tym tygodniu zebranie rodziców, i trzeba iść, mamik, bo to studniówka. Składki, decyzje i tak dalej.

– Żeby cię tylko do komitetu studniówkowego nie wybrali – przestrzegła

Hanka – bo nie chcę cię widzieć na balu. Ale musisz iść w czwartek na siedemnastą, ojciec tu się nie nada.

Dowiedziała się jeszcze Julka o nowym koleśiu, co dokooptował do nich, „w klasie maturalnej, po prostu czad, żeby w takim momencie zmieniać szkołę, ale dość sympatyczny, tylko mruk”. Poza tym że Przem jest fanem muzyki folkowej i ona musi się z tym gatunkiem sztuki zapoznać, zanim jeszcze zapozna się z testami na próbną z biologii. Przem studiuję geografię i Hanka też zaczęła myśleć o tych studiach, ale za późno zmieniać teraz rozszerzenia, Przem wynajmuje kawalerkę, co by było, gdyby razem tam zamieszkali? Bliżej bym miała do szkoły. Tylko jak ciebie tu samą zostawię? Może ten Dominik, co? Czemu nie chcesz ojca? A kiedyś, a w przyszłości? Mamik, popatrz w moją przyszłość, Przem będzie podróżnikiem, i ja z nim przemierzę cały świat.

– Tego brakowało – szepnęła Julia i przytuliła mocno córkę – nie puszcze cię w żaden cały świat. Przyrowadź tu tego Przema, zobaczę, co to za typek.

– Ty mam, a kiedy to przedstawiś mi tego Dominika? – Hanka zmarszczyła brwi – stary jest trochę, ale może dla ciebie akurat, opowiedz mi o nim.

Zanim jednak Julia zdążyła wymyślić, co by tu powiedzieć i jak wybić córcie z głowy pochopny seks z Przemem, przed domem zaparkował samochód i zawitała do nich Balbina. Chyba obie poczuły ulgę, że kończy się wieczór zwierzeń. Pizza pachniała z wielkiego pudła. Balbi machała w drzwiach butelką wina, utyskiwała na wszystkie korporacje tego świata, korki pod miastem, chłopskie rządy w polityce, życzyła sobie szybkiej kolacji.

– Ja też jestem głodna – krzyknęła Hanka, a Julia uświadomiła sobie, że nie jadła nic od rana.

– A ja miałam naprawdę wybuchowy dzień. Dosłownie – powiedziała. – Dziewczyny nie wyobrazicie sobie tego – w naszej kamienicy, to znaczy w domu Gosztowica przy Tołłoczki, nastąpił wybuch. Początkowo wszyscy sądzili, że to instalacja gazu, ale nie. Wygląda na to, że ktoś podłożył bombkę. Spece badają sprawę, czy nic nie zginęło z mieszkań, ale... – zawiesiła głos i spojrzała na nie zadowolona z wrażenia – wyrpało ścianę do ukrytego pokoju!

– Ale czad – szepnęła Hanka.

– A w pokoju co? – zapytała Balbina.

– Na razie weszła tam tylko ekipa, chyba że sprawca wybuchu zdążył.

Wszystko zabezpieczyli. Moja pani klientka Ela biała jak płótno, bo co gdyby akurat tam była? A pokój obok jej mieszkania, ze dwadzieścia metrów dodatkowej przestrzeni.

– I czyje to teraz będzie? – zaciekała się Balbina.

– Pewno ostatecznie moich klientów – zaśmiała się Julia. – Wygram to dla nich, no nie? Mnie ciekawi, czemu był zamurowany, co tam było, kto o tym wiedział, czego szukał. Bombka nie walnęła tak sama z siebie, akurat tam.

– A może powinni wezwać detektywa? – podsunęła Balbina. – Znam jednego...

– Wy to macie ciekawe życie – westchnęła Hania – a ja to tylko matura i chłopaki. No, teraz studniówka.

Roześmiały się wszystkie trzy i usiadły do kolacji.

„Całkiem nam dobrze we trzy” – pomyślała Balbina – „gdyby tylko Julia chciała...”.

„Będą sobie czytać, a ja muszę kuć” – zmartwiła się Hania i postanowiła przed kuciem obejrzeć w Internecie suknie studniówkowe. A Julia myślała o tym, że inspektor powiedział: „ktoś może w wojnę Żydów tu ukrywał”, o Dominiku, jak ścisnął jej rękę, zdumiony i z dziwną miną oglądał dziurę w ścianie, chciał koniecznie tam wejść. Widziała, że jest bardziej zaaferowany niż zdziwiony tym odkryciem, a mimo wszystko zaproponował Julii, że ją odwiedzi do domu. Odmówiła, szepnęła mu w ucho: „do jutra” i znikła. Chciała być sama, próbować zrozumieć to wszystko, tymczasem pojmowała coraz mniej.

– Balbi, powiedz, co o tym myślisz? Prześladowuje mnie tam cały czas, to dziwne *déjà vu*, a naprawdę nigdy tam nie mieszkałam. Nie śniła mi się ta kamienica, nie znam podobnych miejsc. Pierwsze moje wspomnienia związane są z tym domem, krótko mieszkałam poza, pamiętasz sama: na stacji na studiach przez jakiś czas, bo dojazdy mnie męczyły, potem z Markiem w bloku, ale zawsze wracałam tutaj. Dom babci od zawsze chciał być mój, czuję to, znam każdą deskę. Ale tam? Co się we mnie odbywa? Czemu teraz jak nigdy przypominała mi się matka, a raczej jej nieobecność?

Balbina kroić pizzę, zamyślona, sięgała do swoich rozważań i doświadczeń. Sporo czytała o filozofii Dalekiego Wschodu, sama wierzyła w reinkarnację. Najchętniej powiedziała Julii, że musiała żyć tam w jakimś poprzednim wcieleniu, ba, może za czasów Krystyny Rachowicz. Ale Julia była racjonalistką, nie wierzyła w podobne teorie. Może powinna zasięgnąć

rady, pójść na jakąś sesję terapeutyczną? Ustawienia rodzinne, które przyszły jej do głowy, a wiedziała, że pomagały niektórym ludziom, przyjaciółka też odrzuci jako magiczne. Balbina знаła historię życia Julii, zastanawiała się czasem, czy niechęć do kobiety, która była przecież jej matką, mimo że wybrała osobne istnienie, nie truje jakoś jej duszy. Na ustawieniach radzono by Julii przebaczyć, napisać wymagany list do matki. Nie była na to gotowa, to Balbina wiedziała równie dobrze jak to, że nie była gotowa na związek i zamieszkanie z kobietą. Patrzyła na Julię, zmęczoną, przestraszoną swoimi urojeniami, ambitną, w dodatku teraz chyba mocno zaangażowaną w romans z Dominikiem Dymszą. Czy to seks, czy coś więcej? Jakże chętnie uznałaby, że tylko seks, podeszła do Julii, wygładziła jej włosy, rozmasowała kark. Gdyby nie epizod na tarasie, mogłaby to zrobić, wcześniej tak bywało, nawet kąpały się razem w wannie. Teraz już nie. Dopóki Julia nie sparzy się kolejny raz w związku z mężczyzną, dopóki nie uzna, że jest biseksualna, czego Balbina była pewna, nie było nadziei. Ale wszystko to się stanie, i wtedy... jeśli będzie miała odwagę. Podała talerzyk Julii i powiedziała:

– Słuchaj, a może porozmawiaj ze swoim ojcem? Tak dokładnie: jak to było, gdzie poznał twoją matkę, gdzie mieszkali? Ty wiesz coś o dziadkach z jej strony?

Julia przecząco pokręciła głową.

– A w jakim szpitalu się urodziłaś? Gdzie cię chrzcili?

– Tutaj w parafii babci, matki już nie było. Co do szpitala, też nie wiem. Ojciec nigdy nie chciał rozmawiać, ja nie chciałam pytać. Wykastrowałam ją ze swojego świata, tak mi się zdawało. A tu proszę, wraca jak duch. Jak ten inspektor wspomniał, że może Żydzi w wojnę, to coś mnie łupnęło pod żebrę. O co chodzi, Balbina?

– Czeka, czeka, ty jesteś ten sam rocznik co ja? Chwała Bogu sześćdziesiąty ósmy?

– Tak, nawet marzec, powiem ci. Przyszłam na ten świat w sam czas demonstracji!

– A matka twoja znika z tego kraju pod koniec tego słynnego roku, jak raz z falą czystek żydowskich. A ty, kochana, masz w sobie coś z semickiej urody. Włosy, skórę jasną...

– Myślisz?

– Musisz pogadać z ojcem. Musi ci powiedzieć, co wie. Dokąd pojechała? Do Izraela może? Sama? Słuchaj, ten wątek Szenkelów obudził w tobie coś,

może uruchomił pamięć genetyczną? Ile ona mogła mieć lat? Ze dwadzieścia pięć?

Zamilkła, bo Julia patrzyła na nią ogromnymi oczami, pobladła, kropelki potu wystąpiły jej na skroni. Nie była przecież antysemitką, możliwość, że miała matkę Żydówkę nie powinna jej tak poruszyć. I rzeczywiście chodziło o coś innego: Balbina przecież nie wiedziała, że imię na fałszywym akcie chrztu nieznaney Dymśówny i imię matki Julii brzmiało identycznie. Danuta. Byłby to przypadek? Postanowiła na razie nie mówić o tym nikomu, ani Balbinie, ani Dominikowi. Porozmawiać z ojcem, tu Balbi ma rację, porozmawiać z nim, a potem działać. Ostatecznie Danuta to bardzo popularne polskie imię. Póki co wszystko to tylko domniemania i poszlaki.

– Zajrzyjmy do innego świata, do innych czasów Balbi – poprosiła, wyciągając wydruk. – Nie wiem czemu, ale lektura powieści Dominika jakoś mnie wzrusza i uspokaja. Ty dzisiaj czytasz.

IV Miłość po raz drugi

– *To tylko domniemania i poszlaki – inspektor Kałuszyn, który zajmował się śledztwem w sprawie śmierci Maurycego Grotera, wzruszył ramionami. – Sprawa zamknięta. Są świadkowie, że pan Groter spadł z rusztowania. Z tak wysoka, że każdy by się zabił. I lepiej żonie jego nie mówcie o tych podejrzeniach, bo biedaczka ledwie z żałoby wychodzi, a tu kolejny cios.*

Mijał prawie rok od tragedii, Klementyna wracała do zdrowia bardzo powoli. Najpierw naskakali się nad nią, żeby w ogóle do rozumu wróciła. Na pogrzebie szła za trumną, pod rękę ze swoim ojcem, otumaniona lekami od doktora tak, że ledwie widziała drogę i czubki swoich bucików. Większość dnia siedziała teraz w sypialni i pilnowali tylko, żeby sobie czegoś nie zrobiła, ale najpierw była zbyt słaba, potem już świadoma, zbyt duży był to grzech. Synka przytulała i oddawała Wiktorynie, która pozostała w domu Groterów. I to ona, Wiktoryna wpadła pewnego dnia na pomysł, że może pan Maurycy wcale nie przez wypadek spadł z rusztowania, tylko może ktoś mu pomógł. Kto?

– *A kto plon zebrał? – pytała – kto dzień i noc przy pani stróżuje? Kto jej pomaga z bólu wychodzić? Kto życie odmieniał, do panien lekkich przestał latać i teraz poważnym obywatelem się stał? Kto zajął się kamienicą i podnajął mieszkania, o pieniądze dba i zyskuje? I kto razem tam był na*

górze, jak pan spadał? Jedyny tylko Karol Wierzbicki, współnik.

Z takimi wnioskami udała się do doktora, a że doktor nie lubił Karola, śmiercią Maurycego gryzł się bardzo, wolał wątpliwości wyjaśnić. Poszli oboje do Kałuszyna, ale ten złapał się za głowę.

– Ludzie, co wy, nie można tak oskarżać! Jaki motyw? Toż on nic po współniku nie dziedziczy, dba o majątek pani Klementyny jak o własny. Że się zmienił? Każdym by wstrząsnęło, przecie! Ja go pamiętam z tych dni, bałem się, że i on oszaleje... A wszystkim się zajął, uważnie i uczciwie.

– To i prawda, że dzięki niemu pani Klementyna do życia wraca. Nawet wychodzić zaczęła, ale tylko z nim, a jadła tylko przez to, że on się uparł i sam ją karmił. Umarłaby...

– Chmiel mówił, że pan Maurycy tak na Karola patrzył przed śmiercią, jakby prosił o opiekę.

– No i wyprosił – Wiktoryna zła była na głupich mężczyzn, że prawdy nie widzą. – Kocha się w niej od dawna i rywala usunął. Może pan inspektor nie wierzy, ja swoje wiem. Pani go najpierw wyzywała, klątwami rzuciła, ale teraz snuje się oparta na jego ramieniu.

– Młoda jest jeszcze, Wiktoryno – z uśmiechem powiedział doktor – nie żałuj jej życia.

– Jeśli Karol Wierzbicki ją kocha to i dobrze – dodał inspektor.

Minął rok. I jeszcze kwartał. Wiosna zaczęła zaglądać do domostw i do serc ludzkich. Synek Klementyny ukończył półtora roku, Wiktorynę odprawiono, bo Karol dowiedział się jakoś o jej podejrzeniach i gniew go porwał, a potem strach co by było, jakby podpowiedziała coś takiego Klementynie. Siedziby w kamienicy wynajął bogatym rodzinom, ale coraz częściej zastanawiał się nad wyjazdem za granicę. Zabralby ją z tego miejsca złych wspomnień. Klementyna zaczynała trzeźwiej rozglądać się po świecie. Zauważyła, że Karol ją adoruje, oczywiście, ale dopiero ostatnio zaczęło to do niej docierać. Był przy niej ciągle, a twarz Maurycego, te jego ładne oczy i bruzdy przy uśmiechu zacierały się w pamięci. Wyrzucała sobie letarg i słabość, ze względu na synka. Tak rozpaczała, bo dobrze jej było wcześniej, i w życiu, i w ramionach Maurycego, oto kara za chciwość życiową, po co im było więcej? Po co ta kamienica? Wstydzila się swojego zachowania, ale klątwy z kobiet tego domostwa nie zdjęła. Wstydzila się też tego, że po kilkunastu miesiącach nie tyle jej brakuje duchowej więzi i wsparcia Maurycego, co jego uścisku, ramion, ust i tych chwil, kiedy

zespalali się w jedno ciało. Brakowało jej męża w sypialni. Wiktoryna powiedziałaaby jej być może, że nic dziwnego w tym nie ma, i że za kochankiem powinna się za jakiś czas obrócić, za kochankiem, nie mężem, co majątek zgarnie... Ale Wiktoryny nie było, natomiast był Karol. Wszystko jej zdjął z głowy, wiele teraz rozmawiali. Odkryła, że jest poważniejszy niż niegdyś. Odkryła, że ma poczucie humoru, chociaż ostrożnie postępował z rozśmieszaniem wdowy. Raz złapała się na myśli, że zgrabny jest i zgolił brodę, widać teraz uparty podbródek i usta ładne, pełne.

Musiałoby się to stać, chociaż jeszcze minęły miesiące i druga jesień przyszła od tragedii. Klementyna miała lat trzydzieści pięć i chciała być kochaną. Karol żył od dwóch lat w ascezie i dla niej gromadził energię miłosną. Pewnego dnia w salonie, gdy stali w oknie, objął ją i tylko przytulił, ale i ona objęła go ręką w pasie, a głowę położyła na ramieniu. Pochylił się i pocałował ją, jej śliczne usta, zamknięte oczy. Nie uciekała. Uniosła twarz i włożyła palce w jego jasne włosy. Karol rozejrzał się po komnacie. Było cicho, zmierzchało. Wziął ją na ręce i zaniósł, ale nie do sypialni, gdzie być może żyła jeszcze pamięć jej miłości z Maurycym. Pokoik obok salonu miał tylko wersalkę i fotel, lecz zamykał się na klucz od środka. Byli bardzo cicho. Pieścił ją najpierw delikatnie, rozpinał suknię ze zdziwieniem, że spełniają się jego marzenia. Uśmiechała się i błędziła rękami po jego biodrach, piersi, po guzikach, aż nagle stwierdził ze zdumieniem chłopca, nie doświadczonego lowelasa, iż leżą obioe nadzy na ubraniach, że Klementyna jest pięknie zbudowana, gładka, nogi ma smukłe, brodawki piersi ciemne i uniesione, a trójkąt włosów pod wzgórkim łonowym bujny i złotawy. Głaskała go po brzuchu, pozwalala się oglądać, sama zerkala ciekawie na jego tors z jasnym puchem, na wąskie biodra, mocne ciało. Karol był tak przejęty, że nie czuł podniecenia. Dotykał jej piersi, całował szyję, lecz jego przyrodzenie pozostawało miękkie, jakby zaczarowała go wiedźma, Wiktoryna czy kto. Zaczął czuć się bardzo niezręcznie. Kobieta, której tak bardzo pragnął, leżała obok, naga, gotowa, gorąca i stęskniona mężczyzny. I w tej chwili, chyba z szacunku, z nadmiernej miłości on doznawał niemocy. Czy już to zauważyła? Jeśli tak, strzelę sobie w łeb, pomyślał. Im bardziej jej pragnął, tym bardziej kulił się w sobie i marniała jego męskość. Zanurzył twarz w jej piersiach, skubał ustami pełne sutki. Z rozpaczą myślał, że na sam widok gołych dziewczyn z zamtuza, ich gorsetów i koronkowych majtek, stawał się prędko i mocny,

a teraz nic. Może to ten czas abstynencji. Wstyd go zalewał, ogarniała panika. Starał się ukryć niemoc, zyskać na czasie, biegł językiem po brzuchu i znów ku górze. Jak to wyjaśni, jeśli nie da jej rozkoszy, kiedy tego zapragnęła? Klementyna przyciągnęła jego twarz ku swojej. Nie spieszyła się już. Woląca nawet powolny rozwój wypadków, chociaż w jej lędźwiach zrodziło się pragnienie. Czula jego ciężar na sobie, całowała mocno, głęboko, sięgnęła dłońmi do jego pośladków, wodziła palcem wzdłuż przerwy między nimi. Poczul nareszcie przyjemne mrowienie. Zsunął się na bok, podparł na łokciu i patrzył na jej ciało. A wtedy Klementyna rozsunęła kolana, ułożyła nogi w romb, położyła jego rękę na swoim sromie i sama śmiało sięgnęła ku niemu. Wystarczyło. Gdy poczul tę delikatną, pieśczośliwą dłoń na przyrodzeniu, a swoją zanurzaną w jej wilgotnym owocu, doznał silnej podnieci. Ciepłe wnętrze czekało na niego, a Klementyna poczuła, że Karol rośnie i rośnie w jej dłoni i trochę się przestraszyła, bo teraz mógł się poszczycić tym, co zwykle wzbudzało chichoty i podziw wśród dam z przybytku Grubej Franki. Poprowadziła go jednak w siebie odważnie i po chwili zabrakło jej tchu. Był wyposażony szczerze, był mocny, a teraz po chwili wahania ciało jego przypomniało sobie, co potrafił dać kobiecie. Klementyna stęskniona za mężczyzną przyjmowała silne uderzenia i oddychała szybko. Karol panował już nad sobą, zwolnił rytm, stał się delikatniejszy, czekał na nią, i dopiero gdy ujrzał mgłę w oczach, ciężki oddech, dał upust swojej rozkoszy. W szczytowym momencie całowała go jak szalona, czuł spazmatyczną reakcję jej ciała. Leżeli chwilę przytuleni, zobaczył łzę na policzku, pocałował, a potem całował ramiona i brzuch, sięgnął pocałunkiem w intymne miejsce, a gdy skromnie uciekła biodrami, znów poczul silne podniecenie. Nie czekał na nic i nie rozumował, tylko wziął ją drugi raz, a ona przyjęła go z gotowością i gryzła rąbek sukni, by nie krzyczeć, bo zbieglaby się zaraz cała służba.

Potem milczeli, tylko Karol trzymał w rękach jej dłonie, a ona oparła głowę o jego ramię i uśmiechała się. Mogła tak leżeć całą wieczność, po raz pierwszy od tragedii udało się jej ugasić ból.

- Klementyno – powiedział Karol – musimy się ubrać i iść.*
- Kochasz mnie od dawna, prawda? – zapytała.*
- Tak – powiedział – od zawsze. Ale musimy, chodzi o ciebie, nie narażę cie na...*

Klementyna zamknęła mu usta dłonią, obróciła się na brzuch, figlarnie

pomachała nogami. Zerknęła na niego, ale nie śmiała się, bardzo poważnie wyglądał: nagi Karol z bokobrodami, nasłuchujący, czy ktoś nie chodzi po korytarzu.

– Więc chodźmy – powiedziała – skoro naprawdę musimy stąd pójść.

– Dziękuję – rzekł Karol, zdziwiony tym, jak dama potrafi tak szybko ubrać się w te niezliczone ilości spódnic, gorset i zapinane wysoko buciki. Wyszedł pierwszy, sprawdził, czy nie ma nikogo na korytarzach, dał jej znak i skręcił w prawo. Klementyna poszła w lewo, do biblioteki i poprosiła mamkę o przyniesienie synka. Karol udał się do swojego mieszkania, zamknął w gabinecie i rozmyślał. Spełniło się jego marzenie. Wiedział, że teraz zdobył Klementynę na zawsze. Wiedział, że musi teraz obmyślić ciąg dalszy: ślub, kwestie majątkowe, siedzibę. Wiek dziewiętnasty kończył się jednak szczęśliwie. Co za kobieta, warto dla niej i majątek porzucić, i każdy grzech wziąć na sumienie. Teraz, kiedy ją posiadał, pragnienie spotęgowało się miast zgasnąć. Wywiezie ją za granicę. Od tych polskich nieszczęść, plotek, powiązań rodzinnych. Budynków, siedzib, majątków. Wywiezie ją jak najszybciej, niech szlag trafi wszystkie kamienice świata i ich sekrety. Stary Schatmeyer szeptał coś Maurycemu, przed samym zgonem, co? Tajemnice jakieś, tak jakby tamten cokolwiek rozumiał. Ale sam Schatmeyer wyjechał. Czasy niespokojne w Rosji, w Warszawie też zamieszki, a ludzie o wojnach przebakują. I do tego jeszcze niepokoił go ten cały inspektor Kałuszyn, niby żartem mu doniósł o podejrzeniach Wiktoryny, ale węszył. Szybko, trzeba szybko gmach sprzedać, wyjechać, zabrać swoje szczęście daleko i ocalić. Tym szybciej, że... Boże, a jeśli Klementyna poczęła jego dziecko?

– Ja pieprzę – powiedziała Balbina – nie czytam dalej, bo skisnę tu z pożądania. Samej zachciało mi się seksu. „Z tą zmysłowo świętą Klementyną” – dodała już tylko w duchu, sama do siebie.

Julia roześmiała się. Wspominała popielaty dywan. Rozpoznawała w tych słowach Dominika, to on, nie Karol pieścił Klementynę: swoimi słowami, określeniami, ale Julia już wiedziała, że potrafi też tak samo wprowadzać swoje metafory w czyn. Zateśniła za nim. Dobrze, że jutro jest już jutro.

– Mówiłem, mówiłem, mówiłem! – Grześ triumfował – mówiłem, że musi być ukryty pokój. Każda z kamienic Schatmeyera miała, czemu nie ta!? Mówiłem, że będzie włamanie. Czego oni szukają?

– Może to jednak gaz – powątpiewała Miłka. Ich mała rywalizacja w dokonaniach dla własnego śledztwa nabierała rumieńców, zaczynała przypominać flirt.

– Nie – uciał spór Arek – bomba, bombka raczej, skuteczna, w sam raz.

Arek miał swoje znajomości w policji. Inaczej nie wiedzieliby zaraz następnego dnia, że jednak bomba, stworzona ręką domorosłego pirotechnika, ale dokładnie obliczona na takie właśnie zniszczenia: zburzyć ścianę, dostać się do zamurowanej przestrzeni i nikogo nie zabić. Sprawca jakby obserwował życie kamienicy, wiedział też, że o tej godzinie trzecie piętro opustoszeje, a gabinety na drugim czynne będą dopiero po południu. Wiedział lub widział, że Elżbieta i Betty wychodzą.

– I co wiesz jeszcze, Arek? Co tam było, co zginęło?

– Obyśmy się kiedykolwiek dowiedzieli – westchnął Arek, komicznie przewracając oczami – sprawca odpalił ładunek, odczekał i wszedł pierwszy do komnaty Tajemnic. Policja już tylko po nim zamiatała. Podobno pokój jak pokój, mały, pusty, bez okien, stęchlizna od starego tapczanu. Ale w ścianie dziurka po sejfie. Jak się domyślicie, pusta.

– O! – trzy głosy splotły się w jedno, a Julia rozwinęła je w pytanie. – Dziura po sejfie pusta czy sejf pusty?

– Tego nie wiem – odparł Arek – ale co było, zabrał. Ten ktoś znał plany budynku lepiej niż my. Ten ktoś znał być może szyfr do sejfu. I wiedział, czego szuka.

– Brylantów – zakrzyknął Grześ – mówię wam, brat Schatmeyera był jubilerem, a stary miał kręćka na tle zagrożeń. Poukrywali diamenty, bo wojna, głód i tak dalej... I teraz ktoś podąża ich tropem.

– W Polsce by ukrywał diamenty? – znów wątpiła Miłka – co on, historii nie znał?

– Prawda, w Polsce ludzie sami siebie ukrywali w takich lokalach, nie skarby – przyznał Arek. – Dokładnie dwanaście metrów kwadratowych, pokój nie prostokątny, lecz trapez! I bez okna. Zamysł, by służył za kryjówkę jasny.

– Ale sejf? – upiera się Grześ.

– Może dokumenty jakieś tam były? Pamiątki, zdjęcia – westchnęła Julia. – Grzesiu, poszperaj jeszcze przy tych europejskich kamienicach siostrach, może

dojdiesz, co się stało z braćmi Schatmeyerami. Właściwie, moi państwo, dla ustalenia własności ukryty pokój nie ma znaczenia. Chyba że należał prawnie do kogoś innego albo ukryto w sejfie jakieś dokumenty, umowy sprzedaży, obciążenia długiem. Pilnuj, Arku, tego policyjnego kontaktu, może się czegoś dowiesz.

– Nawet jeśli były, to teraz przepadły. No i budżet na dary wdzięczności poproszę, kolacja, koniaczek, wszystko kosztuje szefowo i kłamstewko, i sekrecik.

Wspomniała słowa z książki: „wszystkie tajemnice świata i ich sekrety”. Skąd się wzięły Dominikowi sekrety, pisał to przecież od wielu miesięcy, bomba trzasnęła wczoraj. Coś tu się nie zgadzało, ale teraz tak czy tak musieli uzbroić się w cierpliwość i czekać. Sama Julia wcale nie była hiobowym okazem cierpliwości, wyczekiwała spotkania z Dominikiem. „Tym razem mi nie umknie” – myślała – „musimy pogadać o kamienicy”.

*

Najpierw się kochali. Z czułością bliskich sobie, dobrych kochanków, jakby nie było to dopiero trzecie ich spotkanie. Tym razem Dominik czekał na nią w swoim mieszkaniu, niemal w drzwiach zaczął całować i pospiesznie rozbierać, sam tylko w szlafroku, pod który na chwilę włożyła ręce i poczuła ciepło, prężne ciało, gotowe do miłości. Pociągnął ją bez słowa do sypialni, zanurzyli się w pościeli łóżka zbyt dużego dla jednej osoby, co zdołała zauważyć, zanim jeszcze ogarnął ją ciepłem oddechów, komplementów szeptanych nad czułymi strefami jej ciała. Oddała się temu z pasją kobiety, która uczy się swojej mocy seksualnej, chociaż wiele lat była mężatką, chociaż miała dorosłe dziecko. Kiedy Dominik pochylał się nad nią i podziwiał jej wypukłości, zagłębienia i gładkość, wspomniała podobną scenę z jego powieści. Klementynę, która ponad sto lat temu zrozumiała, że pragnienie mężczyzny jest prawdą o kobiecie silniejszą może niż miłość i śmierć. Zrobiła to samo co bohaterka książki: sięgnęła dłonią do zagłębienia między pośladkami, a potem do intymnych miejsc Dominika, i chociaż mocy jego przyrodzenia, prężności i rozmiarom nie mogła nic zarzucić, poczuła, że daje mu rozkosz. Poprowadziła go ku sobie i zapomniała, o co miała zapytać, a on też się zatracił w miłości, chociaż nie składał ani wyznań, ani deklaracji.

Sam jej przypomniał, bo po tym jak się kochali, kąpali, jedli, chodzili nago po mieszkaniu i śmieli się z siebie i ze świata za oknem, Dominik poruszył temat wybuchu i kamienicy. Wiedział też niemało, prawie to samo co Arek, że to bomba nie gaz, zamurowana ściana, za nią pokój.

– Byłeś tam? – spytała.

– A jakże! Nie wolno wprawdzie, ale jeśli ktoś się uprze, to znajdzie sposób. A ja jestem uparty, nie wiesz tego jeszcze – położył głowę na jej gołych udach, łaskotał włosami – jestem uparty, kłamliwy drań, Julio, ostrzegam cię.

Nieprzyjemny dreszcz przeszedł jej po plecach.

– Co tam było?

– Pusty pokój, jeden tapczan, stara szafka i bardzo zżarta rdzą miednica. Ktoś tam mieszkał, ale dziesiątki lat temu. Śmierdziało.

– To wszystko? – ciekawa była, czy wie o sejfie.

– I dziura w ścianie, w niej resztki sejfu, z rozwalonymi drzwiczkami. Oczywiście dziura zionęła pustką.

– Co o tym myślisz Dominiku? – gładziła opuszkami palców jego szyję i uszy – co myślisz?

– Nie wiem, co myśleć – odparł – może faktycznie ukrywali tam Żydów w wojnę. A co było w sejfie, kto wie, może ich majątek? Czy to ma teraz znaczenie? Czy utrudni nam proces odzyskiwania praw?

– Nie, nie sądzę. I tak czekamy na wynik ogłoszeń... Ale mieliśmy nie mówić o pracy, kiedy się spotykamy prywatnie. A to raczej prywatny meeting mój panie, no nie? Coś innego mi powiedz.

Odwrócił się, twarz skrył w jej fałdkach na brzuchu.

– Nie będę zeznawał – wymruczał.

– Chcę, żebyś opowiedział mi o książce. Skąd tyle wiesz? Co jest prawdą? Co zmyśliłeś?

– Podoba ci się? – zapytał zerkając spod oka i gryząc okolice pępka.

– Sam wiesz, że uważnie czytałam – westchnęła, pochyliła się ku niemu i zacytowała książkę: „ułożyła nogi w romb, a jego rękę położyła sobie na...”. Zrobię to lepiej zamiast mówić, słowa słabo mi wychodzą.

Julia sięgnęła po rękę Dominika, a nogi ułożyła w romb, szepcząc: „Pieść mnie Dominiku i opowiadaj, a ja potem też ci coś opowiem”.

Dominik pieścił i opowiadał. O książce, o tym, jak bardzo go pochłoneła historia rodzinnej kamienicy. Dawno, dawno temu obiecał swojej babci Klarze, że spisze dzieje gmachu i ludzi, którzy w nim mieszkali. Babcia wprawdzie najlepiej pamiętała czasy międzywojnia, i o nich lubiła gadać. Nic dziwnego, była wtedy młodą bogatą panną z dobrego domu, mieszkała w reprezentacyjnej kamienicy, a czasy akurat zrobiły się doskonałe.

– Zauważyłaś – wtrącił Dominik, zatrzymując na chwilę ruch palców – czasy młodości zawsze są doskonałe. Była zakochana w nowej modzie, muzyce, tańczyła tanga i fokstroty. Czuła się wyzwolona i sto razy nowocześniejsza od matki, Krystyny, córki kupca, żony hrabiego, potem hulaki, która na starość zrobiła się lękliwa i marudna, wciąż czegoś się bała – powrócił do łaskotania jej pachwin. – Klara chodziła do teatrów i kabaretów, łamała serca, odrzucała konkury i kres tej pięknej epoce tak w życiu jej, jak i Europy postawiła II wojna. Wiesz, przed śmiercią matka jej bardzo spobożniała, i chyba czując nadchodzącą śmierć, opowiedziała Klarze dzieje poprzednich właścicieli, Klementyny i Karola. Podobno ojciec jej, Alojzy, też mówił o klątwie i to w chwili rozpaczy, gdy nieszczęście dosięgło także ich rodzinę. Twierdziła, że gdyby знаła historię pierwszej właścicielki i jej klątwy, nie zgodziłaby się na taki posag. Klara miała tyle rozumu, żeby spisać jej opowieści, przekazała je chętnie wnukowi, wziętemu pisarzowi, czyli jak słusznie mniemasz: mnie. Szukałem też w archiwach, sprawdzałem na plebaniach, są źródła potwierdzające kolejnych właścicieli, sama wiesz jakie. Ale oczywiście wiele musiałem dośpiewać sobie sam, prababcia ponoć nigdy nie mówiła o miłości. Słowo seks nie przeszłoby jej przez gardło, a pierś czy pępek, nie mówiąc o innych sekretnych zaletach kobiety po prostu nie istniały. Była wielką patriotką, chyba uważała, że seks patriotom nie uchodzi. Babcia Klara była już bardziej wyzwolona, kolana pokazywała bezwstydnie, ale też nie potrafiła mówić czy pisać o doznaniach zmysłowych. A Klementyna musiała być żywą piękną kobietą, chciała być kochana, jestem pewien. Tak jak ty.

– A Klara wiedziała o tym ukrytym pokoju, jak myślisz?

Chwilę milczał i przestał ją dotykać. Pożałowała pytania, ale Dominik odparł „tak” i podjął temat.

– Tak, powiedziała mi o pokoju, o tym, że należała do AK, pomagała Żydom. Ale ani słowa, czy ktoś tam się ukrywał. Wierna zasadom konspiracji do końca. Ten pokój nie został uwzględniony w oficjalnych planach. Miał

służyć czasom i wydarzeniom niecodziennym jak spiski, wojny, ukrywanie zbiegów. Zamaskowane drzwi otwarto dopiero w wojnę. Potem, zaraz po wyzwoleniu zamurowano. I to jest pytanie: kto to zrobił, bo ani Klary, ani Luboczowej, ani stryja Rachowicza już w Polsce nie było.

Zamknęła mu usta, nie chciała słuchać więcej, być może opowiadanie z jednoczesnym drażnieniem czułych miejsc nie było najlepszym pomysłem. A może właśnie było. Julia wyobraźnią przeniosła się w dawne czasy i poddała palcom Dominika, ciekawa, czym ją jeszcze zaskoczy. Miał jeszcze całkiem spore pole do popisu, bo z mężem nie zaznała wielu przyjemności. Sam dość doświadczony dziwił się, że ta kobieta ciągle wydaje się nieodkryta, nienasycona i zaskakująca. Kochali się znowu, lekko obrócił ją na brzuch, klęknął za nią. Uniosła się na kolanach i łokciach, w ten sposób robili to pierwszy raz. Podobało się jej, czuł to i słyszał. Ale potem chciał usłyszeć jej historię. Została u niego na noc. Opowiadała o swoim dzieciństwie, ojcu, matce, której nie było. Opowiadała o nieudanym małżeństwie i udanej córce maturzystce. Pytała o jego losy, o syna, o byłą żonę.

– Znam wszystkie zakamarki twojego ciała – śmiała się – teraz pokaż duszę. Obnażał przed nią prawie całą duszę i dopytywał. W pewnej chwili zapytał:

– Minejko. Cóż to za nazwisko? Twoje czy po mężu?

– Moje własne! – obruszyła się. – Wróciłam do niego po rozwodzie. To bardzo dobre, rodowe nazwisko. Jestem Minejko, herbu Gozdawa.

– Żartujesz? – zaskoczony, odwrócił się gwałtownie – żartujesz! Gozdawa? Zaraz ci coś pokażę.

Podbiegł do półki. Widok nagiego mężczyzny przy regale, grzebiącego w książkach, rozbawił ją do łez. Pośladki połyskiwały bielą, zauważyła, że ma ładne plecy.

– Już pokazałeś... o co chodzi?

– Gozdawa to herb Dymśzów! Zaraz ci udowodnię.

– Nie podniecaj się tak... ups, niezręczne słowa w tej sytuacji... Bliskimi krewnymi nie jesteśmy, to bardzo rozległe rody.

– Tak, ale przyjemnie znaleźć herbową kuzynkę – przydźwigał opasłe tomisko z herbami. I Michał Pac był herbu Gozdawa, znasz jego historię?

Nie знаła. Dominik był pisarzem i znał chyba wszystkie historie świata. Około drugiej w nocy wszedł na temat lokalizacji kamienicy, filozofował o zmienności nazw ulic w zależności od tego, jak wieje wiatr historii.

– Taka ulica Wybickiego obok – gadał jak najęty – dawniej cara

Aleksandra, potem Rewolucyjna i Batalionów Chłopskich. Osobiście, gdybym miał tam mieszkać, chciałbym Wybickiego, poniekąd także naszego powinowatego. Ty wiesz, jak kochał się w Kunusi? Ujrzał ją na chrzcinach syna znajomej hrabiny i oczu nie mógł oderwać. Od panny Kunegundy Drwęskiej, czyli pięknej Kunusi. Niezbyt zamożnej, co przeszkadzało pani matce Wybickiej, i zacy Józef zalecał się pięć lat, aż w końcu wziął ślub potajemnie... I otóż moja miła, dostał wreszcie Kunusię, dwa lata cieszył się szczęściem, lecz kiedy nawet prześlągali panią matkę, tuż przed rozwiązaniem Kunusia mu zmarła. Lepiej jednak matki słuchać.

– Tak jej szło o ten majątek?

Ja myślę, że bardziej o to, iż zacna Kunusia była od Józefa starsza...

– O – Julia pomyślała, że też jest starsza od Dominika – też mi powód!

– Słuchaj uważnie: Była starsza o siedemnaście lat! Kunegudna Drwęska, herbu... Gozdawa! Co powiesz?

– Nasza kuzynka herbowa!

– Tak jest. Skusiła go wdziękiem i urodą u hrabiny Skórzewskiej jako dama czterdziestotrzyletnia. Ha! Nie wyssał z palca Mickiewicz Telimeny, Kunegunda, herbu Gozdawa. Ale że pomarła...

– Pocieszył się Józef?

– Dopiero po pięciu latach. Tym razem wziął młodkę i doczekał się sielskiego życia w swoim dworze, z żonką młodą i czeladką: trójką dzieci. Ta druga miała na imię Estera, poznał ją jeszcze jako piętnastoletnią dziewczynkę.

Dominik opowiadał wspaniale, historia kobiet dawnych była widać jego pasją. Julia słuchała, chichotała w poduszkę, wzruszyła się, łzę otarła na myśl o czterdziestopięcioletniej Kunusi, która umiera przed samym rozwiązaniem. Dziwna była to noc i kiedy po krótkiej drzemce nad ranem pospiesznie ubierała się, by wyjść do pracy, zadzwonić do Hani, uświadomiła sobie, że ta część nocy, wśród śmiechu i opowieści, była równie fascynująca jak chwile seksu. Dominik spał, gdy się wymknęła. Wolała uniknąć tworzenia porannych rytuałów: śniadanie przed pracą, buzi w korytarzu, „miłego dnia, kochanie” i tak dalej...

Dominik nie spał, gdy wychodziła. Udawał, bo wolał uniknąć tworzenia porannych rytuałów. Niebezpiecznie pokochał tę Julię Minejko, karciał się za to, był pewien swoich uczuć, ale jeszcze ani razu jej tego nie powiedział. Miał swoje plany i tajemnice, niektóre tym bardziej go niepokoiły, im bardziej

wciągał się w związek z Julią. Przyjechał do Polski, żeby szybko załatwić akt własności, sprzedać swoje prawa albo nieruchomości i wrócić do pisania książek, do domu w Anglii. Sprawy się przedłużały, ale nie żałował. Jego agent przysłał mu materiały, pisać mógł tak samo w Warszawie jak w Londynie. Dziwił się tylko, że jego bohaterka, z energicznej działaczki ruchu oporu we Francji, dziewczyny z blond warkoczami, zamienia się w brunetkę o granatowych oczach, trochę szerokich biodrach, ale za to zgrabnych łydkach... Był pisarzem znanym z tego, że nie boi się scen erotycznych. Zastanawiał się, czy aby na pewno się ich nie boi. Na przykład w życiu.

*

Hania nie chciała zrozumieć, że jej matka może mieć własne życie, swój romans i własne sprawy. Przywitała ją awanturą godną zazdrosnej nastolatki, we łzach i w pretensjach o to, jak można nocować poza domem, jak można w tym wieku być tak naiwną i jak można nie pamiętać, że ma się córkę, maturzystkę, także w bardzo trudnym momencie życia. Julia próbowała wytłumaczyć, że przecież powiadomiła, napisała SMS, iż nie wróci i gdzie jest, przecież Hania doskonale wie o związku z Dominikiem, ona jedna zresztą i tylko trochę Balbina, w końcu: Hania ma dziewiętnaście lat i nieraz już nocowała we własnym domu sama. Padły wszystkie wysłużone zdania typu: „to nie twoja sprawa”, „moja, właśnie, że moja”, „jak możesz mi to robić, właśnie teraz”, „jak możesz mnie nie rozumieć, ja też mam prawo mieć coś z życia”, i tak dalej: „nie wierzysz chyba, że to się uda, w takim razie ja też będę się puszczać”, „jak ty do mnie mówisz, u cholery?”. Skończyło się tym, że Julia nagle zaczęła się śmiać. Opadła na fotel i zanosiła się od śmiechu.

– Powiedz to jeszcze raz, ty młody draniu – wydusiła wśród śmiechu – no powiedz: jeśli nie będziesz wracała na noc i szlajała się... Córcia nie uważasz, że to ja powinnam tak mówić do ciebie?

– Nie wiem, czy to takie śmieszne, ale tak – Hanka usiadła obok na podłodze – tylko ja grzecznie siedzę w domu i się uczę, a ty?

– No trudno, żebym ja się uczyła! Wyobrażasz sobie, że zakuwam biologię, a ty latasz z chłopakami po nocy?

Teraz Hanka zaczęła się śmiać.

– Bardzo dobrze to sobie wyobrażam... Albo tak: Następnym razem kiedy

postanowisz zostać u tego faceta, daj znać, a ja zaproszę sobie Przemka. Co ty na to?

– Nie ma mowy – poważnie odpowiedziała Julia – ja zresztą nie będę tam nocować. Raz się zdarzyło, bo się zagadaliśmy.

– Zagadaliśmy, zagadaliśmy – przedrzeźniała Hanka – od kiedy to się gada na rozbieranych randkach.

– Po czterdziestce się gada, też... inaczej randka nie ma sensu. Wiesz, gadaliśmy o Wybickim...

Hania popatrzyła na nią z pogardą i niedowierzaniem w oczach. O Wybickim. Żeby chociaż o Bobie Dylanie, matka była fanką.

– W pewnym sensie był naszym kuzynem, Minejków znaczy. Przez herb żony.

– Ja tam jestem Pajewicz – westchnęła Hanka – i mam w przyszłym tygodniu próbną maturę, kompletnie nie kumam zadań z tego działu chemii. Pamiętasz o wywiadówce jutro, czy jesteś tak zakochana, że już nie myślisz rozumem?

– Tylko czym?

Hanka spojrzała wymownie i poruszała rytmicznie biodrami, pokazując palcem miejsce strategiczne. Julia, oburzona, rzuciła w córkę poduszką. Hania związała do kuchni.

– Myślę, czym trzeba, podła kreaturo – krzyknęła głośno, a cicho dodała – mimo że jestem, tak, jestem zakochana.

*

Dni biegły, różni klienci i ich sprawy zajmowały teraz wiele czasu zespołowi Minejko i S-ka, a przez klientkę, która chciała zaskarżyć sąsiadów za zawłaszczenie tarasu w bliźniaku, Julia omal nie spóźniła się na tę ważną wywiadówkę. Wpadła na salę wypełnioną już rodzicami przejętymi studniówką i maturą, i ujrzała swojego byłego męża Marka, oczywiście w pierwszej ławce. Oczywiście na jej widok podniósł rękę i pokazał wolne miejsce obok siebie. Oczywiście nie skorzystała. „Zabiję gówniarę” – obiecała w duchu. – „Więc moja Hania zaaranżowała spotkanie rodziców. Ciekawe, jakim sposobem nakłoniła ojca, by poszedł do szkoły, pewnie wymyśliła, że obowiązkowa jest obecność obojga”.

Wychowawczynie gadała i gadała, dawała im do podpisu mnóstwo papierków. Zgody lub nie na religię, na „samousprawiedliwianie” nieobecności przez osiemnastolatków, regulamin, trójka klasowa, składka na Radę Rodziców, ubezpieczenie... Julia natychmiast dostrzegła, że większość tych oświadczeń nie ma mocy prawnej, regulamin należało przeczytać przed podpisami, ale dała spokój, nie wtrącała się i podpisała. Ostatecznie wszyscy się spieszyli i dużo ważniejsze niż poprawność legislacyjna były teraz studniówka i matura. Julia, przycupnięta przy drzwiach, żeby chyżo zwiać, gdy tylko nadarzy się okazja, wciąż jeszcze analizowała rozmowę z klientką, wspominała noc z Dominikiem i z trudem odnajdowała się w szkolnej ławie, w świecie sprawdzianów, testów, rekrutacji i terminu balu studniówkowego. Zadziwiali ją ci ludzie nastroszeni, pełni pytań a o kosza, a o muzykę, a o zajęcia dodatkowe. Oczywiście dwadzieścia parę osób na sali wystarczyło, by niezgodność poglądów ukazała się w całej krasie. Skromny komitet studniówkowy złożony z trojga uczniów obwieścił rodzicom, że społeczność uczniowska pragnie zaprosić didżeja, chce wynająć salę w stylowej restauracji Chałupa i koszt obliczony został na siedemset złotych od pary.

Rodzice milczeli złowrogo. Julia wiedziała, co będzie: za drogo, a czemu nie w szkole, a co z jedzeniem, a nie lepiej sami? Nauczycielka też to dostrzegła i uprzedziła pytanie o szkołę:

– Sala gimnastyczna po remoncie, decyzją dyrekcji bal studniówkowy musi odbyć się poza szkołą. Zresztą większość liceów obecnie...

– Ale czemu akurat w Chałupie? – Rozległy się złowrogie głosy. – Pewnie jakiś znajomy albo łapówkę dał.

– A nie lepiej tylko salę gdzieś wynająć? Rodzice przygotowują posiłki, nawet catering taniej wyjdzie...

– Siedemset złotych. A dodajcie strój, buty.

– A czemu od pary? To zapraszanie partnerów to przeżytek.

Julia przymknęła oczy. Było jej obojętne, gdzie odbędzie się bal. Miała te siedemset złotych dla Hanki. Nie miała ochoty niczego gotować, ale nie odzywała się celowo, bo wiedziała, że kto się odezwie, tego zagonią do komitetu studniówkowego. Ostatecznie dwunasty rok uczęszczała na wywiadówki.

Wychowawczynie, szczupła anglistka mniej więcej w tym samym wieku co Julia, najwyraźniej zaprawiona w boju, uciszyła dyskusję. Poczzerwieniła

z gniewu oburzyła się na insynuację łapówki, koneksji i układów.

– Proszę państwa – powiedziała – wszelkie papiery i rachunki są do wglądu, a organizatorami są rodzice, czyli państwo. Proszę nie mówić o kumoterstwie, chyba że ktoś mnie posądza osobiście, więc słucham...

W klasie zapadła cisza. Wszystkie dzieci zdawały angielski, lepiej się nie narażać. Julia stłumiła uśmiech. Wychowawczyni dodała:

– I niech młodzież zdecyduje, kto gra, co chce jeść, niech weźmie na siebie odpowiedzialność, to już całkiem dorośli ludzie. Ale rodzice płacą, więc muszą państwo zatwierdzić składkę...

– Za dużo! – krzyknęła natychmiast Szara Pani z tłustymi kosmkami włosów, zła, że zabierają jej możliwość podyskutowania o łapówkach. Julia nie mogła nazwać jej inaczej, szarość zaczynała się w środku tej kobiety.

– No, no – Wygolony spod okna usiłował łagodzić – na dwie osoby, i jedzenie w tym, i muzyka...

– Może jak się jest protetykiem, to się ma! – odpysknęła mu Szara ze złością. Wygolony ucichł zawstydzony. Jakaś Pańcia Stulidupka postulowała dokładne określenie kroju i koloru sukni dziewcząt. „My byłyśmy zobowiązane do białych bluzek i czarnych spódnic” – grmiała – „a teraz plecy odkryte, kiecki kolorowe, to szkolny bal przecież. Albo mini, że majtki widać”. Panowie zarechotali. Nowoczesna Blondynka, bardzo dobrze utrzymana, zaprotestowała: XXI wiek, bez przesady. Sama miała miniówkę. Julia pomyślała, że ten spektakl się nie skończy, bo będą się kłócić na temat studniówki, a potem przejdą do matury, a frekwencja, a nastawienie klasy... Spod oka podpatrywała tych około czterdziestoletnich ludzi. Czy wyróżniała się na ich tle? W oczach niektórych błyszczało poczucie humoru, solidarność z dziećmi, już zaczynali wspominać własne studniówki... Jednostki „na nie” tylko czekały, by trąbić krytykę wszystkiego. Po kobietach było widać wiek, po jednych ciężką pracę i kłopoty, po innych dbałość o swój wygląd. Były tu panie z nadwagą i chude, z paznokciami jak modelki, eleganckie i zaniedbane, byle jakie. Julia pomyślała, że mało osób spośród nich poznała, nie było czasu na integrację tak jak w szkole podstawowej. Mamy Ali, koleżanki Hani nie było, pewnie miała dyżur w szpitalu. W kącie siedział pan Artur, ojciec innej koleżanki, człowiek z poczuciem humoru, który zawsze dowcipkował, a teraz był raczej smutny i nieustannie rysował coś na karteczkach. Tyle. Resztę twarzy znała z widzenia, ale nigdy nie dopytywała Hanki, gdzie pracują, jak się nazywają. Zupełnie nie znała rudej kobiety, wyraźnie różniącej się od

reszty, opalanej, ładnie umalowanej, odzianej w dzinsy i zielony golf. Ruda Lalka. Figura sportowa, nie chuda, ale zgrabna. Gdyby nie kilka wyraźnych zmarszczek przy oczach, niewiele różniłaby się od maturzystek. Wydawało się jej, że Ruda Lalka śmieje się z tego, co słyszy. Spotkały się wzrokiem, uśmiechnęła się do niej, otrzymała bardzo miły uśmiech w odpowiedzi. Jakaś Mamcia Panikara wszczęła temat przygotowań do matury, korepetycji, dodatkowych zajęć.

– Czy państwo zdajecie sobie sprawę – krzyknęła dramatycznie do rodziców – że zostało tylko osiem miesięcy? Dokładnie 245 dni, obliczyłam.

Nastało poruszenie i Julia podupadła na duchu. Rodzice złorzeczyli na obowiązkową matematykę, jakby decydowała o tym wychowawczyni. Decyzja w sprawie składki na studniówkę dopominała się o podjęcie.

„To się nie skończy” – powtórzyła w duchu Julia. Skończyło się jednak jakimś rozejmem wywalczonym dzielnie przez wychowawczynię maturalnej trzeciej B. Julia z ulgą zebrała notatki. Marek podszedł do niej, kiedy rodzice rozchodzili się pospiesznie, poza grupą, która oblegała biurko nauczycielki i zamęczała ją dodatkowymi pytaniami.

– To co, pójdziemy na kawę? – zapytał.

– Po co? – Julia wciąż czuła do niego niekłamaną niechęć. – Chcesz ufundować córce tę studniówkę?

– Oszalałaś chyba z optymizmu – powiedział złośliwie – prawnicy mają jeszcze lepiej niż protetycy. Ja biedny archik, nic nie zrobiłem w tym roku...

Pokiwała głową.

– To co wyskakujesz z tą kawą?

– Hanka mówiła, że chcesz coś omówić – oznajmił zdziwiony – mówiła, że koniecznie oboje musimy być na wywiadówce i masz mi coś do powiedzenia. Swoją drogą zauważyłaś więcej par rodziców, żeby byli oboje?

Julia z niedowierzaniem popatrzyła na niego. Jak mogła kurczowo trzymać się go tyle lat. Jak mogła tak cierpieć, gdy się rozstawali. Był głupi, po prostu był totalnie głupi. Westchnęła, a nawet wzięła go pod rękę i wyszli przed szkołę.

– Córka chciała, abyśmy się zesłi – powiedziała – i tyle. Wciąż ma nadzieję, że mnie przeprosisz, a ja dam się na to nabrać. Nie mam ci nic do powiedzenia, poza tym może, że dobrze mi bez ciebie.

I odeszła w stronę swojego auta, zostawiając go nieco zdumionego. Bardzo była z siebie zadowolona, bo nie czuła już ani upokorzenia, ani poczucia

straty. Kiedy otwierała samochód, mijala ją powolutku czerwona honda, a za kierownicą hondy Ruda Lalka. Podniosła rękę w pożegnalnym geście, ale jakby po przełamaniu jakiejś bariery przyhamowała, cofnęła, otworzyła okno.

– Teresa Willis – przedstawiła się szybko – mama Filipa. Jest nowy w klasie, nikogo tu nie znamy. Czy mogłybyśmy wymienić kontakty?

Komórki i wizytówki spełniły swoje zadanie, pani Willis odjechała czerwona honda, a Julia ruszyła do domu. Ruda Lalka okazała się Teresą, wydała się sympatyczna, jakaś egzotyczna, zaciekawiła ją. Może ta znajomość to będzie jedyny pożytek z dzisiejszej wywiadówki. A i tak obedrę ze skóry Hankę...

Hanka nie dała się obedrzeć ze skóry. Osłoniła się immunitetem osoby uczącej się pilnie i bez przerw, a takiej nie – wolno przeszkadzać żadnym obdzieraniem, przeciwnie trzeba jej zrobić i dostarczyć do pokoju talerz kanapek plus kubek herbaty, w drodze powrotnej zabrać zgromadzonych kubków sześć, każdy z zaschniętą mazią. Julia westchnęła nad Hanią ukrytą w książkach. Pół twarzy nastolatki wyrzało zza opasłego zbioru zadań nieśmiertelnego pana Pazdro. Pan Pazdro jak Pan Bóg, wszyscy go znają, nikt go nie widział.

– Gniewasz się, mamik?

– Nie, no nie. Zaraz gniewasz. Ale po co było ściągać tam ojca? Nic już z tego nie będzie córciu, przestań nas nawracać, powiedz lepiej, jak się ma ten nowy Filip w twojej klasie? Matkę ma bardzo fajną.

– Taki tam Filip. Ładne ma oczy i dobry jest z chemii, co nie sztuka, bo już przerabiał ten dział w swojej szkole. W Hiszpanii, wyobraź sobie. Jego rodzice wrócili z placówki w Madrycie. Czy też tu mają placówkę, czy coś innego, sama nie wiem. Koles może być.

Julia domyśliła się, że Hanka poczuła sympatię do Filipa Nowego, inaczej nie zostawiłaby na nim suchej nitki. Nie gniewała się też za tę próbę z Markiem. Ojciec to ojciec, rozumiała to. Sama wybierała się do swojego ojca, Kazika Minejko, herbu Gozdawa, żeby podpytać go o kilka rzeczy. Pojechałaby w ten weekend, lecz powstrzymywała ją troska o Hanię i Dominik. Córka szykowała się do gorączki sobotniej nocy, kochanek zapraszał na sobotnią kolację. Pojedzie za tydzień, za dwa?

*

Tydzień zbliżał się ku końcowi, we wszystkich biurach wszystkich miast pracownicy wypatrywali weekendu, snuli plany na dwa wolne dni, co jest cechą typową dla społeczeństw współczesnej cywilizacji. Homines laborantes płci męskiej i żeńskiej marzą o sobocie, by się wyspać. Umawiają się do kina, na domówki, kolacje, gry, a także zakupy, randki i sex-party. „Piątek, piątek weekendu początek” – podśpiewywał w kancelarii przy Żurawiej Grześ. Jakkolwiek interesująca była ich praca, również oni, cały zespół Julii, wypatrywali soboty, bowiem wbrew jej podejrzeniom mieli własne życie.

– Co robisz w weekend? – zapytał Grześ Miłkę, a ona wzruszyła ramionami.

– Zapisałam się na warsztaty – nie była zbyt wylewna. Uniósł brwi...

– Domowa produkcja kosmetyków z naturalnych produktów – poinformowała go – taka magia. Drogie jak skurczybyk, pięćset złotych. Ale dwa dni i będę umiała zrobić krem na twoje cienie pod oczami.

Grześ miał podbite oczy, bo taką miał urodę, poza tym czytał nocami i zaczynał zastanawiać się nad sensem życia, a to niechybnie najlepszy sposób, by nabawić się cieni, nie tylko pod oczami, ale i w duszy. Zastanawiał się, czy mógłby zaprosić Miłkę na piwo po pracy albo na spektakl wieczorem, ale obawiał się, że go wyśmiej, swoim zwyczajem wzruszy ramionami i powie, że zwariował. Siedzieli więc ramię w ramię wpatrzeni w swoje komputery, sprawdzali orzecznictwo sądów w sprawach podobnych do tych, które prowadzili. Byli bardzo blisko siebie, a jednocześnie bardzo daleko, bo Grześ przebywał na portalach opisujących odzyskiwanie mienia przez przesiedleńców, a Miłka badała wyroki unieważniające testamenty z racji praw pogrobowców. Właśnie trafił im się taki klient: urodzony osiem miesięcy po śmierci ojca, chciał podważyć ostatnią wolę nieboszczyka, który gospodarstwo zapisał młodemu krewniakowi. Nie wiedział facet, że mu się dziedzic rozwija w brzuchu konkubiny... DNA potwierdzało zeznania matki. Miłka uwielbiała badania DNA.

„Wywalimy ten testament jak beczkę z prochem” – myślała. Ostatni dzień tygodnia zapowiadał się spokojnie, niestety miał się zakończyć równie wybuchowo, jak się zaczął.

Najpierw ciszę ich poszukiwań zburzył Arek. Wkroczył do kancelarii z naręczem poczty, z komórką przy uchu, rechocząc w nią ze śmiechu. Najwyraźniej rozmawiał z kimś, na kim chciał zrobić wrażenie, bo jasna cera rudzielca pałała rumieńcem. Miłka podniosła głowę, Grześ znad okularów

popatrzył pytająco. Arek machnął do nich ręką, że nic, nic, nic takiego, prywatna rozmowa, zakończył: „no to jestem już w pracy, pa, pa” i grzotnął papierami o stół. Weszła Julia, jak zwykle ostatnio w dobrym humorze, chociaż akurat w tej chwili wcale nie rozmyślała o spotkaniu z Dominikiem, ale o jutrzejszej imprezie Hani. Córka rano poprosiła ją o fundusze, jak się okazało, na specjalną bieliznę. Julia postanowiła pogadać o tym po południu z Balbiną, a na razie przenieść się w świat nieruchomości, które okazywały się bardzo dynamiczne i ruchome, jeśli wziąć pod uwagę zmiany właścicieli. Powinna chyba powiększyć zespół. Policzyła szybko: prowadzili obecnie osiem spraw dotyczących odzyskania praw własności. I trzeba było je kolejno omówić. Zanim ustaliła porządek obrad, Miłka dorzuciła jeszcze jedną:

– Zgłosił się klient z Niemiec – powiedziała – powołuje się na sprawę Agnes Trawny i chce odzyskać rodzinną willę w Karpaczu. Prosi o spotkanie i konsultację, jest obywatelem niemieckim.

– Traci tylko czas i pieniądze – Julia nie miała złudzeń. – Agnes Trawny odzyskała dom dzięki bałaganiarstwu polskich urzędników. Nie wypisali jej z księgi wieczystej, kiedy wyjechała do Niemiec po wojnie. Zaniedbali to. Miała prawa...

– I dobrych prawników – uśmiechnął się Arek przebiegle

– Nie, Arku, była wpisana w księdze wieczystej jako właścicielka przez wszystkie te lata. To była głośna sprawa, pierwsze odzyskanie mienia przez Niemkę. A nasz klient w hipotece jest?

Miłka zaprzeczyła. Sprawdziła już księgę tej nieruchomości, a także to, że klient był rzeczywiście wnukiem właściciela sprzed wojny. Julia potrafiła wyćwiczyć zespół, wiedzieli co robić, zanim wydała polecenie.

– Jeśli dziadek zrzekł się obywatelstwa, by wyjechać do Reichu... – zaczęła Julia.

– To automatycznie stracił prawa do majątku – dokończył Arek – orzeczenie Naczelnego Sądu Administracyjnego, 2013 rok, skarga kasacyjna niemieckiej rodziny z Bytomia.

– Tak jest. A czemu ten człowiek akurat do nas przyszedł, skoro willa w Karpaczu?

– Ktoś mu nas polecił jako specjalistów w dziedzinie roszczeń. Facet z Berlina, chce wystąpić o odszkodowanie.

– Nie widzę szans – stwierdziła Julia – ale umów konsultację, oczywiście.

– W sprawie roszczeń i ja mam ciekawą nowinę – odezwał się Arek.

Popatrzył przeprasząco na Julię, a minę miał, jakby szykował się pomordować pisklęta. – Badałem sprawę wykupu i wyłudzenie roszczeń w sprawie pani Marii Zegło.

– A, ta kobitka, co czuje się oszukana?

– Tak, ta. Właściwie jej córka dopatrzyła się rozboju. Ostatecznie ją nabrali, sprzedała roszczenia do nieruchomości za marne pieniądze, a facet wyprocesował nieruchomość i ma teraz piękną posiadłość za miliony, ale ja nie o tym. Badałem różne akty notarialne i wykupione roszczenia, ceny, dokumenty, kto gdzie kupił... Czy wiesz, Julio, w jakim mieszkaniu rezyduje nasz miły klient Dominik Dymśa?

– Przy Piórkowskiej 8, drugie piętro, widok na plac Kościuszki – chciała powiedzieć, ale ugryzła się w język. Jej zespół nie wiedział przecież, jak doskonale zna ten lokal, widok sufitu i dywanu na podłodze, chłód ściany na plecach... Dominik powiedział jej tylko, że mieszkanie należy do niego. Popatrzyła pytająco na Arka, Miłka i Grześ również.

– Piórkowska 8, powojenna kamienica, pan Dymśa mieszka pod piętnastką, zajmuje siedemdziesiąt metrów. Jest to jego mieszkanie, własnościowe. Pięć lat temu przeprowadził proces odzyskania praw własności. A prawa miał dokładnie takie, że wykupił roszczenia od powojennych właścicieli. Podobno dawnych przyjaciół rodziny Rachowiczów.

– No, no! – sapnęła Miłka – a nie wyglądał na takiego doświadczonego w nieruchomościach.

– Ale kto prowadził tę sprawę? Czy coś tam nie gra? – zapytała Julia. Też była zdziwiona.

– Nie, chyba nie – Arek podejrzewał, że szefowa nie ucieszy się z tej wiadomości. – Zajmował się tym ten sam zespół adwokacki, który potem odzyskał mieszkanie Elżbiety Rachowicz. Bojczyk i Spółka, już nie istnieją. Wygląda na to, że zakup został przeprowadzony prawnie, mimo wszystko.

Julia poczuła ukłucie pod żebrem. Wyobraziła sobie Dominika jako romantycznego pisarza, niezbyt zorientowanego w meandrach prawa, takiego, któremu ona będzie przewodnikiem po świecie Temidy. Nie dziwiła się, że był zamożny, ostatecznie był wziętym pisarzem anglojęzycznym. Biuro prawne Bojczyka pamiętała, rozwiązali się po aferze z nielegalnym przejęciem.

– Arku, jeśli zgodnie z prawem, to cóż. Nic to nam do sprawy nie wnosi. Grzesiu, sprawdź, proszę, jakiego pan Dymśa ma agenta w Londynie i jak

sprzedają się jego książki, jeśli to możliwe oczywiście.

– Mam swoje sposoby – odparł Grześ.

– A ja poproszę o kawę i przejrzę korespondencję, zanim przyjdą klienci – otwierała kopertę zaadresowaną na jej nazwisko, wyjęła cały plik papierów. – I zanim...– urwała wpatrzona w żółty dokument, starannie ubrany w przezroczystą koszulkę.

– O mój Boże! – jęknęła Julia Minejko, szefowa spółki adwokackiej, bo szybko omiotła wzrokiem datę i treść pożyczkowej umowy z lat czterdziestych. – O Boże. Zdaje się, że nie musimy szukać potomków Szenkela.

Cała trójka podbiegła do niej, a Arek delikatnie ujął papier i przeczytał. Stary dokument z roku 1940 był umową cywilnoprawną, jak najbardziej w mocy, umową między Mojsze Szenkelem a małżeństwem Dymśzów: Janem i Klarą z domu Rachowicz. W myśl tego dokumentu Żyd Szenkel darowuje swoją część kamienicy, kupioną przed kilkunastu laty od Krystyny Rachowicz. Obdarowuje nią Klarę Dymśzę i jej męża. Dar czyni – jak napisano – z wdzięczności za uratowanie życia jego wnuczce Salomei Szenkel. Dokument drugi, to znany im akt chrztu Danuty Dymśzy, rzekomej córki Klary i Jana. Dokument trzeci: akt urodzin Danuty, spreparowany równie sprawnie jak akt chrztu. Dokument czwarty: akt notarialny potwierdzający prawa Dymśzów do nieruchomości Szenkela.

– To dlatego nie przepisano rodziny Szenkela ze starej księgi do nowej tuż po wojnie. Ale kto okazał ratuszowi ten dokument?

– Może to jest wyjaśnienie?

Arek wyciągnął jeszcze jeden papier:

– Akt zgonu: Julian Szenkel, syn Mojsze i Rebeki, zmarł w Tel Awiwie, w roku 1972 – przeczytał.

– Syn Szenkela. Ten, co mieszkał tu z córką, w mieszkaniu Elżbiety.

– Jedyne rozsądne wyjaśnienie jest takie, że pozostał tu z córką jako jej opiekun prawny. Udokumentował jej prawo do zamieszkania. Kamienicę i tak wywłaszczyli. Ale skąd teraz nagle te dokumenty? I tutaj, u nas?

Julia oglądała kopertę. Patrzyła ze smutkiem na akt urodzin dziewczynki o imieniu Danuta Dymśza. To za jej życie dziadek oddał rodzinie Rachowiczów kamienicę. Ojciec, czy to ten, którego stary Szenkel wykupił z obozu? Wychowywał ją jako Polkę, sam pewnie pod przybranym nazwiskiem. Danuta Dymśza. Salcze, Danuta. Z koszulki wysunęło się zdjęcie ciemnowłosej kobiety, uśmiechniętej, ładnej, ale mimo to smutnej. Ogarnęło

Julię to przejmujące uczucie, że ją zna, tak jak te schody, jak pokój i rozmieszczenie mieszkania w kamienicy przy placu Tołłoczki. Podpis na odwrocie zdjęcia: Mojej córce Julii. Córce Julii?

– Jest jeszcze jeden dokument szefowo – szepnął Arek. Z jego tonu zrozumiała, że już go przeczytał. Wzięła do ręki kolejny akt. Tym razem był to akt ślubu: Danuty Dymszy i Kazimierza Minejko. Julia wstała, pobladła, zakręciło się jej w głowie, Arek złapał ją w ramiona, a Miłka pobiegła po wodę.

Grześ natomiast rozumował logicznie i szybko, kiedy koledzy cucili Julię.

– To jasne – powiedział – dokumenty były w ukrytym pokoju w kamienicy. Sprawca wybuchu zabrał sobie kosztowności, ale przeczytał papiery i postanowił oddać tobie Julio. Wiadomo czemu. Sprawa nagle dotyczy cię osobiście...

Julia zrozumiała, że musi jechać do ojca natychmiast. On musi jej powiedzieć wszystko, co wie, wszystko, co pamięta. Poprosiła, by zostawili ją samą z tymi dokumentami i ze zdjęciem. Chwilę siedziała bez ruchu, potem dotknęła opuszkami palców chropowatej faktury fotografii. „Mojej córce Julii”. Otrząsnęła się, sięgnęła po komórkę. Zadzwoiła do Balbiny z prośbą o szybkie spotkanie, jeszcze dziś, siedemnasta, centrum. Do Hani z informacją, że musi wyjechać jutro rano. Do ojca, że przyjeżdża. Do Dominika, że nie może z nim się spotkać, bo musi wyjechać. Potem poprosiła zespół do gabinetu, była już znowu sobą, zrównoważona i mogła racjonalnie działać.

– Musimy zgłosić tę przesyłkę na policję – powiedziała. – Grześ ma chyba rację, pochodzi z sejfu w ukrytym pokoju. Wciąż miała w ręku fotografię, jej ręka lekko drżała.

– Ale tego zdjęcia nie musiało tam być – zasugerował cicho Arek. Popatrzyła na niego z wdzięcznością. Wydała dyspozycje dotyczące bieżącej pracy, po czym włożyła fotografię swojej matki do torebki i poszła przed siebie, chodzić bezładnie po mieście, aż do spotkania z Balbiną. Dziwny facet w kapeluszu, tym razem w pomarańczowych rybaczkach, odnotował jej wyjście i zniknął. Telefon dzwonił w kieszeni, Dominik usiłował dobić się do niej, spytać, co się dzieje, gdzie wyjeżdża. Nie odbierała, nie miała teraz czasu dla nikogo.

Balbina w kawiarni wysłuchiwała jej z uwagą. Przymknęła oczy i powędrowała myślami w głąb siebie, ostatnio stała się fanką medytacji, poszukiwania w podświadomości odpowiedzi na wszelkie pytania. Jej podświadomość była dość kapryśną wieszczką, bo czasem milczała jak grób, czasem zaś – i to trzeba jej przyznać – przysyłała podpowiedzi w formie zaskakujących olśnień lub obrazów. Balbina po prostu otwierała oczy i bęc, światełko w głowie, wiedziała, co robić. Tym razem powróciła z odmętów swojego umysłu zaniepokojona.

– Julio – powiedziała – coś mi mówi, żeby nie ufać temu Dominikowi. Nie podoba mi się.

– A mnie bardzo – westchnęła Julia – z nikim nie było mi tak dobrze. I nie tylko seks mam na myśli.

Nie zauważyła, że sprawiła ból przyjaciółce. Dziwiła się, że Balbina zwróciła uwagę na ten niuans z mieszkaniem Dominika. Samej Julii kwestia odkrycia jej matki i osobistego związku z historią kamienicy były tak istotne i mocne, że zepchnęły w cień kwestię jakiegoś głupiego wykupu roszczeń. Po prostu w ogóle o tym nie myślała, opowiedziała to Balbinie, bo zrelacjonowała cały dzień.

– Nie podoba mi się to – Balbina jednak przyczepiła się do kwestii mieszkań – facet wykupuje roszczenia, odzyskuje mieszkanie, jego kuzynka drugie, teraz walczą o całą kamienicę... Słuchaj, załatwię detektywa, niech go sprawdzi.

Ale Julia wpatrywała się w zdjęcie swojej matki.

– Przynajmniej teraz wiem, jak wygląda. W pewien sposób ją znalazłam. Jakbym plątała się po ulicach nieznannej dzielnicy, i nagle wiem, że to ta ulica, ten chodnik ten dom... Popatrz, czy ja jestem do niej podobna?

Balbi popatrzyła i wypaliła:

– Wiesz co? Nie. Raczej Hanka.

– Właśnie – Julii przypomniała się inna kwestia – Balbina! Ja muszę pojechać jutro do ojca, do Rudy. Wycisnę z niego każdą informację, każde wspomnienie.

– Musisz – przytaknęła Balbina. To rozumiała doskonale.

– Ale jutro jest sobota. Ta młoda wariatka idzie na jakąś domówkę do Przema, chce tam uchodzić za jego partnerkę, zechce tam zostać i chce z nim przeżyć swój pierwszy raz. Co ja mam robić? Akurat w takiej chwili jechać tak daleko? I w ogóle to mi się nie podoba. Wolałabym odwieść ją od tego

pomysłu.

– Jeśli się uparła i chce, to jej nie odwiedzisz – zawyrokowała Balbina. – Ciesz się, że ci o tym powiedziała. To znaczy, że jesteś ważna.

– I wyjeżdżam, taka ważna? A jak coś pójdzie nie tak? A może tam nie będzie warunków i tu, proszę, chata wolna, przyprowadzi go do nas?

– O to się nie martw, wprowadzę się do was na ten weekend. Pod pretekstem naprawy kaloryferów w mojej chałupie. Jest w tym nawet trochę prawdy. Będę blisko niej, jak pojedziesz, chłopca ze sobą do domu nie weźmie.

– Kochana jesteś – Julia ukryła twarz w ręce – ale to jest w ogóle bez sensu. Taki pierwszy raz, potem całe życie będzie nosić w sobie wspomnienie jakiegoś Przema i seksu z czystej ciekawości. Nie chciała mnie słuchać.

– No masz! – Balbina omal się nie roześmiała – kto słucha matki w takich sprawach. A ty, matka, nie dramatyzuj, ona ma już dziewiętnaście lat. Mówisz, że wie, czym to grozi. Mówisz, że jest zdecydowana. Nic nie zrobisz, zakazy nie pomogą, na dziesiątą do domu nie wróci.

– No i ona go nie kocha – westchnęła Julia.

– Skąd wiesz? – Balbina wzruszyła ramionami – zresztą, moim zdaniem pierwszy seks koniecznie z miłości to stary przereklamowany mit. Ty poszłaś z Markiem jak w dym z miłości, i co? Potem kłapa.

Sama Balbina swój pierwszy raz wspominała słabo. Po pierwsze kochała się w sąsiadce z piętra. Nie była jeszcze pewna swoich preferencji, miała piętnaście lat i dopiero potem zrozumiała, że to była jej pierwsza, niespełniona miłość. Pani Ania, egzotyczna krucha brunetka, przy której Bożenka, już wtedy przyciężkawa dziewczynka, wyglądała jak dzbanek na mleko przy smukłym kieliszku. Bardzo się jej podobała, bywało, że czatowała na nią, żeby podglądać przez wizjer, jak pani Ania wraca do siebie, jak otwiera drzwi. Miała ładną figurę, której Bożenka szczerze jej zazdrościła, poruszała się też jakoś tak, ponętnie, chciałoby się jej dotknąć. A kiedy przyśniły się raz Bożence piersi pani Ani, zupełnie nagie i sterczące, duże na tej szczupłej postaci, doznała dziwnego uczucia w ciele, w swoich intymnych miejscach, tak że nie mogła już spać, dopóki nie wypieściła się sama. Potem bardzo źle się czuła ze wspomnieniem tej nocy. Pani Ania wkrótce złamała jej serce, bo związała się z jakimś młodym, wysokim mężczyzną, chodzili objęci po osiedlu, całowali się i Bożenka zniechęciła oboje. Ponieważ nawiedzały ją nocne obrazy pani Ani i innych kobiet, modelek lub aktorek, zaczęła niepokoić się swoją seksualnością, czytać i podpytywać. Nie znalazła

odpowiedzi, bo raz, kiedy wsłuchiwała się w ciało, podejrzenie, że jest lesbijką zamieniało się w pewność, z kolei innym razem spotykała opowieści o fascynacji dziewczynek nauczycielkami, przyjaciółkami matek, koleżankami, co miało być najnormalniejszym etapem rozwoju. Postanowiła sprawdzić się z mężczyzną, a że nie bardzo miała w kim wybierać, zgodziła się na rubaszne zaloty sporo starszego od siebie faceta, który podglądał ją na działce. Zauważyła to, przyglądał się jej, kiedy się opalała, kiedyś otarł się niby przypadkiem o nią przy furtce na działki, innym razem szli chodnikiem w kierunku działek, dopytywał o szkołę, deklarował korepetycje z historii, objął ją w pól, i ręka zjechała mu na jej pupę. Poklepał pośladek niewinnie, na do widzenia, ale Bożenka wiedziała już, o co mu chodzi. Pomyślała, że to całkiem dobry sposób, żeby sprawdzić, jak to jest i zachęciła go. Dała się zaprosić do jego domku na działce, dała się obmacać, i nie przestraszyła się obnażonego fallusa, tylko zamknęła oczy. Facet cały czas trzymał jedną rękę na jej piersi, ścisnął i luzował jak pompkę, drugą manipulował sobie między nogami, szeptał: zobaczysz, zobaczysz, jak to jest, najpierw cię trochę podniecę tym szóstym paluszkiem, a potem... Potem wszedł w nią, przedarł się sztywnym fallusem przez błonę dziewiczą i kołysał się i sapał kilka minut, a na koniec błagał, żeby nikomu o tym nie mówiła. – „Jeśli zachowamy tajemnicę” – mówił – „będziemy mogli uczyć się różnych ciekawych rzeczy”. Bożenka jednak nie chciała się już niczego uczyć. Czuła obrzydzenie do tego faceta i do siebie, wszystko ją bolało, nie czuła najmniejszej ciekawości. Jej pierwszy raz był tak fatalny, że postanowiła nigdy więcej nie dopuścić do seksu z mężczyzną, chętnie wróciła do swoich marzeń o kobietach. Faceta z działki unikała, on zaś kiedy zrozumiał, że nie będzie jej niczego więcej uczył, także zniknął gdzieś, być może bał się, że na niego naskarzy. W każdym razie nie widziała go nigdy potem i nigdy nikomu o tym nie opowiedziała. Kiedy zaczęła studiować, była już dla przyjaciół Balbiną, przeżyła swój prawdziwy pierwszy raz, tym razem taki jak chciała, z kobietą, Ewą, która była bardziej od niej doświadczona i zachwyciła Balbinę. Od tej pory wiedziała, że jest homoseksualna, wspomnienie z Ewą pielęgnowała jako jedno z piękniejszych, ale ta miłość też się nie udała. Zatem z miłości czy bez, pierwszy raz zawsze będzie grą w ruletkę. Tak powiedziała Julii. Uważała, że trzeba zaufać Hance, co wcale nie uspokoiło jej przyjaciółki, obiecała pomoc jako najlepsza chrzestna matka świata i na dodatek odwiozła Julię pod sam dom z zamiarem zakotwiczenia się tam na dwa dni. Pod domem czekała je niespodzianka:

zgrabnie zaparkowany pod bramą samochód Dominika.

– Oho – sapnęła Balbina z niepokojem.

– Mamo, masz gościa – wołała Hanka z głębi domu.

– Musiałem sprawdzić, jak się masz – oznajmił Dominik – ten wybuch...

Pan Arek powiedział mi, że jakaś poczta.

Patrzył na nią naprawdę troskliwie. Julia usiadła przy stole w kuchni. Wyjęła z torebki zdjęcie Danuty, pokazała Hani.

– To twoja babcia, Haniu, moja matka, Danuta Minejko, Dominiku, uważaj: Danuta Dymśa Minejko. A mimo to nie jesteśmy kuzynami, nie ma obaw. Ktoś przysłał nam do kancelarii dokumenty, z których wynika, że Żyd Mojsze Szenkel darował swoją część kamienicy rodzinie Rachowiczów za nazwisko i wyznanie, które dali jego wnuczce. Tak naprawdę Danusia to Salomea Szenkel. Chcę jechać do dziadka Kazia, Haniu, muszę go wypytać. Nie będę mogła żyć, jeśli się nie dowiem więcej. No i moi mili – zerknęła na Dominika – jestem pół-Żydówką.

– To cię czyni jeszcze ciekawszą! – powiedział Dominik. Nie miało to dla niego znaczenia. Hanka wzruszyła ramionami, co innego miała w głowie. Ciotka Balbina mówiła, że ta babka na zdjęciu jest do niej podobna, więc zerknęła, ale była ładna, więc spoko. Julia rozplakała się po całym dniu napięcia, Dominik ją przytulił, a Balbina pomyślała, że wszystkim umknął drobny fakt. Julia w tej sytuacji też ma chyba jakieś prawa do kamienicy...

*

Jechała i jechała. Droga do Rudy ciągnęła się w nieskończoność, wydawało się jej, że wszystko sprzysięgło się przeciw tej podróży. Korki wyjazdowe z miasta, roboty drogowe na trasie szybkiego ruchu, deszcz, słabe wycieraczki, po prostu wszystko opóźniało jazdę, a tak bardzo chciała już tam być i wypytać, jak to było, co ojciec wie, czemu nigdy nic nie powiedział... Dojechała wreszcie do małego miasteczka za Opolem, w którym to jej ojciec, Kazimierz Minejko, wiódł spokojne życie z drugą żoną Janią. Należało mu się po przeżyciach młodości, Jania była miłą kobietą, zrozumiała, że mąż jej musi porozmawiać z dorosłą córką i zostawiła ich samych. Kazimierz na widok fotografii ukrył twarz w dłoniach, Julia zauważyła, że znów posiwiął.

– To moja matka, tak? – zapytała napastliwie. Potwierdził. Ze wzruszeniem

wziął do ręki starą fotografię, przesunął palcem po fakturze.

– Pamiętam to zdjęcie. Danka zrobiła je jakoś niedługo po naszym ślubie, może mieć grubo ponad czterdzieści lat, wiesz? Nie wiedziałem, iż je tak podpisała, że gdzieś zostawiła... No, no, więc zajmujesz się tą starą kamienicą Gosztowica. Nie wiedziałem... Powiedziałbym ci, że tam mieszkaliśmy. Mów dziecko dokładnie, co tam znalezione?

– To ty powiedz, tato, co wiesz. Co w ogóle wiesz, wiedziałeś, nie ma „nie pamiętam”, wszystko o matce. Wiedziałeś, że była Żydówką? Że naprawdę nazywała się inaczej?

– Na początku nie – Kazimierz Minejko cofnął się pamięcią wiele lat wstecz, do lat sześćdziesiątych, do ulic, po których jeździły syrenki i warszawy, szarych dużych kamienic, nowego wtedy Pałacu Kultury. Miasto było już odbudowane, rosły Domy Towarowe „Centrum”, Dworzec Centralny był w budowie. Ale ludzie wciąż opowiadali, że po wojnie wyglądało jak pustynia kamienna, wszystko zburzone, gdzieś tam ocalały budynek.

– I co powiesz? Mówiono, że na odcinku kilkunastu kilometrów wzdłuż obecnej ulicy Wybickiego, w kierunku centrum były same ruiny, a pośród nich tylko ta jedna kamienica! Ocalała, jakby ją okrył ktoś płachtą przed bombardowaniem. I o kłątwie mówili, to było właśnie ciekawe: dom Gosztowica, przeklęty a jedyny się uchował. Zaraz zaczęli ludzie napływać, żeby w nim zamieszkać, dawni i nowi, trzeba było jakoś zacząć życie. Julko, po wojnie ludzie nie chcą wiele: byle budzić się bez strachu, byle nie czuć się jak ścigane zwierzę, każdego dnia, bo łapanka, rewizja... straszne czasy, chociaż ja dzieckiem byłem i jako tako pamiętam dopiero lata pięćdziesiąte. Wtedy jeszcze kamienicy Gosztowica nie znałem, mieszkałem u mamy, ojciec, twój dziadek, jak wiesz, wojny nie przeżył. My urodzeni w wojnę, wychowani w spokoju, jakikolwiek on był, inaczej patrzyliśmy na to wszystko, a jednak, a jednak... I na nas wojna odcisnęła piętno. Maturę zrobiłem w roku sześćdziesiątym, na studia na politechnikę dostałem się jesienią i dopiero zacząłem w mokotowskie strony dojeżdżać. O, to już był porządek, wyrosły nowe gmachy, jakie po wojnie budowano: ciężkie bure budynki. Mamę twoją poznałem, pokochałem, studiowała też na politechnice, co rzadko dziewczętom się zdarza, ale ona bardzo lubiła matematykę i w końcu wybrała architekturę. Ona młoda, ja młody, ona śliczna, zacząłem się zalecać, a miałem konkurencję niemałą. Wtedy dopiero poznałem ten budynek, bo, jak się domyślasz, mama twoja cały czas tam mieszkała. Z ojcem, szczupłym, zdziwaczałym aptekarzem,

panem Mirkiem, jak go zwaliśmy. Dziwny był to człowiek, miewał napady lęku i hysterii, nie wychodził na ulicę, potem dopiero zrozumiałem czemu. Danusia opiekowała się nim, ślub w związku z tym odkładała, ale w końcu zgodziła się, teraz widzę, że i ona dziwna była, jakby dotknięta przez wojnę. W sześćdziesiątym piątym kończyliśmy studia, chciało się do pracy, chciało się rodziny, wzięliśmy ślub. Niby zwykłe życie zaczęło się układać, tylko teść mój popadał w coraz większą chorobę, kłopot był, bo krzyczał nocami, zrywał się ze snu, chciał uciekać. Lekarz mieszkał w kamienicy, trochę pomagał...

– To ty tato mieszkałeś w tej kamienicy tyle lat?

– Trzy. Wprowadziłem się po ślubie, jak wypadało. Danka z ojcem zajmowali dwa pokoje w dużym mieszkaniu, trzeci zajmował lokator, bo bez tego mieliby nadmetraż, ale Danusia powiedziała mi, że jest jeszcze jeden pokój, zamurowany. Wyobraź sobie, przed wojną połowa kamienicy należała do Żyda, który na nią, na Dankę, swoją część przepisał, a syna wyciągnął za wielkie pieniądze z obozu i całą wojnę ukrywali go w tym pokoju. Szafa gdańska, wielka, zakrywała wąskie wejście jak do służbówki, ale człek zamknięty siedział cały czas. Do głowy mi wtedy nie przyszło, że ona mówi o swoim ojcu. Ale bała się, potem wyszło na jaw, iż nie chciała mówić, bo miała fałszywe papiery tak samo jak i on, wcale nie był Mirosławem, a ona sama chyba nie wiedziała już, kim jest, ale żyła pod jego nazwiskiem. Wprawdzie ci Polacy z kamienicy, żeby ją ratować, dali swoje nazwisko, ale wyemigrowali, więc mieszkali od wyzwolenia: ocaleniec z Oświęcimia z córką, pod nazwiskiem Szenkowicz i pod takim ją poznałem. Pokój cichcem odmurowaliśmy, jak tylko lokator się wyniósł. Danka wywalczyła pokój do pracy, jako architekt, więc jak nikt mieliśmy apartament z czterema pokojami. W tajemnicy. Może by się jakoś to jednak ułożyło, ale zaszła w ciążę i wtedy mi oszalała. Strach jej tak zwielokrotniał, że musiałem ją pilnować, żeby sobie czegoś nie zrobiła, taki strach ją ogarnął o dziecko. Zamykała się z ojcem w tym odzyskanym pokoju i trzęsła się ze strachu. Nie chciała wyjść do miasta. W dodatku zamieszki się zaczęły i znowu okropna nagonka na Żydów, akurat kiedy się rodziłaś w sześćdziesiątym ósmym, demonstracje studentów w marcu. Danka była w szpitalu, a mnie do głowy nie przyszło, że nas ten temat w ogóle dotyczy. Ale dopadło. Ktoś doniósł, kto, nie wiem, i Mirosław Szenkowicz, naprawdę Szenkel, zdecydował, jak wielu wtedy, o emigracji. Ona postanowiła jechać z nim.

Zapadła chwila milczenia. Julia czuła ból w gardle i w sercu. Zdecydowała

jechać, a dziecko?

– Uznała, że lepiej ci będzie tutaj niż na tułaczce – powiedział cicho ojciec. Julia czuła, że on kłamie albo nie do końca mówi prawdę.

– Nie chciała mnie – szepnęła z bólem. Nie zaprzeczył. „Wieczna tułaczka, wieczna klęska nad tym narodem” – tak mówiła – „tu ma dom, jest Polką, tu jej będzie lepiej, niech zapomni, że miała matkę”.

– Nie umiałem jej zatrzymać – dodał ze smutkiem – nawet na pociąg nie pozwoliła się odprowadzić. Prosiłem: napisz, jak gdzieś osiadasz, może tu coś się zmieni. Daj znak Danusia, gdzie będziesz, w Izraelu czy w Ameryce. Ale nie. „Nie jestem Danusia, jestem Salcze Szenkel, nic tego nie zmieni. Zapomnij, że istniałam”.

To były jej ostatnie słowa, i nigdy się nie odezwała, tylko przez prawnika rozwód... Nie wiem, czy żyje, pewnie tak, młodsza była ode mnie.

Julia patrzyła zadumana przed siebie. Być może w dalekim Izraelu mieszkała kobieta, która była jej matką, może wyszła za mąż, może gdzieś tam obcym językiem mówią jej przyrodni bracia i siostry. Może.

– Nie miałeś nigdy do niej żalu? – zapytała ojca.

– Oho! Żalu to mało. Długo nie mogłem jej wybaczyć, to chciałem szukać i odwołać się do sumienia, to nienawidziłem. A potem mi to zobojętniało. Zwyczajnie. Nie myślałem, że kiedykolwiek trafisz na ten ślad.

– A wiesz tato, że za tę metrykę i chrzest, za jej życie stary Szenkel oddał rodzinie Rachowiczów swoją część kamienicy? Przepisał ją na rzecz Klary Dymczy z domu Rachowicz.

– Tak? A to nie dziwne wcale, czym jest kamienica wobec życia człowieka? I tak po wojnie zabrali tę kamienicę właścicielom.

– Ale teraz zwracają. I właśnie pani Ela Rachowicz i jej kuzyn Dymcza chcą ją odzyskać. A ja ich reprezentuję.

– Dymcza mówisz? Mało rozmawiamy, Julko, bo gdybym wiedział, że masz sprawę jakichś Dymczów, tobym ci powiedział. Danka powiedziała mi potem, że jest Żydówką i pod nazwiskiem Dymcza miała metrykę, ale ojciec po wojnie dał jej znów swoje, spolszczone. Dlatego panięskie nazwisko matki masz we wszystkich dokumentach, Szenkowicz. Zobacz, zachował element prawdy po Szenkelach. Ale widzisz Julko, w tej kamienicy spędziłaś pierwsze tygodnie życia. Mieliśmy nawet kota. Danka nosiła cię po mieszkaniu nocami, płakałaś, nie miała pokarmu dla ciebie.

„Jeszcze i to” – myślała Julia – „pokarmu też nie miała, serca ani czasu dla

mnie”.

– Masz, tato, jakieś pamiątki po matce?

– Nic – jakiś głuchy ton zabrzmiał w jego głosie – nic. Zabrała wszystko, książki, kilka zdjęć, co myśmy zresztą mieli... obrączkę mi tylko oddała, ale sprzedałem. Kot przeniósł się z nami do babci. Danuta wyjechała.

– A jakbyś ją teraz spotkał? – zapytała Julia, zastanawiając się, co sama by zrobiła.

– Nie wiem – odpowiedział jej ojciec Kazimierz Minejko, który wolałby już wrócić do teraźniejszości – chyba nic. Byłaby dziś dla mnie zupełnie obcą kobietą.

*

Julia wróciła do domu dopiero późnym wieczorem, w niedzielę. Nie spieszyła się, tym razem jechała powoli, rozmyślając o dziwnych zakrętach losu, niespodziankach i zbiegach okoliczności. Ojciec nie wiedział, że przed wyjazdem Szenkowicz zamurował z powrotem ten pokój. Po co? Co w nim ukryli prócz dokumentów? Czemu akurat tam schowała zdjęcie, czy sądziła, że ktoś jednak rozwali tę ścianę? Co za przypadek. A może wcale nie przypadek?

„Julio, Julio” – szepnęła do siebie – „musisz pogodzić się z tym, że nie masz matki i nigdy nie miałaś. Masz córkę, ojca, masz Dominika, więc nie biadol, przypomnij sobie lepiej, iż sama jesteś matką”. Uświadomiła sobie, że być może Hanka przeżywa właśnie sukces lub porażkę swojego pierwszego seksu i dopiero wówczas przycisnęła pedał gazu. Hania i Balbina czekały na nią zniecierpliwione i bardzo ciekawe.

*

Po minach obu kobiet, i Julki, i Balbiny, domyśliła się, że tu nie nastąpiły żadne przełomowe zdarzenia. Hania rzuciła się matce na szyję z okrzykami godnymi dzikiego Indianina, Balbina miała w oczach same znaki zapytania, nawet kocur Ikar ruszył się z ciepłej poduchy i patrzył pytająco.

– Zaraz opowiem, zaraz opowiem – obiecywała, wyjmując dary ze spiżarni Jani, słoiki i suszonki, jak każdy przybysz od rodziny z prowincji. – Ale najpierw wy. Co się tu działo, jak mnie nie było?

– Nic takiego – Hanka wzruszyła ramionami – faceci to dranie. Nie martw się, mamik, nic się zdarzyło, mam tylko złamane serce, ale błona dziewicza cała.

– Złamane serce? – niemal krzyknęła Julka, ale Balbina dała jej znak, że nie ma tragedii, i właściwie stało się najlepiej, jak mogło się stać w tej sytuacji. Julia chętnie dowiedziałyby się czegoś więcej na temat sobotniej nocy i połamanych serc, ale widząc, że w Hance więcej wre ciekawości niż goryczy, odłożyła pytania, poprosiła o herbatę do ciasta – także od Jani – i w ciszy jesiennego wieczoru, przed kominkiem opowiedziała im wszystko, co usłyszała sama, ze szczegółami. Hanka słuchała z płonącym wzrokiem, szczególnie o tym zamknięciu w klaustrofobicznej klitce, po czym pobiegła porównywać swoje odbicie w lustrze z babką na fotografii.

– Jest, jest podobieństwo – pokrzykiwała z korytarza – ale jaja, zaginiona babcia Salomea!

– To czadowa historia – dodała, zaglądając przez drzwi – będę przez to dużo bardziej interesującą osobą, a co! Ale – dodała ze smutkiem – nie pomoże mi to w temacie studniówki. Przemo okazał się parszywym wieprzem i znowu nie mam z kim iść. A w dodatku muszę iść się uczyć. Adios, meine Damen.

– Rozumiem, że na linii Hanka-Przemo nie nastąpiło zbliżenie, lecz oddalenie? – zapytała Julka, zła, że Balbina znowu wiedziała o Hani więcej niż ona, prawowita matka. Tak się złożyło teraz, z tym wyjazdem, ale jakoś ciągle się tak składało.

Balbina machnęła ręką uspokajająco.

– Burza w szklance wody. Przemo wystawił Hanię do wiatru, na tej całej imprezie witał gości ze swoją dziewczyną u boku, Oliwką czy jakoś tak. Powiedział Hance, że wróciła i akurat się pogodzili. Hania chyba nawet nie bolała zbytnio...

– Jak to nie? – wrzasnęła zza drzwi swojego pokoju Hanka, która w takich przypadkach miała słuch jak ryś. – Znajdujesz moje upokorzenie?

– Znajduję – odkrzyknęła matka, która znalazła też w sobie strzępki poczucia humoru – a nie mów, że nie zaznałaś ulgi! To nie miał być Przemo.

Balbina dusiła się ze śmiechu, za ścianą zapanowała obrażona cisza.

– Mam nadzieję, że gdy Hanna ujrzała rywalkę, noga jej nie powstała tam ani chwili dłużej?

– Nie powstała – odrzekła Balbina – Hania jak anioł gniewu wróciła

wcześniutko, opowiedziała mi wszystko i po raz dziesiąty oglądałyśmy „Odrobinę nieba” i płakałyśmy rzewnie. I tylko dlatego możemy mieć spuchnięte oczy od łez...

– Nie cierpi wcale?

– Cierpię, cierpię – odezwał się głos w drzwiach – czemu mniemasz, że nie cierpię?

– Bo wcale nie chciałaś tego, Haniu. Jeszcze nie czas.

– No, dobrze – Hanka westchnęła dramatycznie, machając lekturą obowiązkową, napisaną w XIX wieku, która wyraźnie wpływała na styl jej mowy – ale czy to oznacza, że już na zawsze pozostanę dziewicą?

– Obiecuję ci, że nie – krzyknęła Balbina – idźże się uczyć nareszcie. My chcemy pogadać.

– Obiekcji sobie nie czyńcie – wzruszyła ramionami Hanka – strasznie nudna ta lektura.

– Życie jest ciekawsze, ale... – pomyślały obie matki, chrzestna i zwykła.

– Balbi – zapytała Julia – gnębi mnie to *déjà vu* w domu Gosztowica. Przecież miałam pół roku, jak ojciec mnie stamtąd zabrał i nigdy potem tam nie byłam.

– Niewiele wiemy o ludzkiej pamięci. Może pół roku to dużo dla podświadomości?

Dreszcz przeszedł przez plecy Julii, a Balbina wyjąkała wreszcie swoje wątpliwości:

– Julka – powiedziała – czy ty myślałaś, jaki to wszystko ma wpływ na ich prawo do własności domu Gosztowica? Eli Rachowicz i Dominika? Przecież wychodzi na to, że jesteś prawnuczką starego Szenkela!

Julia westchnęła. Tak, myślała, oczywiście, że myślała. Ktoś, kto przysłał jej te papiery, też o tym pomyślał, niewątpliwie. Według dokumentu, w którym Mojsze Szenkel darowuje dom Klarze Dymiszowej, nie trzeba było już szukać jego potomków, bo jak oddał, to oddał. Ale z drugiej strony Danuta, czyli jej matka mieszkała tu ze swoim prawdziwym ojcem, synem Szenkela, a dziadkiem Julii. Jeśli by dowieść ich praw...

– Tak, ale sama nie wiem. Trzeba by zgłosić ów dokument, sprawdzać ważność tego testamentu. A może wcale nie warto było szukać spadkobiercy? Bo jeśli istnieje...

– Aha, to może oznaczać komplikacje – przytaknęła Balbina – Dominik się wścieknie. Nie ufam mu za grosz Julio, za grosz.

– A jednak muszę mu powiedzieć, Balbi...

*

Dominik słuchał z zaciekawieniem, co raz powtarzał: no coś takiego, well, no, no, w końcu z przebiegłą miną oznajmił:

– Mam rozwiązanie doskonałe Julio Minejko, córko Danuty czy też Salomei Szenkel.

– Tak?

– Wyjdź za mnie. Wtedy nieważne kto dziedziczy, kamienica i tak będzie nasza.

– Chcesz mnie poślubić dla starej chałupy? – zaśmiała się, ale było jej przyjemnie.

– Poślubić młodą piękną babkę dla starej brzydkiej chałupy. Well. Kto by nie chciał? Czy mam to zrobić oficjalnie?

Rozmawiali u niego w domu, Dominik znikł na chwilę w pokoju obok, po powrocie ukląkł na kolano i przemówił:

– Nie jestem przygotowany, myśl spadła na mnie zbyt nagle. Nie kupiłem pierścionka ani kwiatów... Ale moja paproć może służyć za świadka, a ten oto stary pierścionek z czerwonym oczkiem jest złoty. Może będzie pasował.

Pasował. Połyskiwał na dłoni Julii, jakby był tam od zawsze.

– Już ci go nie oddam – zaśmiała się, chowając rękę za plecy.

– Uznaję to za „tak” – powiedział Dominik i z zapalem zabrał się do całowania narzeczonej.

*

Śledztwo w sprawie wybuchu utknęło w martwym punkcie. Dokumenty przysłane przez tajemniczego sojusznika wróciły do kancelarii Minejko i S-ka, poddano je ekspertyzie, wszyscy czytali je dziesiątki razy. Ekipa Julii zaangażowana w wiele wątków, naradzała się, jak postąpić. Według Arka można było dochodzić praw samej Julii do dziedziczenia.

– Nie wiem, czy nie powinnam zrzec się prowadzenia tej sprawy – rozważała Julia.

– Jeśli chcesz walczyć o swój udział w łupie, to tak, zrzekłbym się – odparł

Arek – no bo wiesz, jeśli jest się stroną... Trudne, możliwe, znam taki precedens, ale trudne.

– Słuchajcie – szczerze powiedziała Julia – ja nie wiem, czy chcę. Ustalmy fakty: Kupił kamienicę Alojzy Gromadzki. Córka jego, Krystyna, połowę odsprzedała Szenkelom, bo potrzebowała forsy. Młody Szenkel stał się starym Szenkelem, pierdyknęła wojna i Holocaust, stary oddał kamienicę za życie wnuczki. Dziewczyna przeżyła, kamienica wróciła do Rachowiczów. Tak wpisano w księgi po wojnie. Możemy mieć czystą sprawę, bez poszukiwania kręgu spadkobierców.

– Tak, ale w tym wariantcie tracisz prawa do nieruchomości, a są podstawy...

– Oddał ją za życie mojej matki i ona przeżyła. – szepnęła Julia. – Strony dopełniły umowy.

– Szefowo – Grześ wtrącił się, bo czuł, że musi – mówimy o niemałym majątku. Jak sprzedadzą... toż to miliony.

– A do tego, będę okrutna – dodała Miłka – mama nie okazała się najczulszą opiekunką.

Julia przełknęła przytyk, chociaż zakłuł mocno.

– Czy wy mi aby dobrze życzyście? – zaśmiała się – przecież to kamienica z klątwą. Klątwa trafia kobiety właścicielki, więc, jeśli się uprę i dostanę część domu, to i część klątwy

– Ja tego słuchać nie mogę – ręce ku rudej czuprynie uniósł Arek realista.

– A co powiesz na to – szepnęła Julia – że ja tam się dziwnie czuję? Od pierwszej wizyty. Jak bym znała przestrzeń, jakbym tam była. Okazało się, że byłam, nie w poprzednim wcieleniu, ale jako niemowlę, no i w brzuchu matki.

– Pamięć genetyczna – krzyknęła Miłka! – Boże kochany, tyle razy mówię. Czytałam o tym nieraz. Co powiecie na to: babcia znajomej chorobliwie bała się wystrzałów. Gorzej niż psy na Sylwestra, susia jak słyszy, poważnie. Poddała się psychoanalizie, terapii i tak dalej: I co? Jej matka nosiła ją w ciąży w wojnę. Tak się wystraszyła raz bombardowania, że zaczęła rodzić. I, proszę, jakie konsekwencje.

– To znaczy, że co?

– To znaczy – dedukowała Miłka – że tak silne emocje towarzyszyły twojej matce w ciąży i potem, że przeniknęły cię całkowicie. Nosiła cię, musiała podejmować takie decyzje! O rety, aż mam dreszcze. Ale i ty Julio musisz być wrażliwa, może nawet jesteś medium!

Julia nie chciała tego dochodzić. Musiała przyznać, że było to jakieś wyjaśnienie dziwnego *déjà vu*, dławienia w gardle, uczucia duszności na widok pokoiku bez okna. Sięgnęła ręką do szyi, błysnął jej nowy pierścionek z okazałym, czerwonym jak wino kamieniem.

– O! – zainteresował się Grześ – O! Bardzo dobry wybór – podszedł bliżej, wpatrzył się w dłoń Julii jak sroka w gnat. – Rety. Prawdziwy rubin, piękny okaz. Zdejmij.

Niechętnie podała mu klejnot. Grześ oglądał wnikliwie, zawsze miał w kieszeni lupkę jubilerską. Oddał po chwili pierścionek, mówiąc z uznaniem:

– Piękny. Złoto wysokiej próby, rubin czysty, a po bokach małe diamenty. Stara robota, datowałbym na XIX wiek. I pasuje do ciebie, dużo lepiej rubin niż bursztyny.

Julia zaśmiała się, włożyła pierścionek. Bardzo się jej podobał. Przypomniała sobie wzruszony wzrok Dominika, gdy wkładał go jej na palec.

– Wiecie co? – powiedziała – odstępuję od swoich praw. Czort bierz miliony na wierzbie. Składamy dokumenty. Kamienica należy do Elżbiety Rachowicz i Dominka Dymy. Niech to się stanie prawnie.

V Mamy na to całe życie

– A zatem, szanowni panowie, od dnia dzisiejszego kamienica należy prawnie do pana Alojzego Gromadzkiego, przedsiębiorcy i właściciela ziemskiego, w wyniku transakcji z 12 września roku 1897. Potwierdzam mocą urzędu notarialnego, iż imię Alojzy Gromadzki, urodzony w roku 1857 w Łodzi, kamienicę oną nabył od imię pana Karola Wierzbickiego właściciela, który to, urodzony 1860, własność sprzedał. Płatność w trzech ratach szanowny Gromadzki przekaże na wskazane w niniejszym dokumencie konto szwajcarskiego banku szanownego pana Karola Wierzbickiego, przy czym równowartość jednej raty stanowi auto marki Peugeot przekazane we własność szanownemu panu Wierzbickiemu osobnym aktem. Nadmieniam przy tym i potwierdzam, iż wielmożny pan Karol Wierzbicki działa także jako plenipotent swojej żony Klementyny primo voto Groterowej, która prawo do połowy gmachu odziedziczyła po mężu Maurycym. Gratuluję obu panom udanej transakcji.

Notariusz, starszy, schorowany i posiwiaty człowiek poprawił okulary, podał klientom umowy do podpisu. Gratulował, ścisnął dłonie, wpisywał

w tabelki cyfry, od których mogło zakręcić się w notariuszowej głowie, a sam wracał do klitki przy Krakowskim Przedmieściu, do żony z wiecznymi pretensjami... ale też jego Adela nie chciałaby mieszkać w kamienicy, którą podobno przeklęła ta piękna wdowa po Groterze. Chciałaby mieć tyle funduszy na wydatki co ona, to co innego, tylko jej wstążki do kapeluszy i powozy w głowie. A on chciałby, żeby w czwartej części była tak ładna jak wdówka.

– A niech was, a niech... – mruknął w duchu, patrząc raz jeszcze na zawrotną sumę sprzedaży. Jego prawnicze honorarium przy tej kwocie wyglądało bardzo mizernie.

Karol z uśmiechem podszedł do Alojzego. Znali się dobrze, bo Gromadzki był szanowaną i przyjmowaną na salonach osobą, a i w kasynach bywał, gdzie parę lat wstecz z Karolem spotkać się było łatwo. Udowodnił swoje szlacheckie pochodzenie, odłam ubogi, ale o majątek postarał się sam i doszedł do wielkiej fortuny. Już go teraz zwali w Warszawie przedsiębiorcą, nie kupcem. Już przewodził w spółkach i pożyczał hrabiom pieniądze. Zadowolony był z życia, energiczny, wesoly i jednego mu brakowało: pewnego szczęścia dla ukochanej córki Krystyny. Po to kupował gmach, po to kręcił się na salonach, aby dobrze ją za mąż wydać. Dwie miał tylko miłości Alojzy teraz, gdy już stał się czterdziestoletnim bogatym mężczyzną: automobile, które wkrótce zawojują świat, czego był pewien, i Krysię. Kiedyś kochał też żonę, Helenę, ale Hela, wesola i niebrzydka panna, rada, że dobrze idzie za mąż, pasująca do swojego przedsiębiorczego męża, zmieniła się z czasem niepomniernie. Wszystkiemu winne liczne poronienia, jakich doznała, czterech chłopaczków i dwie córki straciła, jedyną Krystynę, pierwszą, udało się wychować. Może dlatego tak ją oboje kochali? Może dlatego Helena stała się smutna i zgryźliwa, podejrzewała go o zdrady, tak mu dopiekła, że bał się i jej, i instytucji małżeństwa. A tu proszę, byli śmiałkowie na tym świecie, bo oto w dwa lata po śmierci Maurycego Karol Wierzbicki oświadczył się Klementynie Groterowej i został przyjęty. Ślub wzięli wprawdzie jeszcze po roku, wyjechali w podróż i zamieszkali za granicą, ale kupca na gmach udało się Karolowi znaleźć dopiero po kilku latach. Toteż przyjechał właśnie dopełnić formalności.

– Gratuluję ci drogi Karolu ożenku, obyście byli szczęśliwi z piękną panią Klementyną! – powiedział szczerze, a Karol skłonił się z wdzięcznością.

– Ja ci zakupu gratuluję, chociaż pozbyć się musiałeś tej ślicznej

limuzyny – zaśmiał się Karol – będę dbał o nią jak o rasową klacz. A powiedz mi jedno, zmienisz imię willi?

Od kilku lat na frontowej ścianie kamienicy, pod gzymsem, widniało imię wyryte jeszcze przed nieszczęściem: Willa Klementyna i data 1888, jako rok ukończenia budowy. Alojzy nie zamierzał tego zmieniać. Koszt niepotrzebny.

– Lubię imię Klementyna – uśmiechnął się – może jeszcze Bóg da mi córkę, a jak nie, wnuczka kiedyś może przybędzie, to tak dam na imię. A tobie miło będzie popatrzeć, jak przyjedziesz do nas.

Karol zamyślił się, cofnął się pamięcią tych kilka lat wstecz, kiedy zdecydowali o przyszłym wspólnym życiu. Bez trudu namówił Klementynę na wyjazd, chciała wszystko stare zamknąć, rozpocząć nowe, chciała dzieci wychowywać za granicą i nigdy tu nie wracać.

– Tylko jeden jego grób mnie tu będzie wołał – powiedziała w przeddzień ślubu, gdy omawiali przyszłość w salonie przy kominku. Zabolalo to Karola, chociaż wiedział przecież, że Klementyna nie zapomni tak całkiem pierwszego męża. Mimo że dobrze im było, nie tylko cielesnie pasowali do siebie i potrafili dać sobie miłość, ich charaktery zgadzały się i uzupełniały. Sam Karol lubił Warszawę, może by i wrócił, nie tylko do grobu Maurycego. Zazdrosny był, chociaż w ogólnym rozrachunku to on wygrywał, żył, miał ją... spotykali się potajemnie, ale za chwilę jako mąż będzie z nią każdej nocy. Nie należało skąpić zmarłemu przyjacielowi pozycji mitu. Powrócił do teraźniejszości, uściśnął dłoń Gromadzkiego:

– Nie wiem, czy kiedykolwiek wrócę – powiedział – mój poczciwy Alojzy, ja już się wybawiłem, chłopcem byłem długo, teraz mam na głowie rodzinę.

Alojzy pomyślał, że nie swoją, ale Maurycego. Nie dziwił się, w zwyczaju było, że wspólnik albo brat żenił się z wdową po wspólniku czy bracie. A tu obowiązek szedł w parze z urodą kobiety i majątkiem, nawet dzieciak Maurycego nosił imię Karola. Ha! Zgarnął całą pulę, w pokerze też tak robił. Zastanowił się przez chwilę Alojzy, czy nie zapłacze kiedyś gorzko Karol, bo nie było to sprawiedliwe wobec zacnego Morisa, który ziemię gryzł... Może i dlatego uciekli z panią Klementyną w obce rejony. Skłonił się raz jeszcze, dopełnili transakcji. Karol, wracając, wspomniawszy swój ślub w kościele świętej Anny i zdarzenia tamtego czasu. W podróży poślubnej chcieli obejrzeć Europę i wybrać miejsce na mieszkanie za granicą. Zanim jednak osiądą we Włoszech albo w Niemczech, myślał, zanim namówi Klementynę na jeszcze jedno dziecko, z jego krwi teraz, chciał jej pokazać

Wenecję i gondole, hotele w Aōście, alpejskie uzdrowiska i Paryż, i Rzym, bał się o swoje szczęście.

Klementyna w przeddzień wyjazdu pojechała powozem na Powązki, na grób pierwszego męża. Sama, bez syna, bez narzeczonego, bez kwiatów. Stała w milczeniu, patrząc na medalion, z którego patrzył na świat Maurycy, z podkreślonym wąsem, powagą w oczach. Tego mogła być pewna, że życzyłby jej szczęścia, nie chciałby, by tkwiła we wdowieństwie. Przyłożyła palce do ust, a potem do fotografii. Odwróciła się, prosta, o figurze jak litera S, w kapeluszu z piórem znikala, a furtkę cmentarną zamknęła tak, jakby zamykała rozdział w życiu.

Słonecznego kwietniowego dnia roku 1891, przy licznie zgromadzonych gościach, rodzinie, kwiatach, i przed księdzem powiedziała zdenerwowanemu Karolowi: „tak”. Prezentowała się pięknie, chociaż jako wdowa nie nałożyła bieli i welonu, lecz suknię lawendową i kapelusz z woalką. Napotkała życzliwe oczy matki i siostry, zazdrosne kilku przyjaciółek, zachwycone Anusi, opiekunki Karolka. Teraz już jawnie drugi mąż pocałował ją przy wszystkich, jawnie podał jej ramię jak kobiecie, którą kocha i chce się opiekować. Zwykle w czasie podróży poślubnej szykowano młodej parze nowe domostwo, ale Wierzbiccy nie wiedzieli jeszcze, gdzie będzie ich dom. Kiedy mówiła Karolowi, że chce zostawić wszystko i tam gdzieś, daleko żyć tylko z nim, mówiła szczerze. Tęskniła za swobodą, sądziła, że i on potrzebuje zrzucić z siebie pamięć o przeszłości. Zaledwie kilka razy kochali się od tego pierwszego zespolenia w salonie, bo nie było jej łatwo wyjechać gdzieś bez przyzwoitki lub zbyt długo przebywać z mężczyzną samotnie. Udało się raz zwieść służbę i w zamkniętej łaźni Karol asystował jej przy kąpieli, ale zdenerwowani byli oboje, Karol poślizgnął się na rozlanej wodzie, Klementyna nie mogła zdusić śmiechu i więcej było wycierania wody niż miłości. Udało się drugi raz w jej garderobie, gdzie wkradł się i pochwycił ją na ręce, trzymał opartą o ścianę i kochali się pospiesznie wśród sukien i gorsetów. Podobało się jej, że był taki silny, iż dał radę utrzymać ją na rękach cały czas, dobrze, że Bóg obdarzył ją raczej szczupłą sylwetką. „Takiej grubej Zuli Adamczykowej nie uniósłby nawet” – pomyślała złośliwie. Podobało się jej też, że Karol, jak się okazało, znał wiele sposobów w sztuce kochania i, wprawdzie nieśmiało, ale po trochu wciągał ją w ów ciekawy świat. Przychylna mu zatem pozwoliła jeszcze, by drugim razem w tej samej garderobie odwrócił ją tyłem do siebie,

ręce położył na piersiach, przytulił się cały do jej pleców, i tak, jakby w dziwnym tańcu wniknął w nią od tyłu. Szybko doznała rozkoszy. Ciekawość, czego jeszcze nauczy ją nowy mąż, silniejsza była niż ciekawość, gdzie sam się tego nauczył. Ale gdy chciał wkraść się potajemnie do sypialni, którą dzieliła jeszcze z Maurycem, nie zgodziła się, a on pierwszy raz poczuł ukłucie zazdrości wobec cienia. Noc poślubną mieli spędzić w hotelu, który wynajął Karol. Nie wiedziała, że po pierwszym ich zbliżeniu Karol szczęśliwy, lecz przestraszony, udał się do zaufanego lekarza, by sprawdzić, czy na pewno jest zdrow, czy kawalerska swoboda nie pozostawiła mu jakiejś brzydkiej pamiątki, mimo że pilnował się w doborze płatnych kochanek. Grozą ogarniała go myśl, że mógłby zarazić Klementynę. Doktor orzekł, że wszystko jest w porządku i Karol doznał wielkiej ulgi, ale zadał mu drugie pytanie. Stary doktor namyślał się chwilę. Oto rosły mężczyzna, pewien siebie, młody i zdrowy, pyta go, dlaczego przy pannach od Frani nigdy nie zdarzyła mu się męska niemoc, zawahanie nawet, chociaż czasami i kilka nocy ucztował, i z niejedną. Tymczasem wobec przyszłej żony, którą kocha od lat, bywa niepewny, i dłużej to trwa, zanim gotów jest do miłości.

Doktor uśmiechnął się na koniec swoich rozważań, poklepał pacjenta po plecach i rzekł prosto:

– Bo tę kobietę naprawdę kochasz Karolu. Wszystko przyjdzie, gdy upewnisz się, iż ona twoja i że tylko ciebie chce.

Chciała. Dowodem była noc poślubna, w której pokazało się, że doktor miał rację. Pierwszy raz bez strachu, bez tajemnicy, sami, swobodni, zostali w hotelowej sypialni. I właśnie teraz Karol znów poczuł silne zdenerwowanie i niemoc. Klementyna rozebrała się, stanęła naga przed lustrem. Była zgrabna, piękna, macierzyństwo powiększyło jej piersi, biodra miała kobiece, łono z bujnym trójkątem włosów. Karol patrzył na nią, ale zamiast pożądania ogarnął go jakiś lęk, że nie sprosta jej potrzebom w miłości i w życiu. Przestraszony sięgnął ręką pod szlafrok i ucisnął się dyskretnie kilka razy. Nic się nie działo. Wtedy jednak Klementyna usiadła naga na krześle przed lustrem i zawołała go. Podeszedł, klęknął przed nią wciąż zmieszany, wciąż w szlafroku. Jego żona położyła mu na ramionach dłonie i delikatnie, lecz śmiało rozsunała kolana. Powiedziała pewnym głosem:

– Chcę ciebie, Karolu. Całego i w każdym miłosnym sposobie. Czy pokażesz mi, jak to robią we Francji?

Słowa wystarczyły, by poczuł swobodę, energię i pożądanie. Nauczanie chciał rozpocząć od skupienia się na niej, a gdy tylko schylił głowę ku jej udom i poczuł jej przyzwolenie, sam dał się porwać zmysłom. Być może dlatego lekcja skończyła się zbyt szybko i gwałtownie, lecz Klementyna śmiała się zadowolona i zaczęła wędrować ustami w rejony męskiego ciała, dotąd jej ustom nieznane.

– Mamy całą noc – mruzczała – mamy całe życie...

Nazajutrz wyruszyli sprawdzać sposoby miłosne w różnych częściach Europy, badali oto, jak najlepiej kochać się w Wenecji, jak na gorącym południu Francji, a co czego inspiruje Grecja. Kiedy wracali, Karol był szczęśliwy i usatysfakcjonowany podwójnie: Klementyna była brzemienna i wciąż go pragnęła, a stan niemocy męskiej nigdy się nie powtórzył. Na mieszkanie wybrała Niemcy.

*

– Oho ho, ho! – gwizdnęła Balbina – czyżby nasz Dominik miał jakieś kłopoty z męską mocą i niemocą?

Kilka dni po powrocie Julii, po licznych telefonach od ojca, po decyzji o zrzeczeniu się praw do kamienicy, po kryzysie zbuntowanej wobec programu szkolnego Hanki maturzystki, a przed rozprawą w sądzie Balbina przybyła do domku Julii i znów zabrały się za czytanie powieści.

– Głupiaś – skwitowała Julia. – Dominik jest kapitalnym kochankiem.

– No nie, ale jeśli mówisz, że on tak lubi w książkę wkładać to, co dzieje się w życiu. Opowiedz mi – prosiła. Sama czuła lekkie podniecenie i przysunęła się do Julii – opowiedz, czył cię już francuskiego?

– Głupiaś – powtórzyła Julia. – Nie będę o tym opowiadać. Uważam, że to obrzydliwe. To, co między dwojgiem ludzi, niech między nimi zostanie.

Niemniej zarumieniła się, bo na ostatniej randce faktycznie Dominik zachował się podobnie jak jego bohater: z pewną nieśmiałością całował wnętrza ud, szedł wyżej, powoli, jakby pytając o zgodę, a że ją uzyskał, rozsunął jej nogi i pieścił ją w ten sposób. Nigdy wcześniej... „Na swój sposób straciłam z tobą dziewictwo” zażartowała. Nie chciała jednak o tym mówić.

– Najlepszej przyjaciółce? – pisała prosząco Balbina. Wyobraźnia jej

pracowała, ręka sama wędrowała ku Julii.

– Nie, nie. Mogę ci tylko powiedzieć, że nie ma żadnych męskich kłopotów.

– Widocznie nie kocha cię naprawdę – zjadliwie rzuciła Balbina. Odsunęła rękę. – Ten doktor mówił...

– Oj, Balbo jedna – westchnęła Julia – szkoda, że go nie lubisz.

– Nie kochana, ja tylko mu nie ufam. Ty też mu nie ufaj!

Julia wzruszyła ramionami. Pierwszy raz w życiu czuła się świetnie i dobrze bawiła się z mężczyzną. Twierdził, że ją kocha. Patrzył na nią, jakby ją kochał. Oświadczył się jej, mimo że sprawa praw do kamienicy dobiegała do szczęśliwego końca, nie zmieniał zdania, traktował ją jak narzeczoną, nie wyjeżdżał, chociaż podobno już dawno powinien, do seksu podchodził z pasją i z humorem. Śmiał się z niej po tej pierwszej próbie, śmiał się szczerze, że tak szybko doznała orgazmu. Na jego doznania nie było już czasu.

– Ledwie cię dotknąłem czubkiem języka – dokuczał jej, ale był w tym flirt i prowokacja. – A ty paf, paf, ojej!

Tak rzeczywiście było, więc starała się wynagrodzić mu to, odwdzińczyć podobną pieszczotą.

– Wytrzymałem dłużej – triumfował, ale potem całował ją i przytulał. Dlaczego u licha miała przestać mu ufać? Dlaczego nie miała pozwolić sobie na całe życie takie właśnie? Po ponurym małżeństwie, pikantny seks z humorem i satysfakcją, to było coś, czego naprawdę potrzebowała.

Balbina nakładała płaszcz, machała jej ręką na pożegnanie. Domyślała się biegu myśli Julii. Wiedziała, że sama jest zazdrosna i dlatego jej dokucza, ale też rzeczywiście nie ufała Dominikowi Dymyzy. Jej nie mógł zauroczyć, być może właśnie dlatego, że nie działał na nią jako mężczyzna, widziała wszystko wyraźniej. Po prostu był zbyt doskonały. Idealni kochankowie nie istnieją, obojętne faceci czy kobiety. Sama umawiała się właśnie z zabawną nauczycielką jogi, eteryczną lesbijką o dużych ustach i wąskich biodrach, dobrym materiałem na ideał. Lekcje jogi we dwie mogły mieć bardzo przyjemny finał. I tyle. Jej marzeniem, jej ideałem była Julia. Posłała jej uśmiech, całusa i pocieszające zdanie:

– Nie przejmuj się moim gadaniem, to tylko przewrażliwienie prezeski, co pracuje z setką wyścigowych szczurów. Pa.

Za późno, Julia już nie potrafiła się nie przejmować. Mały robaczek wątpliwości wysłany z ust Balbiny zadziałał. Kolejne krople trucizny zaczęły wnikać do jej głowy. To, że Dominik wykupywał roszczenia do mieszkań,

puściła jakoś mimo uszu. O własnym, w którym spotykali się tak przyjemnie odcięci od świata, powiedział jej, że to była znakomita okazja. O swoich książkach bardzo mało mówił. A Grześ w końcu sprawdził pisarskie dokonania Dominika Dymy i przyniósł wieści co najmniej niepokojące. Rozmawiali o tym rano w kancelarii, nie wspomniała Balbinie, ale teraz zaczęła to analizować.

– Szefowo, to dziwna sprawa, ale w brytyjskich spisach autorów nie ma takiego pisarza... W polskich też nie. Na mediach społecznościowych nie ma naszego klienta, nie miałby strony, fejsa, żeby promować książki? Przy nazwisku faktycznie wyskakuje pisarz, ale tylko jedna pozycja, nie do uwierzenia: kulinarna.

Julia ruszyła do komputera i sama przeszukała Internet. Poszukiwania sprawiły jej przykrość, nie dlatego, iż niewiele znalazła, ale, że w ogóle to robi. Sprawdzanie kochanka nie było godne dobrego związku. Ostatecznie to, co powiedział o wykupie roszczeń do mieszkania przy Piórkowskiej, potwierdziło się. Ostatecznie jedną książkę napisał, drugą sama właśnie czytała, więc był jakoś pisarzem, nawet jeśli tworzył opowieści kulinarne z domieszką erotyki, jak twierdził Grześ. Co ją obchodzi, z czego żył? Wróciła na kanapę i otuliła się kocem. Nic z tego.

– Nic o nim nie wiemy – trąta się teraz zdaniem Arka. Arek wpatrywał się w nią wnikliwie, chyba podejrzewał, że Julia wdała się w bliższą znajomość z klientem Dymszą. Gdzie mieszka w Anglii? Jakaś rodzina, adres, zobowiązania podatkowe?

– Wiem, że jest rozwodnikiem i ma syna – słabo powiedziała Julia. Nigdy nie rozmawiali o takich sprawach, nie mieli na to czasu zajęci głównie sobą. Nawet kiedy Dominik jej się oświadczył, nie zapytała o syna, o układ z byłą żoną. On przynajmniej poznał Hankę, wiedział, gdzie mieszkają, znał tę historię z jej matką. Julia o nic nie pytała. Kiedy przychodziła do niego, plecami zamykała drzwi, zanurzała się w smakowite zapachy, w Dominika, zapominała o reszcie spraw. Nigdy już nie zostawała na noc. Żadnych znamion wspólnego mieszkania, przynajmniej do zakończenia sprawy. A potem.. zerknęła na pierścionek.

– I samochód ma zarejestrowany na kogoś innego – bezlitośnie ciągnął Arek – sprawdziłem...

– U swojej kuzynki Elżbiety nie bywa teraz prawie wcale – dodał Grześ – a póki gościła u niej skrzypaczka Betty, bywał codziennie. Czemu?

I to było prawdą! Julia wspomniała, że Dominik odwoził Betty na lotnisko, pomagał obu paniom ogarnąć mieszkanie po wybuchu, ale potem, kiedy Elżbieta Rachowicz dziwnie spokojna mimo okropnych zdarzeń znów samotnie rezydowała w mieszkaniu przy placu Tołłoczki, zagospodarowała odzyskany pokój, w ogóle nie bywał u kuzynki. Julia oczywiście nie pytała. Chłopcy z kancelarii uważali, że to wszystko jest podejrzanе. Jedyne trzeźwa uwaga Miłki przyniosła jej niejaką ulgę:

– A co to nas obchodzi? – Miłka wzruszyła ramionami. – Co wy, nic do roboty nie macie? Niech facet żyje z czego chce, byle nam zapłacił. Genetycznie z Elżbietą nic go nie wiąże, to tylko żona jego brata z trzeciej linii. Może po prostu się nie lubią?

Może. Może gdyby Julia nie traktowała osobiście sprawy z kamienicą. Albo gdyby związek z Dominikiem traktowała tylko jako przygodną znajomość. Niestety pozwoliła sobie na ziarno małej nadziei, które rozrastało się w sporą roślinę, nawet krzaka: iż to coś więcej, że może na zawsze, że prosił ją o rękę poważnie, że to znaczy, iż zostanie w Polsce. Ale i o to nigdy nie zapytała. Ile tych „może”, ile tych „że”?

Zmrok zapadł wśród gorzkich rozmyślań Julii i do gabinetu wkradła się cichutko Hanka, wyraźnie jakaś nie w humorze. Julia wiedziała, że trudno w naszych czasach o nastolatkę w świetnym nastroju, ale kiedy chodzi o własną córkę...

– Chodź no tu do mnie pod kocyk. Tak jak wtedy, kiedy miałaś sześć lat i czytałyśmy razem komiksy.

Hanka skwapliwie skorzystała z zaproszenia. Wtulona w poduchy westchnęła rozdzierająco.

– Co się dzieje? – zapytała Julia – znowu jesteś zakochana?

Zakochanie było stanem permanentnym Hanki, odkąd skończyła lat czternaście.

– Właśnie nie. Postanowiłam skończyć z facetami – westchnęła Hanka – są do bani. Ale widzisz mam, znów będzie wywiadówka, bo już zaraz listopad.

Listopad. Julia zdziwiła się szczerze. Przecież przed chwilą był wrzesień. Tak pochłoneły ją zdarzenia, Dominik, wybuchy, dokumenty, że całkiem tego nie zauważyła, listopad...

– Nooo, za tydzień – sprostowała Hanka – a ja widzisz, mamik, mam cztery pały z chemii.

Julia usiadła gwałtownie. Z chemii. Rozszerzonej. Chemię Hanka miała

zdawać na maturze. Chemia miała otworzyć jej furtkę na znakomite studia medyczne. To była wiadomość dużo gorsza niż ewentualne kolejne zakochanie się Hani. Chyba nawet seks z Przemem zabrzmiałby mniej niepokojąco.

– Jak to się mogło stać? – jęknęła zdławionym głosem zmartwionej matki. – Haniu, jeszcze cię do matury nie dopuszczą. A studia?

– Wiem – pokornie zgodziła się Hanka – ale kompletnie nie kumam tego działu. Trudny jest, Chemica wrzuciła akademicki poziom. Musisz mi wziąć jakieś korki, mamik. Inaczej kapusta.

– Co inaczej?

– Kapusta, tragedia, śmierć w pudłach. Pamiętaj, że nie jesteś bez winy. Takie wydarzenia jak ostatnio... nosorożec by się przejął i nie mógłby myśleć o chemii.

– Że co?

– No przecież te rodzinne historie, odnaleziona babka, a twój romans gorący, myślisz, że to na mnie nie wpływa? Mogłam popaść w chorobę, zaburzenia w odżywianiu na przykład, weź sobie anoreksję, jedna taka u nas ma. A tak tylko pały.

Julia przygarnęła córkę do siebie, opatuliła szczelniej kocykiem. Nie zapalały światła. Chłód potwierdzał informację od Hani: nadchodził listopad. Z nim zmiana opon i temat ogrzewania domu. Zaburzenia w odżywianiu faktycznie nie byłyby dobre. Zgodziła się na korki i chociaż pały przejmowały ją grozą, przypomniała sobie, że są na świecie ważniejsze sprawy: zdrowie, miłość, prawda, co jeszcze?

– Dobrze nam tak razem we dwie, co? – raczej stwierdziła niż zapytała Hania – tak sobie leżymy i dyskutujemy.

Julia uśmiechnęła się w ciemności. Dyskusja była raczej dyskusyjna, ale przycisnęła Hanę mocniej do siebie jak za dawnych lat. Smutek ogarnął ją na myśl, że sama nigdy nie zaznała bliskości z matką.

– A ty chcesz, mamik, zburzyć ten spokój – ciągnęła Hania – nie zaprzeczaj, znam cię lepiej niż myślisz. Całe życie. Chcesz nam tego faceta tutaj ściągnąć, no nie?

– A ty ojca! – odgryzła się Julia.

– O nie, już nie – Hania zaprzeczyła tak stanowczo, że Julia domyśliła się natychmiast: córka była już u taty ze szkolnym kłopotem i odmówił finansowania korków z chemii – nie można na nim polegać. Najlepiej jest tak jak jest: my dwie, czasem wpada Balbina, no nie?

– No tak – potwierdziła Julia. Po co było zaprzeczać? Dowodzić, że za chwilę Hanka wyjedzie na studia, bo odgrażała się, że składa papiery tylko do odległych miast, ba, nawet za granicę. Zakocha się po raz kolejny, bo czemu nie? Że czterdzieści dwa lata nieuchronnie przechodzą w czterdzieści trzy. Biologiczny licznik tyka, dusza boi się samotności, ciało pragnie dotyku, i to akurat może być dobry moment na wielką drugą miłość... Taką, jaka trafiła się Klementynie. Wspomniała ten napis na budynku: Klementyna 1888. Wciąż tam tkwił, choć Klementyny Wierzbickiej tak dawno już nie było na świecie. Jak potoczyło się jej życie? Zapewne dowie się z ostatniej części dzieła Dominika. Hania chrapała obok całkiem dziarsko, kot Ikar wpakował się im na nogi. Julia nie mogła spać, ale lęk związany z podejrzeniami wobec kochanka znacznie się zmniejszył. Co będzie, to będzie. Tymczasem prosił o kolejne spotkanie. Zamierzała założyć wyzywającą bieliznę i nie pytać o nic. Hania przestała chrapać i teraz było słychać, jak Ikarek mruczy z aprobatą.

*

Wywiadówka nie należała do przyjemnych. Wychowawczynie ubolewała nad stanem wiedzy, frekwencją i bierną postawą swojej klasy, było zdecydowanie mniej nudno, ale bardziej strasznie niż poprzednio. Terminy egzaminów, składki, jedyńki, brak aktywności, Julia błogosławiła swoje czterdzieści dwa lata, bo dzięki nim dawno miała szkolny stres za sobą. Przysiadła się do niej Ruda Lalka, czyli Teresa Willis, matka Filipa, nieco zdumiona polskim systemem edukacji, bo nie doświadczyła podobnych problemów ani w Hiszpanii, ani w Wielkiej Brytanii. Tam na przykład miała wgląd do elektronicznego dziennika, tu wychowawczynie rozdawała archaiczne kartki z ocenami. Przy Julii zatrzymała się na chwilę i polakierowanym na fiolet paznokciem wskazała cztery jedyńki w rubryce „chemia”. Z troską pokręciła głową.

– Podobno bardzo trudny dział – usprawiedliwiała się Julia. Głupio jej było przed nauczycielką i przed Teresą.

– Obawiam się, że inni sobie radzą – okrutnie i oschło rzekła nauczycielka – tylko trzy osoby mają jedyńki, w tym ona. Myślę, że gdyby Hania bardziej uważała na lekcjach, gada na okrągło, rozprasza siebie i innych, a co dzień siedzi z innym chłopakiem.

Teresa Willis stłumiła śmiech.

– Zapraszam cię na kawę po tej rzezi niewiniątek – szepnęła do Julii – masz czas? Może coś pomogę...

*

Teresa okazała się bardzo sympatyczną osobą. Julia podziwiała ją za humor przyprawiony szczyptą złośliwości, talent wręcz aktorski przy parodiowaniu rodziców i pani nauczycielki, nie mogła uwierzyć, że Teresa jest matką czworga dzieci, z których Filip był najstarszy.

– A pozostałe to trzy dziewczynki – Teresa lekko posmutniała – mąż mój pracuje w dyplomacji, od sierpnia objął placówkę w Warszawie. Ja zajmuję się „tylko” dziećmi i domem, i nie do uwierzenia jak bardzo jestem zajęta.

– W jakim wieku dziewczynki? – zaciekała się Julia.

– Cztery, sześć, osiem – wyrecytowała Teresa.

– A Filip dziewiętnaście! Spora różnica wieku.

– Tak... Filip jest synem z pierwszego małżeństwa. Wysłałam za mąż drugi raz, po rozwodzie.

„Witaj w klubie” – pomyślała Julia. A głośno powiedziała: – Szczęściara. Chłopak i trzy dziewczynki! Dlatego tak młodo wyglądasz!

Teresa uśmiechnęła się. Była otwartą kobietą, życzliwą i czuła się nieco osamotniona w Warszawie, do której skierowano ich z Londynu. Tam ukończyła studia, miała grono przyjaciół, tu nikogo. Julia wydała się jej fajną osobą, dlatego zaczęła ją już poprzednio. Matki rówieśniczek jej córek unikały z nią kontaktu i patrzyły jak na trędowatą.

– Mam swoje kłopoty, jak wszyscy – odrzekła z uśmiechem. – Z Polski wyjechałam dwadzieścia lat temu i zapomniałam, jak nietolerancyjne jest nasze bajorko. Miłe panie z piaskownicy potrafią sprawić, że płaczę nad ranem. A do pracy chętnie bym wróciła Julio, bardzo. Ale nie ma mowy przy tej trójce.

Julia słuchała z zaciekawioną. Teresa była tłumaczką i redaktorką. Czasem brała do domu tłumaczenia książek z angielskiego, lecz były to zlecenia. Marzyło się jej własne wydawnictwo... albo tłumaczenie na żywo na konferencjach, uwielbiała to. W Londynie udawało się jej pracować.

– No widzisz, wzięłaś mnie za optymistkę, a ja marudzę, jakbym stąd nigdy

nie wyjeżdżała – zaśmiała się – ale w jednym kłopotcie mogę pomóc. Mam pomysł z tą chemią Hani, popatrz.

Pokazała karteczkę z ocenami Filipa. Nie było na niej cyfry mniejszej niż cztery. A w rubryce chemia: trzy piątki, dwie szóstki.

– Po co masz płacić za korki? Niech Filip pomoże. To bardzo dobry chłopak, chociaż udaje samotnika, który wszystko „ma gdzieś”. Cały świat, matkę, ojca, którego nie widuje, ojczyma, którego prawie lubi, siostry.

– Chętnie biorę Filipa – zaśmiała się Julia – ale jeszcze trzeba ich do tego namówić, a nasze dzieci – zwykle na nie!

Teresa popatrzyła lekko zdziwiona. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby Filip jej czegoś odmówił. Prosiła bez owijania w bawełnę, i pomagał. Julia natomiast kombinowała podstęp, żeby to tego całkiem niegłupiego planu przekonać swoją córkę.

– Dziękuję za kawę – podniosła się z krzesła – i za pomysł. Następnym razem ja zapraszam.

– No i jak będziesz miała klienta z Anglii, jestem do usług – uśmiechnęła się Teresa. Julia uświadomiła sobie, że ma klienta z Anglii, ale ładnej tłumaczki raczej nie potrzebuje. Zganiła się za tę myśl. Teresa naprawdę była miła, łąknęła przyjaźni, wyraźnie chciała nawiązać dobry kontakt. Ruszyły na parking przy szkole, Julia zaproponowała podwózkę.

– Nie, nie – zapewniła ją Teresa. – Mąż z dziewczynkami mają po mnie podjechać. O nawet idą tutaj. – Podniosła rękę i zerknęła spod oka na reakcję Julii, a ta omal nie krzyknęła ze zdumienia. Ku nim biegły trzy śliczne małe Mulatki, za nimi zaś wysoki, postawny Murzyn w eleganckim płaszczu.

– Poznajcie się – powiedziała Teresa – to Neil Willis, mój mąż, a to moja nowa przyjaciółka, Julia Minejko. Neil też jest z wykształcenia prawnikiem – dodała zachęcająco.

Biała dłoń Julii zniknęła w dużej ręce czarnego męża Teresy. Neil uśmiechnął się i białe zęby zajaśniały przy skórze tak ciemnej, jakiej Julia jeszcze nie widziała. „Murzyn” – pomyślała – „nie żaden tam Mulat jak ze *Szklanej pułapki*”. Odezwał się łamaną polszczyzną, a dziewczynki obkoczyły Teresę.

– Niezbyt do mnie podobne, co? – zapytała z wahaniem w głosie. Julia w mig pojęła, dlaczego Teresa skarżyła się na mamy w piaskownicy.

– Jesteście prześliczne – klasnęła w dłonie i przyklękała przy dziewczynkach. – Jestem Julia, a wy? Jakie macie imiona?

– Hellen, Charlott and Andie, madam – rezolutnie i grzecznie odparła najstarsza. Rozumiała pytanie, ale widać wolała mówić po angielsku.

– Lovely – powiedziała Julia. Na pożegnanie ucałowała Teresę w policzek i wszystkie trzy małe dały się uściskać. Teresa przypomniała jej o akcji „Filip i Hanka”, a mecenas Minejko wiedziała już, jaką przyjmie linię obrony tej koncepcji. Doprawdy, wywiadówka okazała się całkiem udana!

Jeszcze tego samego wieczoru wzięła Hankę na spytki:

– Jak ma na nazwisko Filip?

– Milewicz, a co? – odparła Hania, ziewając. – Taki sam palant jak wszystkie chłopaki z naszej szkoły. Mruk. Z raz się do mnie odezwał, ale jak? Zapytał, czego słuchałam w autobusie, bo mnie widział, jak robiłam miny i wygibasy. No to mówię mu: „z tajnych służb jesteś czy co?”

– No tak – od niechcienia rzekła Julia i też ziewnęła – bo matka, wiesz, ta fajna, co się śmiałam, że Ruda Lalka, ma nazwisko Willis, to się najpierw dziwiłam, że nic nie mówisz.

– Willis? A to czemu? Milewicz jest, mówię ci. Co miałam mówić?

– No, że jest Mulatem.

– Jakim Mulatem, co ty, mamik, piłaś na tej wywiadówce? Może moje pały widzisz podwójnie?

– No a nie jest? To i lepiej, nie miałby łatwo u was w szkole. Widziałam jego trzy siostrzyczki, takie Murzyneczki, że hej. Hellen, Charlott and Andie. Matka ich mówi, że im strasznie dokuczają, asfaltówki i tak dalej. Ale on biały? Weź podpytaj, o co tam chodzi w tej rodzinie.

– Coś ty taka ciekawa? – Hanka ukryła fakt, że sama zaciekawiała się bardzo. I oczywiście młoda dusza idealistki cała wzburzyła się na myśl o nietolerancji rasowej. I to wobec dzieciaków!

– Pewnie dlatego taki mruk i samotny – dodała ze współczuciem Julia – boi się, że jak się przyzna do sióstr, to wiesz... Sąsiadki dzieci zabierają z piaskownicy jak Willisówny przychodzą.

– Gdzie my żyjemy! – Hanka podniosła ręce i głos ze wzburzeniem. – Gdzie my żyjemy, w Ciemnogrodzie jakimś, mamik!? Zagadam do niego jutro, głupio wyszło z tymi służbami.

Matka jej jednak już nie słuchała, zajęta SMS-owaniem. Pewnie z tym całym Dominikiem. Nie, w sprawie nowego klienta dzwoniła do tego całego Arka. Hania zabrała swoje kanapki na talerz i poszła się uczyć, ale dręczyła ją niesprawiedliwość tego świata. Co za świństwo! Tupnęła nogą. I jeszcze

dziewczynki! Hanka była trochę feministką. Filip Milewicz, który zresztą miał całkiem ładne oczy, wydał się jej nagle interesujący. Z tego wszystkiego zapomniała zapytać matkę o korki.

*

Wzmagał się w mieście przedświąteczny ruch, jak to zwykle bywa w drugiej połowie listopada. Zagęszczaly się centra handlowe, wszyscy, nawet pracownicy Julii zaczęli mówić o świętach, okazało się, że każdy z nich ma jakieś tam swoje życie, sprawy, ludzi do obdarowania. Świat zaczął kręcić się szybciej, a grudniowy czas okrutnie obnażał rozmaite problemy i problemiki, ukryte pod dywanem przez cały rok. Julii dotyczyło to także. Była czterdziestodwuletnią kobietą jak tysiące w tym mieście, a setki tysięcy w miastach Polski, pracowała, kochała, wychowywała córkę. Do tego regularnie spotykała się z atrakcyjnym mężczyzną i dbała o siebie bardziej niż kiedykolwiek. Do grafika powtarzalnych w tygodniu czynności dopisała kosmetyczkę, masaż, w miesiącu – fryzjera oraz wizytę w sklepie z ciuchami, i tylko ani na jogę, ani na żaden latynoski taniec nie mogła namówić jej nawet Balbina. I oto taki pięknie uporządkowany plan życia rozpisany na dni tygodnia, na godziny, bierze w łeb, kiedy nadchodzą święta. Uzmysłowił jej to własny ukochany zespół. Po omówieniu spraw na tydzień, nowych zapytań, odmownej odpowiedzi dla klienta z Niemiec w sprawie wili w Karpaczu, Arek przypomniał:

– Rozstrzygnięcie kwestii prawa do nieruchomości kamienicy przy placu Tołłoczki, Rachowicz i Dymsza, ustalone w sądzie na dziewiętnastego grudnia. Bardzo dobrze, Julio, bo ja od dwudziestego chciałbym urlop.

– Właśnie! – podchwyciła Miłka – a co robimy z dniami po świętach? Dyżury? Ja chciałam wyjechać na cały tydzień, aż do Nowego Roku.

– Raczej nikt w tym czasie nie będzie szukał porady prawnej – dodał pocieszająco Arek, patrząc na zdziwioną minę Julii. Chyba nie miała im za złe, że święta dotyczyły także ich?

Nie miała im za złe. Po prostu, jak co roku zima zaskakuje służby drogowe, tak i ją zaskoczyła informacja, że to już. Że już: koniec roku, koniec sprawy z kamienicą, że idą święta i w jej przypadku organizacja tego przedsięwzięcia jest dość skomplikowana. Od rozwodu z Markiem hasło „święta” było

wystarczająco stresujące, bo Hania miała prawo spotkać się z ojcem, oczekiwała prezentu i zawsze usiłowała ściągnąć go do domu na wigilię. A teraz, kiedy doszedł w jej życiu Dominik, jeszcze się pokomplikowało. Bo może on zechce spotkać się z synem. Pewnie tak. Więc wyjedzie zaraz po załatwieniu spraw z własnością. Czy może wyobraża sobie jakoś ich święta razem, skoro są narzeczonymi? W ogóle o tym nie wspomniał ani razu. A jeśli nie wyjedzie i przyjdzie do niej? Czy powinna coś mu kupić? A co Hani, która też jakoś ostatnio umykała jej wzrokiem, ścichła i ostatnią dobrą wiadomością, jaką jej przyniosła, była trójka z chemii, do której podobno walnie przyczynił się Filip Milewicz. Julia czuła na sobie wzrok pracowników, i pomyślała, że chyba wcale nie lubi świąt. Poczowała duchową więź z Ebenzerem Scroogem Dickensa, zwłaszcza gdy podliczyła dodatkowe wydatki.

– Ja zostaję tutaj – powiedział nagle Grześ – nie martw się Julio, mogę dyżurować nawet w wigilię.

– Ach nie – Julia wróciła na ziemię, czyli do swojej kancelarii – tak się zamyśliłam, zaskoczona, że to już. Arek ma rację, w tygodniu po świętach nikt nie będzie nas potrzebował. Ustalcie dwa dyżury, trzeci ja, też nie wyjeżdżam. A ty Miłka, gdzie? – zapytała, chociaż zwykle nie wtrącała się w ich prywatne sprawy. Po prostu nie sądziła, że takie istnieją.

– Jadę na zjazd ze znajomymi z grupy ekofanów na fejsie. W góry, dwudziestego.

– A ja – Arek dumnie wyprężył chudą pierś – w tym roku wyjeżdżam na całe święta z jedną tylko osobą i wracam aż drugiego stycznia! Musi to znieść i moja mama, i moja szefowa! – mrugnął do Julii.

– O! – Julia chciała zapytać kto to, ale powstrzymała się. Dodała tylko: gratuluję i przypomniała im, że to jeszcze miesiąc. A sprawy piętrzą się i mnożą. A w dokumentach bałagan. Dręczące upierdliwe sprawy, które nie pozwalały tak po prostu kochać jej Dominika, cieszyć się gwiazdkową atmosferą i latać teraz jak inne kobiety po sklepach w poszukiwaniu zdobyczy, słodczy, podarków. Wolałaby chyba, żeby nie było żadnych świąt. Zerknęła na zespół i wydało się jej, że nie jest osamotniona w swoich odczuciach: Grześ, znawca kamieni szlachetnych, pasjonat diamentów, siedział smutny i zamyślony z miną, jakby pragnął, żeby już było po świętach. Nie mogła wiedzieć, że wybrał się na targi kruszcu i minerałów, kupił tam piękną bransoletkę z kwarców i antracytów. Doskonała na prezent gwiazdkowy dla

miłej sercu kobiety. Tyle, że Grześ nie miał komu jej podarować. Może mógłby dać ją Miłce, ale wyraźnie wyjeżdżała z kimś. Julia zakończyła naradę, musiała przygotować się do spotkania z klientami.

*

W czasie kiedy naradzała się z zespołem, czytała akta, planowała zakupy i wszystko, co powinna zrobić przed spotkaniem z Dominikiem, bliscy jej i znajomi w różny sposób zmagali się z czasem popołudnia. Oto nie przypuszczała nawet, że Dominik przemierza centrum handlowe w poszukiwaniu jakiegoś odpowiedniego dla niej prezentu.

Szukał czegoś naprawdę wyjątkowego, ruszył w aleję z egzotycznymi precjozami i biżuterią, spieszył się, bo chciał kupić coś przed spotkaniem z pewnym człowiekiem, z którym umówił się także w tym centrum. Dominik też zmagał się z rozterkami. Pierwszą był właśnie prezent gwiazdkowy, taki, który będzie znaczący, potwierdzi jego deklaracje i ukoi ból, o ile Julię zaboli to, że nie zobaczą się w święta. Może nawet do wiosny. Chciał także, by ów prezent był małym zadośćuczynieniem, bo oto Dominik Dymśa nie był zupełnie w porządku wobec wybranki swojego serca. W tej sprawie zgodziłby się całkowicie z jej przyjaciółką Balbiną: ideały nie istnieją, a już na pewno on do nich nie należy. Nie powiedział Julii wszystkiego o sobie, nie wiedziała, że oprócz praw do mieszkania przywiodły go do Polski jeszcze inne interesy. Interesy nie do końca zgadzały się z literą prawa, a ona była prawniczką, jak miał jej powiedzieć? Wiedział też więcej niż się przyznał o jej matce, tego zdradzić nie chciał. Nie zamierzał bynajmniej zostawać w Polsce, tęsknił już do życia podróżnika i obieżyświata, które z zapalem prowadził, ba, tęsknił do domu w hrabstwie Norfolk w Anglii, bo ten dom sam sobie zbudował i uważał za najlepsze miejsce na ziemi. Pisarzem był, owszem, ale pisarstwo nie było jego jedynym zawodem, raczej punktem wyjścia do tego, z czego żył naprawdę. Co nie znaczy, że oszukiwał lub jej nie kochał. Julia i miłość okazały się prawdziwą polską niespodzianką. Zaciekawiła go od pierwszego wejrzenia, zapamiętał oczy i linię bioder. Przy drugim spotkaniu poczuł pociąg do tej kobiety, nie do końca zgrabnej, nie takiej młodej, i jak się okazało niezbyt doświadczonej w sztuce kochania. Co z tego, od spotkania do spotkania, od lekkiego dotyku do rozmowy i Dominik, który tej wiosny miał

skończyć czterdzieści lat, zrozumiał, że pokochał tę kobietę, kocha ją poważnie i chce z nią być. Czy do końca życia? Takiego stwierdzenia raczej by nie ryzykował, wolał po prostu: być z nią i z nikim innym. Wtedy się oświadczył. Teraz chciał i musiał wyjechać, w święta zawsze spotykał się z synem i jego matką, miał swoje obowiązki w Norfolk. Mieszkanie przy Piórkowskiej 8 wystawił na sprzedaż, Polska nie była jego celem. Jak powie to Julii? Wręczając świąteczny prezent, prosząc o cierpliwość, by poczekała, bo jeśli kocha, to poczeka, a potem... Potem on wraca, prosi ją, żeby zjeżdżała z nim cały świat. Jako żona oczywiście. W świat, do Europy, jak jego bohaterowie Klementyna i Karol. Oni wracali do domostwa, które Wierzbicki kupił w Wittenberdze, on zaś wracałby z Julią do swojego szarego, otoczonego murem, porośniętego pnączem domu w Norfolk. Co jeśli się nie zgodzi? Dominik nie należał do ludzi martwiących się na zapas. Byłoby najlepiej, gdyby tego chciała, więc na razie innych wariantów nie rozważał. Oglądał biżuterię, połyskiwała pięknie w witrynie markowego sklepu. Ale pierścionek już jej podarował. Co mógł jeszcze wymyślić. Kolczyki, naszyjnik? Nie, zbyt typowe. Wpadło mu w oko coś w sąsiednim sklepie. Poszedł jednak dalej, zerkając na zegarek, bo nie chciał spóźnić się na spotkanie. W barze, przy piwie już czekał na niego dziwacznie odziany człowiek, starszy siwy jegomość, który przypominał stracha na wróble. Dzisiaj miał kapelusz kowbojski, w kolorze musztardy, strój moro, buty z cholewkami i myśliwski pas. Dominik znał go dobrze, wynajmował do szemranych robót, których potrzebował: a to obserwacja kogoś, małe włamanie, usługi typu sprytny pirotechnik. Jego stary polski druh Ignacy był mistrzem w swoim fachu. Dziś miał się z nim rozliczyć za usługi z jesieni i oddać samochód, który od Ignacego pożyczył, bo uważał, że nie warto kupować, jeśli nie zostawał w danym kraju dłużej niż rok. Nie wiedział, że kiedy tak podąży od wystawy do wystawy, potem do bankomatu, by pobrać sumę umówioną z Ignacym między innymi za śledzenie Julii, sam znajduje się pod obserwacją wynajętego detektywa.

*

Detektywa wynajęła Balbina. Kobięca intuicja, a może po prostu instynkt dobrego prawnika podpowiadał jej, że coś jest nie tak z Dominikiem Dymszą.

Widziała, że jej przyjaciółka jest zakochana jak skowronek wiosenny, że niepokojące sygnały do niej nie docierają lub trafiają w próżnię. Trudno, Balbina widziała już takie rzeczy, ale kochała Julię i chciała ją chronić. Postanowiła więc sprawdzić, co to za gagatek z owego Dominika. Odnowiła starą znajomość i teraz za Dominikiem podążał miły mały blondynek niepodobny do nikogo i podobny do wszystkich, zgodzony przez Balbinę. Sama akurat w tym czasie była już w domu, czekała na swoją trenerkę jogi, kąpała się i także rozmyślała o świętach. Mogła pojechać do rodziców, ale zniechęcała ją długa podróż, zwłaszcza że nie zapraszali jej zbyt gorliwie. Mogła umówić się ze swoją trenerką jogi Natalką, która zaangażowała się w ich związek chyba bardziej, niżby Balbina chciała. Dla Natalii była Bożeną, bo nie zaliczała jej do rodziny, ale to dla niej właśnie nacierała się balsamem i dokładnie depilowała bikini. Wyglądała jej niecierpliwie, lubiła jej sterczące piersi i mały brzuch, gładkie, wrażliwe wnętrza między nogami. Lubiła nad nią dominować i udawać mężczyznę, bo jej kochanka zgrywała wtedy potulną panienkę, pieszczą i opierała się trochę, by pojęzczyć pod stymulacją dildo, a potem odwrócić role. To też Balbinie odpowiadało, poddawała się chętnie biegłym palcom i ciekawym wibratorom, rozgrzewającym maściami, które przynosiła jej trenerka. Dobrze się bawiły, potrafiły dać sobie mocną rozkosz, ale Balbina nie miała wątpliwości, że to tylko seks, nie prawdziwe uczucie, tak jak dildo nie jest prawdziwym penisem. Nie była pewna, czy chce kupować jej prezent, zamieszkać razem, o czym ostatnio wspomniała Natka. Najchętniej spędziłaby wigilię i święta z Julią i Hanką, prezenty dla nich miała już od tygodnia. Niemniej na dźwięk dzwonka u drzwi poczuła dreszcz podniecenia, pulsowanie i ciepło w miejscu, które Natalia uroczo zwała „joni”. Dotknęła swojej joni i poczuła napięcie w sutkach. Podążyła ku drzwiom, pocałowały się na powitanie. Jej trenerka stała w długim zielonym płaszczu, drobna, chłodna od wiatru, usta i policzki miała zziębnięte, a Balbina przeciwnie: rozłożysta, naga, rozgrzana i pachnąca po kąpieli. Natalia szybko zdjęła rękawiczkę i małą, zimną dłonią wniknęła w moką, rozpaloną joni Balbiny. Wnętrze dłoni rozgrzewało się, poruszając się powoli w ciepłej szczelinie ciała, a Balbinę przeszywał zimny prąd, tak mocno, że zduszony jęk i twarz ukryła w kołnierzu Natalii.

*

W tym samym czasie inna para równie gorliwie korzystała z czasu, którego zawsze było zbyt mało, żeby się kochać. W jednym z szeregowców w dzielnicy dyplomatów, w małżeńskiej sypialni, lecz nie na łożu, a na podłodze, na futrzanym dywaniku, Teresa Willis pokrzykiwała z rozkoszy, dosiadając swojego męża jak jeździec rumaka. Unosiła się nad nim i opadała, rude włosy falowały razem z nią, sprawnie poruszała biodrami, zakrywając usta męża, przygryzając wargi sama, bo ściany mają uszy, a godzina była dopiero osiemnasta. Ale taka możliwość, że zostawali sami i mogli się pokochać, zdarzała się państwu Willisom bardzo rzadko. Neil nagle odwrócił role, przekręcił Teresę na plecy, zagarnął pod siebie i dokończył dzieła. Śmiała się zdyszana w jego nagie, czarne ramię, gdy sięgał po papierosa.

– Jak ukrywające się małolaty – szepnęła, zabierając mu zapalonego camela, by pociągnąć sama – nie powinniśmy palić w domu, Neil.

– Nie powinniśmy się tu kochać, bo sąsiedzi, rano nie, bo dzieci do szkoły, w nocy nie, bo Filip się uczy... nic nie powinniśmy, po co żyć?

Westchnęła, roześmiała się, znów westchnęła.

– Dla takich chwil jak ta – przeciągnęła się obok niego – jesteś kochankiem doskonałym. Śmieję się, bo jak ta para nastolatków daliśmy dzieciom na kino i dorwaliśmy się do siebie. Cudownie, że Filip je zabrał, co?

– Uhm – odparł jej mąż, wiedząc, że ona mimo tych słów zaraz zacznie patrzeć na zegarek, a gdy tylko spalą papierosa na spólkę, zacznie ubierać się, sprzątać ślady ich miłości przed dziećmi. Już się poruszyła, przygarnął ją mocniej i nie puszczał. Oczy miał zamknięte.

– Hej, nie śpij – powiedziała, skubiąc go w bok – nie mogą nas tak zastać.

– Przestań wariatko – zerknął spod oka na jej duże piersi, a rozmazane usta wzruszyły go i podnieciły. Szybko zgasił papierosa i pociągnął ją na siebie.

– Zrób mi to jeszcze raz – powiedział – film trwa trzy godziny.

Zgodziła się i uniosła nad nim.

– Jak para nastolatków – szepnęła.

*

Tymczasem para nastolatków, czyli Filip i Hanka, nieświadomi co wyrabiają i przeżywają ich rodzice, chodziła po centrum handlowym w poszukiwaniu, oczywiście, prezentów świątecznych. Filip wbrew sobie bardzo lubił

przebywać w towarzystwie zwariowanej koleżanki, wciąż zmieniającej fryzury i upodobania muzyczne. Lubił uczyć ją chemii i o dziwo łąpała świetnie jego objaśnienia. Ona zaś, niesforna Hanka przestała przesiadać się na lekcjach od kolegi do kolegi i ostatnio siedziała tylko z Filipem. Łapała chemię, bo dziwnie nie chciała wydać mu się głupia. Znaleźli się na zakupach, bo Filip poprosił ją o pomoc.

– Nie umiem i nie znoszę kupowania prezentów, więc jeśli tak bardzo chcesz się odwdziżyć za trójcę... – wyznał jej na przerwie i to było bardzo długie zdanie.

– A ja uwielbiam! – entuzjastycznie krzyknęła Hanka spod ciemnej czupryny, bo hodowała włosy na studniówkową fryzurę. – Pomogę ci, super!

– Mam trzy siostry – ostrzegł ją lojalnie – osiem, cztery, sześć lat.

– Cudownie! – wyobraźnia Hanki już pracowała, trzy dziewczynki to było wyzwanie! Do tej pory z żalem omijała kolorowe sklepy z zabawkami, a tu proszę. Poza tym: jego rodzice, w tym dwóch ojców, jej mama, ojciec i ciotka Balbina. To są zakupy. – Idziemy Filip! Dzisiaj po południu.

– Obiecałem małym kino – skrzywił się Filip.

– I bardzo dobrze! Kino jest przecież w każdym centrum handlowym. – Hanka wiedziała, co trzeba zrobić i stało się według jej planu: trzy małe siostry Filipa usadzone zostały tuż przed seansem w sali kinowej, obok miłej starszej pani, która chyba nie zauważyła ich egzotyki i obiecała zerkać na panny, a nastolatki poszli buszować w alejkach ze sklepami. Hanka doskonale wiedziała, gdzie czego szukać, komu co kupić i miała genialne pomysły. Musieli się spieszyć, bo jeden film dla dzieci, nawet jeśli Harry Potter albo Shrek, to wcale nie tak dużo czasu na zakupy. Biegając do nowego butików z gramami, Hania chwyciła za rękę Filipa, a potem, kiedy wracali obciążeni ku kinu, on przełożył wszystkie pakunki do lewej ręki, a prawą nieśmiało ujął dłoń Hanki. Udała, że tego nie zauważa, ale nie zabrał ręki. Kiedy czekali na małe przed kinem na ławeczce, zmęczona oparła o niego głowę i chyba drzemała. Filip bał się poruszyć, ale cały czas trzymał ją za ciepłą rękę.

*

Minął wreszcie ostatni tydzień listopada, a z nim ów czas romantycznych

zawirować. Wszyscy grzecznie wrócili na swoje miejsca, Willisowie do pracy, młodzież do nauki, Natalia do regularnych medytacji. Wszyscy, także Julia i Balbina, zakupili przynajmniej po kilka prezentów i nadeszło niedzielne przedpołudnie, na które niecierpliwie czekało dwoje ludzi: Julia Minejko i Dominik Dymsza. Najbardziej lubili spotkania niedzielne, niespieszne, kiedy mieli dla siebie kilka godzin albo nawet cały dzień i nie było to „po pracy, przed pracą, przed powrotem do domu, po spotkaniu”. Julia zostawiła w domu zanurzoną w śnie niedzielnego poranka Hanię, która tego dnia i tak miała się uczyć i uczyć, w tym chemii z Filipem. Uruchomiła cichutko swoje auto i z przyjemnością przemknęła przez puste o tej porze miasto. O siódmej rano, czyli o świcie stanęła w drzwiach Dominika. Czekał na nią i zastanawiał się, czy czas już wyznać jej trochę prawd i zagaić o świętach? Podarunek zamierzał dać jej przed samym wyjazdem. Racjonalnie rzecz biorąc, powinien... ale nic w ich związku nie było racjonalne. Połączyło ich jakies obopólne oszołomienie. Przed spotkaniem i jedno, i drugie ustalało sobie, co powinno wreszcie powiedzieć, o co zapytać, a potem, kiedy się widzieli, cały plan diabli wzięli, oni zaś poddawali się biegowi spraw poza zamierzeniami i rozsądkiem. Tak było i teraz. Zobaczył ją w drzwiach, jak wyłuskuje się z krótkiego futerka, zsuwa botki i otrząsa z włosów pierwszy śnieg i zapomniał o przygotowanej wypowiedzi na temat świąt. Julia poczuła na sobie zakochany wzrok Dominika, patrzyła, jak zamyka drzwi od wewnątrz, przygotowany do jej wizyty starannie: mimo niedzielnego poranka w koszuli pod krawatem i ciemnych dżinsach. Kątem oka dostrzegła szampana na ławie w pokoju. Dominik nigdy nie witałby kochanki w szlafroku albo piżamie w prążki.

– Taki jesteś kompletnie ubrany – powiedziała, sunąc rękami w dół pleców po tej nieskazitelnej koszuli. – A ja, popatrz, w pośpiechu zapomniałam o bieliźnie.

Sprawdził to, zaintrygowany. Rzeczywiście, narzuciła futerko na luźny szary dres, a dres na gołe ciało. Jedyłą jej bielizną były ciepłe skarpetki, które poleciały gdzieś w kąt wraz z botkami.

– Szorstki ten dres na szwach – powiedziała bezwstydnie – drażnił mnie w kroku i ocierał sutki.

– Zdejmijmy go natychmiast – znalazł radę Dominik. Zanim się obejrzał, dres został mu w rękach, a Julia klęczała jak figurka egipskiej bogini w pokoju, przy butelce szampana, nalewała bąbelki do kieliszków. Ona też kompletnie zapomniała, o co chciała go dziś zapytać.

Dopiero potem, kiedy jedli późne śniadanie i opowiadała mu o przygodach Hanki z chemią, przypomniało się jej, że za miesiąc święta. Coś jednak powstrzymało ją przed pytaniem. Dotknęła lekko zarostu na brodzie, Dominik śmiał się akurat i ładnie ułożyły mu się zmarszczki przy oczach.

– No i Filip okazał się genialnym rozwiązaniem – powiedziała Julia – podejrzewam, że dzięki zagadkom chemii organicznej tworzy się między nimi prawdziwa chemia. Dziś też mają się razem uczyć.

– Filip! – Dominik dojadł ostatni kęs grzanki i z zadowoleniem stwierdził, że kawałek konfitury spadł prosto na biust Julii. – Dobre imię. Ty wiesz, mój syn też nazywa się Filip – pochylił się nad piersią – i też ma dziewiętnaście lat – dodał, a potem pochłonął go całkiem ów kawałek ciała przyprawiony konfiturą. Julia z czułością patrzyła na głowę pochyloną nad swoją piersią, włożyła ręce w jego włosy, oddychała spokojnie, pozwalając skórze odczuwać tę pieszczotę. Dominik ssał delikatnie to jedną, to drugą jej pierś, znalazła palcami jego sutki, też była bardzo delikatna, a mimo to fala gorącego pożądania ogarniała oboje, i znów byli głodni siebie, a o pytaniach i odpowiedziach, chemii, świętach i niedopowiedzeniach zapomnieli.

Dzień ten przebiegłby zapewne jak zawsze, wypełniony seksem, filmami i rozmowami zupełnie nie dotyczącymi ich bieżącego życia, gdyby nie pewien wypadek przy skrzyżowaniu krajowej ósemki z lokalną podrzędną trasą za Wyszkowem. Terenówka turysty znad Buga nabrała rozpędu dokładnie w chwili, kiedy Julia z Dominikiem ujrzeli napis „The End” pewnej komedii romantycznej o świętach. Kiedy z kolei przyspieszało ciemne auto jadące ze strony Warszawy, udało się im nawet zahaczyć o temat. Terenówka w poślizgu wpadła na pas jadących z naprzeciwka, kierowca ciemnego auta zareagował ucieczką w bok, wypadł z trasy i rąbnął w drzewo, dokładnie kiedy Julia zapytała nieśmiało:

– Myślałeś może o świętach?

Dominik popatrzył na Julię z takim żalem w oczach, jaki potrafią mieć tylko spaniele, które zbroiły coś niedobrego i z przeproszającą miłością wpatrują się w oczy swojej pani. Zrozumiała od razu.

– Muszę pojechać do Anglii – powiedział – wszystko stało się tak szybko, syn, rozumiesz. Ale mam dla ciebie coś pięknego i ważnego, coś, co nie pozwoli ci o mnie zapomnieć.

– Nigdy cię nie zapomnę Dominiku – powiedziała – cokolwiek między nami będzie. Cóż, po prostu święta jak co roku. Na szczęście też mam córkę.

– A ona, jak ja, Filipa – uśmiechnął się – śmieszny zbieg okoliczności. Wytrzymaj, błagam cię, dla mnie to też będzie okropne. Kilka tygodni bez tego – pocałował ją w usta – i bez tego – dłoń położył w miejscu, którego będzie mu najbardziej brak i Julia już gotowa była na ciąg dalszy, sięgnęła do jego brzucha i poprawiła się wyczekująco, kiedy zadzwonił telefon Dominika. Odebrał i zaklął głośno po polsku, soczyście.

– Julio – powiedział, ubierając się szybko – muszę wyjść na godzinę. Nie więcej, ale to ważne. Diabli nadali, mój... współpracownik miał wypadek. Zostań tu kochanie i jeśli chcesz – rzucił przebiegle jak stary małżonek – posprzątaj, w końcu jesteś tu prawie u siebie.

– Kocham się – powiedziała, a kiedy znikł, poszła wziąć kąpiel.

Nie było go dłużej niż przewidywał. Słusznie myślał, że wypadek, o którym mowa, może oznaczać kłopoty. Ignacy rozbił się samochodem, który mu oddał kilka dni temu. Znalaziono go wyrzuconego z auta, martwego, kilkanaście metrów od feralnego drzewa. Miał przy sobie umowę wynajmu auta Dominikowi, miał pieniądze od niego, notatki i kontakt na telefonie. Oczywiście znany był władzom jako drobny przestępca, więc już to, że ich łączą, zaniepokoiło Dominika. Ale tak naprawdę jego kłopoty zaczęły się w mieszkaniu, gdzie została Julia.

Po kąpielach, rozkosznie nasycona zadzwoniła do Hanki. Stwierdziwszy że w domu wszystko w porządku, oglądała się naga w lustrze, śmiała do swojego odbicia, bo wydało się jej ponętne, ubrała się w długą koszulę Dominika, spięła włosy i zdrzemnęła się chwileczkę. Potem usiłowała czytać, ale nie mogła się skupić, zaczęła więc zwiedzać mieszkanie, o którym przed chwilą usłyszała, że jest u siebie. Prawie. Ze zdziwieniem zauważyła otwarte drzwi do gabinetu, który zawsze był zamknięty. Dominik twierdził, że nie używa tego pokoju, bo jest jeszcze niewykończony i nie ma tam nic prócz smrodu tynku. A jednak zaszedł tam przed wyjściem, w biegu zabrał coś z biurka, które jednak tam było, i nie zamknął drzwi. Przez szparę zobaczyła zarys mebli, z całą pewnością nie było to pomieszczenie w remoncie. Drzwi kusily, powstrzymała się jednak. Przez kwadrans. Potem weszła do tego gabinetu.

*

Może lepiej byłoby nie wchodzić. Wszelkie legendy i przypowieści

przestrzegają przed zakazanymi drzwiami, kuframi i ogrodami. Nikt nie słucha ich przestróg i Julia nie posłuchała. Odkryła nieduży męski gabinet, wysprzątny, urządony ze smakiem, z sekretarzykiem i regałami pełnymi książek. Czemu u licha ukrywał, że ma gabinet? Wzruszyła ramionami, podeszła do biurka. Żadnej fotografii rodzinnej, bałaganu, nic podobnego, za to mnóstwo dokumentów, listów, jakieś plany. Wzięła do ręki pierwszy papier, który jaśniał na blacie biurka. Pobladła, nie doczytała do końca i w pośpiechu zaczęła przerzucać następne. Pot zaczął kroplić się na czole Julii, wróciła do pierwszego... Trzymała w ręku plan domu Gosztowica. Był to jednak inny plan niż te, którymi dysponowała jej kancelaria, dołączony do dokumentów sprawy. Na tym planie wyraźnie widniały wskazówki i podpisy objaśniające lokalizację ukrytego pokoju, tego który nie był już tajny dzięki wybuchowi. Rzeczywiście, przylegał do sypialni Elżbiety na trzecim piętrze, obok mieszkania numer 7, wejścia wskazano dwa: od ściany w sypialni lub w korytarzu. Plan, który trzymała w ręku, był kserokopią jakiegoś bardzo starego dokumentu. Wzięła lupę. W rogu papieru widniał podpis: Berlin 1882.

Więc prócz planu oficjalnego istniał także prawdziwy, zostawiony przez architekta Schatmeyera, ujmujący skrytki i zamurowane pomieszczenia! Zrozumiała, że Dominik od początku wiedział, iż w kamienicy znajduje się ten pokój, w nim sejf, a w nim zapewne coś wartościowego. Skąd to miał? Co jeszcze przed nią ukrywał? Przejrzała listy, były wśród nich stare. Umowa sprzedaży kamienicy Gromadzkiemu, to znała. Umowa między architektem a panami Wierzbicki i Groter, proszę, proszę. Listy... Od Karola Wierzbickiego, od Maurycego Grotera, listy zastawne, rachunki. Dziwna teczka z napisem „Roszczenia”, Julia otworzyła ją bez wahania. Lista adresów, pod nią, w koszulkach, dokumenty pogrupowane najwyraźniej według listy, trzy adresy odhaczone plusami. Pod jednym z plusów właśnie się znajdowała.

Skronie jej pulsowały, ręce drżały, słyszała głuchy, głośny, pośpieszny dźwięk dziwnych uderzeń. Pojęła, że to jej serce. I jeszcze coś: oto Dominik Dymśa, miłość jej życia, był oszustem. Może w ogóle nazywał się inaczej? Bezceremonialnie wyważyła zamknięte drzwiczki zabytkowego biurka, wywaliła szuflady. Rzeczywiście, były tu lipne dokumenty. Dowody osobiste na różne nazwiska, prawa jazdy, paszporty, dziwne klucze, kilka telefonów komórkowych. Mój Boże, tyle nazwisk i imion, a zdjęcie jedno, bez wątpienia. Tego faceta, o którym, zdawało się, wiedziała wszystko, znała znaki

szczególne w zakamarkach jego ciała, jeszcze czuła w sobie jego obecność. Kim był? Jak się nazywał? Dowiódł praw spadkowych, więc musiał być kuzynem Elżbiety Rachowicz. Czyżby oboje byli oszustami? Kopnęła biurko. Z ostatniej szuflady wysunął się zeszyt, podpisany: „Pamiętniki mojej matki”. Rękopis złożony równiutkim pismem, być może przepisany ze starego dokumentu. Czy to pamiętniki Klary, czy Klementyny? Więc stąd Dominik znał tyle szczegółów dotyczących Groterowej i domu Gosztowica... Zawartość następnej teczki uderzyła w nią jak cios. Teczka nosiła imię Julia, a w niej znajdowały się kserokopie dokumentów, które przysłano jej do kancelarii. Plus inne: list podpisany Danuta Minejko. Akt zgonu Danuty, z roku 1973 z Izraela. List Danuty Minejko. „Jedyną córkę, Julię, urodziłam w roku 1968”. Twarz Julii oblał pąs, ogarnęła ją fala upokorzenia. Więc Dominik wiedział, że Danuta Minejko nie żyje, a Julia jest jedyną żyjącą spadkobierczynią wnuczki Szenkela. Czy dlatego ją omotał, dlatego proponował jej małżeństwo? To on jakimś sposobem przejął zawartość sejfu w ukrytym pokoju, on łaskawie wysłał jej zdjęcie matki i te papiery, które mu niczym nie zagrażały. Resztę schował. Kopnęła biurko jeszcze raz. Wzrok jej padł na szkatułkę. Zamknięta na zdobiony zameczek. Julia roześmiała się, wyjęła spinę z włosów, podważyła wieczko nożem do papieru. W szkatułce widniał i naigrawał się z niej piękny garnitur rubinowy. Naszyjnik, kolczyki, bransoleta. Julia wpatrywała się w nie zdumiona, potem uniosła rękę. Na jej palcu widniał pierścionek idealnie pasujący do kompletu. W ten sposób Dominik Dymśza, czy też mężczyzna, który się za niego podawał, podzielił się z nią zawartością sejfu z kryjówki jej żydowskiego pradziadka. Co jeszcze tam było, a co ukrył – nie wiadomo.

Julia Minejko nie zamieniła tego pokoju w gruzowisko. Nie zapłakała nawet. Ostentacyjnie położyła pierścionek obok kolii. Zabrała tylko dokumenty dotyczące jej matki. Zatrzasnęła za sobą drzwi. Pomyślała, że wieko jej trumny zabrzmi kiedyś mniej ponuro.

*

Dominik nie przypuszczał, że wezmą go na przesłuchanie, iż trzy razy będzie musiał objaśniać swoje powiązania z Ignacym. Ze zdziwieniem dowiedział się, że wykonawca drobnych robót złodziejskich poszukiwany jest w związku

z serią kradzieży i dewastacji bankomatów. Nie zdziwił się, że wykazał się mistrzostwem w wysadzaniu ich ładunkami własnej produkcji. Nie zająknął się, gdy inspektor zapytał o wybuch w kamienicy przy placu Tołłoczki, przyznał się, że walczy o prawa do nieruchomości, nie przyznał, iż sam ten wybuch opłacił.

– Zaciekawi pana zapewne – rzekł inspektor – że śledztwo w sprawie wybuchu prowadzi do denata.

Dominik zaklął w duchu i zrobił dobrą minę do złej gry.

– Well – powiedział – ale po co, czemu? Ja tylko pożyczyłem od niego samochód.

Wiedział doskonale, że nie przekonał do końca inspektora. Sprawy się komplikowały, zrobiło się niebezpiecznie, tym bardziej musiał wyjechać. Wracając, uświadomił sobie, że minęło pięć godzin, odkąd zostawił Julię w swoim mieszkaniu przy... A potem przypomniał sobie, iż nie zamknął gabinetu. Dominik Dymśa, bo tak nazywał się naprawdę, zachwiał się na chodniku i poczuł przeszywający ból w piersi, a przy tym brak tchu. Oparł się o budynek, a ponieważ w żadnym calu nie wyglądał na kłozarda, kilka osób podeszło, by mu pomóc, ktoś podał wodę, ktoś szybko zrobił zimny kompres z chusteczki, pomogło. Podziękował i ruszył w kierunku mieszkania. Wbiegł na schody i jeszcze miał resztki nadziei, modlił się, że może jednak, może nie zauważyła, nie zajrzała, może zasnęła...

Zastał puste mieszkanie, bałagan w gabinecie, smutny pierścionek dołożony do kompletu koliai. Wyglądał z tym czerwonym oczkiem jak złamane serce. Dominik usiadł na podłodze pod ścianą, kłął jak szewc. Nie miał już cienia wątpliwości, że wszystko dzisiaj poszło nie tak.

*

Julia dojechała do domu roztrzęsiona, pragnęła być sama, przynajmniej przez chwilę nie mówić nikomu, co się stało, o co chodzi, co musiało się wydarzyć, że ta sama kobieta, która rano pędzi przez miasto jak gwiazda filmowa, wraca do domu jak spłoszone widmo. Ucieszyła się, że dom zastała pusty, Hanka widocznie zrobiła sobie przerwę w nauce. Tak też było: Julia sięgnęła do komórki, by natychmiast dzwonić do Balbiny, i przeczytała SMS-a od córki: „idziemy z Filipem do kina, mamik, będę dopiero wieczorem”. Dobrze,

pomyślała, dobrze, doprowadzę się do porządku, pogadam z Balbą. Zaczęła wystukiwać numer przyjaciółki, ale odłożyła telefon. Nie chciała doprowadzać się do porządku. Jakże miała to zrobić? Dotarło do niej, co się stało. Kochała go i straciła, bo okazał się kłamcą i draniem. Być może i ją w ten sposób dotknęła klątwa kamienicy, była jedną ze spadkobierczyń. Za sprawą Klementyny niepisane było jej zaznać szczęścia w miłości, ale żyć w samotności i upokorzeniu? Po co? Jak będą teraz wyglądać dni, jej przyszłe tygodnie i miesiące bez Dominika? A ona martwiła się o święta! Fala rozgoryczenia i bezradności, bezsensu życia spowodowała, że Julia zapragnęła się zabić.

*

Hanka z Filipem wyszli z kina i spacerowali jeszcze pół godziny po ulicach miasta, pięknie oświetlonych, jak zawsze przed świętami. Łaziliby być może i ze dwie godziny, lecz zimno i chemia wygoniły ich ku podmiejskiej kolejce. Nie mówili wiele, chociaż Filip nie chciał wydać się mrukiem i postanowił odzywać się od czasu do czasu.

– No to pamiętasz to zadanie z molami? – zapytał z zapałem. – Tam był taki haczyk... Ale Hanka dłonią zasłoniła mu usta i popukała się w głowę. Stali pod wielką choinką, czekali na tramwaj, żałowała, że nie może jechać z nią do domu. Matki pewnie jeszcze nie było. Ale Filip musiał wracać do siebie, zrobiło się dość późno, więc odprowadzał ją tylko do kolejki, niezadowolony, że nie dysponuje samochodem, żeby odwieźć ją pod sam dom. Marząc, że kiedyś tak będzie, zapomniał, iż nie ma jeszcze prawa jazdy.

– Daj spokój – Hanka widocznie nie widziała w tym żadnego problemu. – Ja całą drogę ze stacji mam jasną, to blisko. Wiele razy wracałam później. – Poprawiła mu szalik, uśmiechnęła się. Tramwaj nadszedł, wsiedli, wpatrywali się w światła witryn i lamp, lekko zaczynał padać śnieg. Pożegnali się przy peronie, dopilnował, żeby wsiadła do pociągu, a Hanka musnęła Filipa w policzek.

– Dzięki ci, Mendelejew! – zażartowała.

– Moja przyjemność, Marie Curie – odparł.

Pociąg ruszył, Hanka pomachała mu zza szyby. Jak to miło mieć kolegę kumpla, pomyślała, fajny facet okazał się z tego Filipa. Trochę była zła, że po

tym jak łazili po centrum za rękę, nie pocałował jej ani nie próbował objąć, ale przypominała sobie, że miała dać spokój z facetami. Widocznie chodzi mu o przyjaźń i bardzo dobrze. Znikał razem z dworcem.

– Co za dziewczyna ta Hanka – myślał – niezwykła. Każda już by sobie wyobraziła romans i Bóg wie co. Jakby nie można było się po prostu kumplować, bez całowania i całej tej krępującej reszty. Ruszył z dworca w stronę swojego przystanku. Hanka w pociągu przypomniała sobie oczy Filipa, najbardziej rozumne oczy faceta, jakie widziała. A Filip dojeżdżał do szeregowców i nagle strzeliło mu do głowy, że Hanka ma najładniejsze nogi w klasie i mogłaby tak ich nie pokazywać. Ostatecznie oboje wchodzili w progi domów bardzo zadowoleni ze swojej przyjaźni, z pewnym jednak niepokojem w duszach. Filipa nieznośne siostry opadły jak komary, wołając coś jedna przez drugą po polsku i po angielsku. Hanka zobaczyła światło spod drzwi gabinetu matki. Więc jednak już wróciła?

– Mamik, jestem – zawołała i z rumorem otworzyła drzwi do gabinetu.

*

Balbina spędziła niedzielę w samotności. Lubiła czasem takie zimowe dni, nawet to, że tak szybko ciemnieje świat. Rozważała, czy dzwonić do Julii, bo jej detektyw przyniósł niepokojące wiadomości o Dominiku. Był pewien jego kontaktów z niejakim Ignacym Kobieszakiem, znanym policji jako Kobzik, drobny przestępca i pirotechnik. Sprawdził adres w Polsce, okazało się, że Dymsza wystawił mieszkanie na sprzedaż, mieszkanie, które zdobył przez wykup roszczeń, więc zarobi na tym pięknie. Powieści ani ich tłumaczeń poza jedną pozycją kulinarną pod tym nazwiskiem nie znalazł. Pod zupełnie innym kontaktował się z międzynarodową siecią handlu biżuterią, pod jeszcze innym odwiedzał w domu starców w Niemczech wiekowego seniora. Dni spędzał dość monotonnie, w swoim mieszkaniu, na spotkaniach z Julią, dwa razy zawitał do pani Elżbiety Rachowicz. Jeździł samochodem pożyczonym od Kobzika i właśnie mu oddał, zarezerwował lot do Londynu na 22 grudnia. Czy Julia wie chociaż o tym? Balbina była pełna obaw, ale nie chciała burzyć niedzieli Julii, zwłaszcza że wiedziała o jej spotkaniu z Dominikiem. Musiała jednak z nią porozmawiać, namówić, żeby przynajmniej dla pewności jego praw do kamienicy poznała te fakty. Jutro pod wieczór ją odwiedzę,

pomyślała, może tak trochę mikołajkowo? Zadzwoił telefon, zobaczyła numer, a potem usłyszała zdenerwowany głos Hanka i zrozumiała, że to jutro jest dziś.

– Ciociu, przyjedź natychmiast, jest bardzo źle.

*

Było bardzo źle. Kiedy Hania staranowała drzwi ze swoim gromkim okrzykiem, zastała matkę zwiniętą w kłębek, pod kocem, spała, ale jakby wstrząsana dreszczem, z buteleczką tabletek w ręku. Hanka skoczyła do niej jak łania, wyrwała jej z ręki silny środek nasenny.

– Mamo, mammo – zaczęła potrząsać Julią – wzięłaś coś? Powiedz, wzięłaś, wołać pogotowie?

Julia usiadła otumaniona, nieszczęśliwa, ale żywa i zdrowa. Przytuliła mocno Hanię. Zdarzenia dnia wróciły i upokorzenie uderzyło ją jeszcze raz, ale z odrobinę mniejszą mocą.

– Nie, córeczko, nie... coś ty! Tylko jedną wzięłam, bo chciałam zasnąć, ale nie na wieki, przysięgam.

– Co się stało?

– W wymiarze globalnym nic, w moim prywatnym katastrofa. Gdyby nie ty, kto wie, gdyby nie ty, może bym i to wzięła. Dobrze, że jesteś.

Przypomniała sobie rozterkę: wszechogarniającą niechęć do życia i pokusę, żeby nie cierpieć. Ale w apteczce z lekiem na sen, obok aspiryny i plastrów na rany stał też krem na trądzik Hanka. Przypomniała sobie jej zmagania z cerą, dziobatą a czasem gładką, jej głupie miny do lustra, kiedy nakładała żółtą masę albo maseczkę, i zrozumiała, iż to nie takie proste. Że ona Julia Minejko nic sobie nie robi, nie robi tego Hani, ma jeszcze kilka przestrzeni życia poza miłością. Teraz jednak, w ramionach córki płakała, jak gdyby to ona była małą dziewczynką. Uległa fali żalu, rozkleiła i płakała, bo w tym momencie była bardzo nieszczęśliwa. Hanka zadzwoniła po Balbinę. A kiedy ciotka mimo późnej godziny wjeżdżała pod bramę, przyszedł pierwszy SMS od Dominika:

„Proszę cię, tylko porozmawiajmy”.

Miało ich przyjść do rana dokładnie siedemdziesiąt trzy. Julia nie odpowiadała, ale też ich nie kasowała.

*

Balbina powstrzymała się od sztampowego „a nie mówiłam”, chociaż cisnęło się jej na usta. Kiedy Julia uspokoiła się i opowiedziała im wszystko, Balbina sapała tylko: czułam, to czułam... Przyznała się do detektywa i zdała im relację z jego dokonań. Nie było wątpliwości: Dominik, wcale nie wiadomo czy Dymsza, niejedno ukrywał, oszukiwał ją, a może nawet był przestępcą.

– Wkręcił cię i sponiewierał – mówiła z przejęciem do Julii. – Spotkania, deklaracje, przejąc kamieniczkę, a potem cicho spieprzyć za granicę, co? Co za drań. I te podrobione nazwiska na dokumentach! Szkoda, że ich nie zabrałaś. Musisz sprawdzić go dokładnie, Julia, ze względu na dom Gosztowica!

– Tak, tak – Julia wiedziała, że musi. Oddeleguje do tego Arka. Sama nie będzie w stanie prosić Dominika o wyjaśnienia. Do Elżbiety Miłkę. Następny SMS: „Przepraszam. Naprawdę kocham. Wyjaśnię”.

– Jak on śmie? – krzyknęła Balbina.

– Śmie, śmie, jesteście przed metą z tą nieruchomością – odpowiedziała zmęczonym głosem Julia. – Może wziąć urlop?

Do 19 grudnia, dnia rozprawy, nie ma mowy. Uświadomiła sobie, że jeszcze go zobaczy.

SMS-y przychodziły raz po raz. Julia czuła się już lepiej, tylko potworny ból głowy i pustka w duszy zjadały jej ciało. Rano zawiadomi Arka o wszystkim i jeszcze raz przemaglują kwestie praw swoich klientów do domu Gosztowica. Wracala jej sprawność myślenia, zaprawione goryczą podejrzenie, że jakoś ułoży sobie ciąg dalszy. Przeciągnęła się.

Hania, uspokojona i wdzięczna ciotce, patrzyła na nie obie i nagle przyszło jej do głowy, że Balba, stara dobra Balba, która ogarnęła wszystko, przywiozła wino, zajęła się matką, ogrzewaniem, kotem jest w jakiś sposób zadowolona z tego, co się wydarzyło. Ona teraz, osobiście, uporządkuje świat.

– Zaraz, zaraz – powiedziała cicho, bo młodzi ludzie bywają idealistami – ale wy może dajcie cokolwiek wyjaśnić temu facetowi, co?

Matka parsknęła z goryczą, a ciotka lekceważąco machnęła rękami w jej stronę.

– Co tu wyjaśniać. Mało ci dowodów? Idź ty, Hania, uczyć się, już i tak za dużo czasu straciłaś na to wszystko. I ty, i mama. Ja jestem tu i czuwam.

*

„Pani Klaro!

Wszystko, co mam, niewiele jest warte. Jak pani wie, dziadek mój, Mojsze Szenkel, miał majątek w Polsce, lecz stracił go, by ratować rodzinę, dzięki czemu wojnę przeżył mój ojciec. Dzięki Pani przeżyłam ja, bo gdyby rzecz wyszła na jaw, zapłaciłaby Pani życiem i zapewne Mąż Pani także, a daliście mi nazwisko i metrykę, za co będę wdzięczna do końca życia, a to już niedługo. Przekłete widać to moje istnienie i źle się kończy. Dlatego wyrzekłam się dziecka i polskiej rodziny.

Pani Klaro, ze względu na jedną dobroć mi uczynioną, proszę o drugą. Chora jestem i chociaż nie mam jeszcze trzydziestu lat, od śmierci swojego ojca czuję się, jakbym miała ich dziewięćdziesiąt. Złożona chorobą, przed odejściem ze świata chcę uporządkować kilka spraw.

Nie mam kontaktu z córką Julią, ale wiem, że mąż mój dobrze się nią opiekuje. Kiedy dorośnie, wybaczy mi może, a może nie. Będzie pewnie pytać, domyślać się, szukać. Czy może Pani przekazać jej, że każdego dnia myślałam o niej? Że spędziłam te lata, opiekując się ojcem, w Tel Awiwie, gdzie obecnie leżę w szpitalu. Żadnych innych dzieci nie miałam, nigdy nie wyszłam ponownie za mąż. Żadnego tu majątku nie mieliśmy, pracowałam jako architekt, choroba ojca pochłonęła wszystko. Jedyne, co mam po dziadku, jedyna pamiątka, która przetrwała wojnę, ukryta jest w zamurowanym pokoju w domu Gosztowica, w tym przy Pani mieszkaniu, w którym ojciec mój ukrywał się w wojnę. W kamienicy, która należała do Pani rodziny, a i część kiedyś do dziadka, ale teraz i tak w Polsce wszystko jest państwowe, więc ta wiedza jej na nic. Po wojnie, kiedy Państwo osiedli za granicą, ja mieszkałam kilka lat w Pani mieszkaniu, aż do roku sześćdziesiątego ósmego. Jediną córkę, Julię, urodziłam tam wtedy i spędziłam z nią kilka miesięcy. Pokój użytkowaliśmy, ale przed wyjazdem zamurowaliśmy go z ojcem na powrót. Był w nim mały sejf, pusta skrytka w ścianie za szafą, dziadek podobno zamówił. W niej ukryliśmy moje zdjęcie, kilka dokumentów i coś jeszcze: pamiątkę po babce Szenkelowej, która dziewczynkom z rodziny przynależy i przechodzi z pokolenia na pokolenie. Poproszę, by zechciała być Pani wykonawcą ostatniej mojej woli, i córce o tym donieść. Z przesłaniem miłości. Z prośbą o wybaczenie. Z radą

najważniejszą: by nie bała się kochać. Więcej nic dla niej nie mam. Życie jej matki było nudną pomyłką.

Salome Szenkel, Tel Awiw, 1973 rok”

– Zmarła w 1973, tak wynika z aktu zgonu – cicho powiedział Arek. Siedzieli nad dokumentami, które Julia przyniosła do kancelarii. List od matki także im pokazała, plany tajnego pokoju też. Opowiedziała, jak weszła w posiadanie tych dokumentów, nawet to, że znajomość jej z Dominikiem wyszła poza ramy relacji zawodowej. I że to już przeszłość. Nie komentowali, skupili się nad autentycznością tych papierów.

– Wygląda na to, jakby nie wiedziała, że to ona warta była dla dziadka kamienicy – uśmiechnęła się smutno Julia. Ból pośród żeber palił, ale nikt by tego po niej nie poznał. Jak również tego, że przeczytała ten list już ze sto razy, od świtu, badając kształt liter, podpis, bo nie mogła spać. „Każdego dnia o niej myślę”. SMS-y od Dominika przestały przychodzić. Ostatni brzmiał: „Pani Mecenas, nawet morderca ma prawo do obrony. Mordercą nie jestem”.

– Ja sprawdzę w Internecie spisy ludności w Tel Awiwie – zaoferował się Grześ. – Szkoda, że oddałaś pierścionek – popatrzył na jej rękę. – Dalibyśmy do ekspertyzy.

– Czyżby o te rubiny chodziło matce w liście? – zastanowiła się Julia. Nie pasowała jej ta kolia do określenia: „mała pamiątka”...

Tego nie mogli wiedzieć. Być może wiedział coś na ten temat Dominik, do niego właśnie dzwonił Arek, prosząc o spotkanie z nim i Elżbietą.

– W świetle nowych okoliczności musimy jeszcze raz... tak, niestety może wpłynąć... chcę, żeby pan szczerze ze mną porozmawiał... Nie, pani mecenas jest na zwolnieniu – mrugnął do Julii – nie, nie wiem co się stało, ale musi pan się zadowolić moją obecnością. Tak, mam wszelkie pełnomocnictwa – odłożył słuchawkę.

– Jeszcze dziś spotkanie. Nie był w humorze. I bardzo się zaniepokoił o ciebie, Julio – powiedział Arek. Julia wzruszyła ramionami z pogardą. – Niech spada – powiedziała – nawet nie wspomniał mi o tym liście. Jak mógł, powiedzcie?

– Na dobrą sprawę, to nie mógł – zachichotał Grześ – jakby list pokazał, to by od razu wpadł, że coś wie, może zabrał. Ja myślę, że to on gruchnął tę ścianę i dobrał się do sejfu... – zaczęli projektować wydarzenia, ale tym

razem Julii wcale to się nie podobało.

– Przecież był tutaj w czasie wybuchu – przypomniała.

– Wynajął tego całego Kobzika – wyjaśnił Arek. – Sprawdziłem już na policji, to by się zgadzało. Mają dowody, że Kobzik wysadził ścianę, a panowie się spotykali, zresztą pamiętacie, Dymsza natychmiast zniknął. Pewnie polazł tam szperać, zanim opadł kurz.

– Jak się dostał do sejfu? Kod znał chyba tylko Schatmeyer i jakimś cudem moja matka.

– Może rozwaliło sejf od wybuchu? – Arek kręcił głową, że to niemożliwe.

– Kiedyś robiono solidne sejfy.

– Trzeba przyznać, że jeśli tak, to wszystko, co go nie zdradzało, przesłał ci Julio natychmiast, bo to on przysłał tę kopertę, a nie musiał – zauważyła Miłka.

– I dostałaś rubin – Grześ nie mógł odżalować pierścionka.

– I nieźle naruszył prawo: wybuchy, kradzież, fałszywe nazwisko... Jeden dowód i idę do prokuratora. Co na to powie pani Rachowicz?

– Dowiem się jeszcze dziś – obiecał Arek – ale zauważ, że dochodzimy tylko jego praw do nieruchomości. Nie jesteśmy organem ścigania, nikt nam nie zgłosił kradzieży. Tak naprawdę to – uśmiechnął się z niejaką dumą – małego włamanka dokonała nasza szefowa.

Szefowa ukryła twarz w dłoniach. Czemu go bronili? Tak bardzo nie chcieli stracić intratnego klienta i pięknego honorarium?

– Dajcie spokój – westchnęła – wpakowałam się w kanał. Ukryte projekty, rubiny, nawet to. – Wzięła do ręki rysunek pokoju ze strzałkami i drobnym pismem na marginesach.

Grześ przyjrzał się uważnie.

– A to nie jest plan z XIX wieku – powiedział zdecydowanie – narysowany dużo później, trochę inne wskazuje punkty. Twoja matka była architektem?

Julia popatrzyła na niego zdumiona. Pismo na marginesach, podobne jak w liście. Najwyraźniej trzymała w ręku plan piętra budynku narysowany ręką jej matki.

*

Czas pod koniec roku przyspiesza. Wydarzenia toczą się szybciej albo tylko

tak się wydaje, wśród pokus sklepów, potraw, świateł, choinek, dźwięków Last Christmas i całego zamieszania. Julia uległa magii jak wszyscy. Usiłowała nie myśleć o Dominiku, przygotowała przemyślane upominki, ozdobiła dom lampkami, wprawdzie płakała przy tym jak bóbr, ale obmyśliła także świąteczne menu, zaprosiła Balbinę i swojego ojca z Janią. Nie powiadomiła go o ostatnim liście matki, może dlatego, że nie było tam ani słowa skierowanego do Kazimierza Minejko. Zamieszanie grudniowe pomagało jej uciszyć ból na wspomnienie Dominika i tęsknotę za nim. Gotowa była przytachać osobiście choinkę, ale w tym, ku jej zaskoczeniu, wyręczyła ją Hanka, a dokładnie Filip. Pewnego dnia przynieśli z ryneczku ładne drzewko. Filip sprawnie osadził je na stojaku i zabrali się za ubieranie.

Julia wycofała się dyskretnie. Pomyśleć, że miała nadzieję, iż Dominik będzie tym, który przyniesie jej choinkę w tym roku, osadzi w stojaku i tak dalej. Wspominała teraz ich spotkania, postanowiła nie odbierać sobie słodczy tych zbliżeń. Fakty faktami, ale nie wszystko było kłamstwem. Niemożliwe, żeby jego intymne zauroczenie było udawane. Co z tego, skapitulował. Arek po spotkaniu z nim powiedział tylko tyle: Dominik udzielił wyjaśnień, dowiódł po raz kolejny swojej tożsamości i upierał się, że dostarczył wszystkie konieczne dokumenty.

– Prócz listu...

– List, jak twierdzi, chciał dać ci osobiście – tłumaczył Arek. – Z Elżbietą Rachowicz są w najlepszej komitywie, ona potwierdza jego tożsamość i denerwuje się tymi podejrzeniami. Nie ma żadnych dowodów, że Dymśa stał za wybuchem w kamienicy, Julio. Nie ma żadnych dowodów, że ma jakieś kradzione rubiny lub korzysta z lipnych dokumentów. Zgoda, widziałaś je, ale tutaj ich nie użył. Proponował rewizję, ale wiesz, musiałybyś zgłosić na policję, a tam pewnie nic już nie ma. A jakie napisał książki? Nie wiem, może go zapytaj?

Julia nie chciała pytać ani zgłaszać się na policję, nie chciała też spotkać się z Dominikiem, co dobitnie przekazała mu przez Arka: „Zobaczymy się na przyznaniu praw do kamienicy, dziewiętnastego. To dla mnie i tak za dużo.” Arek przytaknął, ale też utwierdził ją w przekonaniu, iż nazwisko Dymśa jest prawdziwe i uznał, że do nieruchomości ich klienci mają prawo, należy dokończyć dzieła i cieszyć się honorarium. Julia bała się spotkania w sądzie, irytowały ją teraz przesłodzone reklamy z rodzinkami, zakochane pary, nawet tu w domu, własna córka, która zacieśniała przyjaźń z Filipem. Widziała przez

okno, jak radośnie świętowali jej czwórkę z chemii, zarazem witając zimę, bo spadł akurat mokry, lepki śnieg doskonały do wojny w śnieżki. Jedna z nich trafiła celnie Filipa, który osunął się na ziemię. Przestraszyły się obie: Julia w oknie i Hanka w ogrodzie, podbiegła i pochyliła się nad nim, by natychmiast wylądować obok w śniegu. Odetchnęły z ulgą, „zgrywus” – pomyślała Julia, a Hania, otrzepując śnieg z kurtki, spytała nagle:

– Filip, z kim idziesz na studniówkę?

Nikt by nie pomyślał, że to lekkie pytanie jest efektem wielogodzinnych przemyśleń, złości, że on ją o to nie raczy zapytać, pewności, iż to byłoby najlepsze rozwiązanie. I decyzyj, że ona bierze sprawy w swoje ręce.

– Z nikim – zająknął się Filip – w ogóle nie idę.

On też o tym myślał. Nie był fanem podobnych imprez, nie umiał tańczyć, w klasie był od niedawna. Bliżej poznał tylko Hankę. Wiedział, że klasa uznała ich za parę, chociaż byli tylko przyjaciółmi. Ona sama wspominała kiedyś, że idzie z jakimś studentem, więc w ogóle czułby się kiepsko. Patrzyła na niego wielkimi oczyma, zdziwionymi i ładnymi.

– Jak to nie idziesz? – krzyknęła. – Co ty, czemu?!

– Zawracanie głowy. Garniak, koszty, po co? Nikogo właściwie nie znam. Stali pod płotem, przy którym usypała się pokaźna górką śniegu.

– Jak to nie znasz? – Hanka uniosła ręce i z niedowierzaniem patrzyła na Filipa, z rumianym nosem i czarnymi oczyma. Nagle zezłościła się, popchnęła go w śnieżną górkę.

– Jak to nie znasz? – zasypywała go śniegiem. – A ja?

– Co, ty? – wykrztusił, broniąc się przed atakiem kul. – A ty z kim idziesz?

– Z tobą, matole – oznajmiła. Filip usiadł w śniegu. Myślał szybko. Ostatecznie znał przypadki, kiedy na studniówki chodzili ze sobą kumple, nie zaraz zakochane pary. Ostatecznie matka byłaby zadowolona, a skoro Hanka nie ma z kim iść. Taniec kicha, ale ostatecznie mogliby się jeszcze zapisać na jakiś kurs. Chciał zapytać o studenta, ale nie zdążył, bo ciepłe usta Hanki spadły na jego usta, nieśmiało, jakby z zapytaniem. Odpowiedział też nieśmiało, ale trzeci pocałunek był już wspólny i prawdziwy. Julia obserwowała ich z okna, nie zdziwiła się, bo taki rozwój wypadków przeczuwała od jakiegoś czasu, nie zgorszyła się, tylko ogarnął ją żal i ledwie powstrzymała szloch. Dominik miał ją tak całować w śniegu, przed świętami i po świętach. Co teraz robił? Może już całował kogoś innego?

Dominik nikogo nie całował. Dni mijały mu w samotności, głównie na

załatwianiu spraw wyjazdowych. Schudł, nie mógł spać, nie dawała mu spokoju myśl, iż Julia czuła się oszukana i że miała ku temu podstawy. Tęsknił za nią, za jej dotykiem, jej chłodną wersją urzędową i rozgrzaną, potarganą łóżkową. Kilka tygodni i wyjaśniłby jej wszystko! Chociaż wiedział, że jako prawniczka nie zaakceptuje jego sposobu zarobkowania, to przynajmniej nic by nie ukrywał. Właściwie mógłby z tym skończyć i skupić się na książkach. Czy przyjęłaby to jako poświęcenie, dar dla niej? Miał dla niej inny prezent, ale chciał go wręczyć osobiście. W przeddzień rozprawy siedział w opustoszałym mieszkaniu, przygotowany do wylotu. Paczki z dokumentami, kolia i rzeczami osobistymi wysłał zwyczajną pocztą i zapewne już rozporządziła nimi Betty w Anglii. Spotkanie z synem i żoną też już miał ustalone. Fałszywki zniszczył, chciał zakończyć tutejsze sprawy, zdecydowali z Elżbietą, że sprzedadzą kamienicę. Teraz, kiedy dotarli do ukrytego pokoju, znaleźli, co mieli znaleźć, ona też nie chciała mieszkać przy Tołłoczki. „Jeszcze mnie klątwa dopadnie, gdy będę już właścicielką” – powiedziała raz ze śmiechem, Dominik zaś podejrzewał, że wcale nie do końca żartowała. Zostawi jej pełnomocnictwa, niech sprzedaje, żona młodego lekarza spod piątki, ładna, w zaawansowanej ciąży, pytała o lokale na trzecim piętrze, już rozmawiali z pośrednikiem, nie powinno być kłopotu ze sprzedażą. Osiągnął cel, z którym tu przyjechał. Well, wszystko byłoby okej, tylko zamiast satysfakcji czuł głuchy tępy ból, nie mógł jeść i zastanawiał się, jak teraz będzie żył. Do niedawna myślał, że wielki majątek da mu wielki spokój. Teraz nie był tego taki pewien. Trzymał w ręku rubinowy pierścionek, wspomniął kształt jej palców, śmiech, kiedy muskał je ustami. Łomotało mu w skroniach, nie przypuszczał, że można tak fizycznie odczuwać tęsknotę. Zacisnął pięści tak mocno, że knykcie zbieleły, a ozdobne bolce wokół kamienia wbiły mu się w rękę. Postanowił za wszelką cenę odzyskać Julię.

*

Julia nieświadoma tych postanowień, które zapewne sprawiły by jej radość, a przynajmniej przyniosły ulgę, siedziała przy stoliku w kawiarni w centrum handlowym i żywo rozmawiała z Teresą Willis. Nazajutrz wypadał 19 grudnia, więc zamknie ostatnią sprawę w tym roku, będzie mogła jak normalna kobieta zająć się świętami. Teresa zauważyła, że od ostatniego spotkania Julia

Minejko zmieniała się na niekorzyść, twarz jej poszarzała, schudła, co pogłębiło zmarszczkę nad ustami. Zadzwoiła do niej po zaskakującym, chociaż lakonicznym, oświadczeniu Filipa w kuchni, że oto idzie na studniówkę z Hanką Minejko i trzeba by jakieś zakupy... Teresa była znakomitą organizatorką podobnych przedsięwzięć. Wybrali się we czwórkę, matki jako żywe karty kredytowe, młodzież w emocjach świeżutkiego związku, gotowa do pierwszej sprzeczki o kolor muchy i długość sukienki. Ostatecznie suknię zakupiono długą, za to z odkrytymi plecami, muchę bordową jak buciki Hanki i jej pasek. Teraz młodzi pobiegli na modny koktajl mango lassi, a matki plotkowały w kawiarni. W każdej innej sytuacji spotkanie sprawiłoby Julii wielką frajdę. Teraz usiłowała się skupić, słuchała Teresy, a myśl jej uciekała ku jutrzejszej rozprawie, spotkaniu, pożegnaniu.

– Hej! Coś się stało? – zapytała nagle Teresa. Julia westchnęła.

– Tak – odpowiedziała – widzisz, Terenia, zerwałam z facetem. Ważnym dla mnie facetem. Chyba najważniejszym w życiu – głos jej się urwał.

– Poważna sprawa.

Teresa potrafiła to zrozumieć. O dziwo, rozmowa z nią przebiegała lżej i bardziej rzeczowo niż z najlepszą przyjaciółką Balbiną. Teresa słuchała, a potem opowiedziała jej swoją historię. Pierwszy jej mąż, ojciec Filipa, wydawał się jej niegdyś partnerem doskonałym.

– Byliśmy tak blisko ze sobą – opowiadała Julii – zbyt blisko. Tak się wkleiłam w niego, że potem kiedy wszystkie jego brudne sprawy wyszły na jaw, zostałam pusta, jakby wyrwało ze mnie połowę mojej istoty. Nie można do tego dopuszczać – powiedziała – mogę zapalić?

– Tak, tak – Julia wpatrywała się w tę ładną kobietę naprzeciwko. Więc nie tylko jej zdarzały się takie rzeczy. Teresa potrząsnęła rudą czupryną.

– Oszukiwał mnie, był totalnym krętaczem. Do tego kradł, fałszował dokumenty, wziął pokaźny kredyt na konto mojego majątku. Czy wiesz, jak się czułam, kiedy okazało się, że podrobił mój podpis? Fantasta. Dużo pisał, dużo podróżował, teraz myślę, że czasem fikcja mieszała mu się z prawdą. Niestety, zdradzał mnie w rzeczywistości. Rety, jak to bolało!

Julia zbystrzała przy słowach „dużo pisał”. Niemożliwe. Nazwisko inne, Milewicz, ale nazwisko to nie problem. Filip, syn, lat dziewiętnaście. Teresa była tłumaczką literatury od dwudziestu lat tam...

– Twój pierwszy mąż był Polakiem? – zapytała.

– W połowie, matkę ma Angielkę. Wychował się w Anglii, facet z rodziny

powojennych emigrantów. Ależ z niego jest czaruś, dżentelmen i drań w jednym calu – widać Teresa nadal była pod urokiem pierwszego męża. – Nigdy bym do niego nie wróciła – zapewniła Julię i siebie – mój kochany dyplomata Neil uratował mi życie. Ale – dodała – przystojny był mój mąż jak mało kto i świetny w łóżku. Co z tego, wylądował w więzieniu. Niedawno dopiero wyszedł. Filip jest do niego podobny, tylko z wyglądu – dodała szybko. Julia zaczęła zestawiać w głowie fakty i ogarnęło ją przerażenie. Dominik podobno kilka lat jeździł po świecie. A może siedział? Też fałszował dokumenty. Zbyt wiele się zgadzało, takie rzeczy zdarzają się tylko w kiepskich filmach... Teresa trajkotała, dzieci wyłoniły się z tłumu. Podobieństwa Filipa do Dominika Julia nie dostrzegła. Bała się zapytać.

*

Kancelaria Julii Minejko szczyliła się profesjonalizmem, więc 19 grudnia wszystko było zapięte na ostatni guzik. Potwierdzono zgodność z prawem, odczytano przygotowane akty notarialne, podpisano, dokonano opłat. Julia usiłowała nie zerkać w stronę Dominika, on otwarcie patrzył na nią i usiłował ściągnąć jej wzrok. Elżbieta Rachowicz popłakała się ze wzruszenia, dom wracał do rodziny. W końcu musiało dojść do uścisku dłoni.

– Żegnaj – powiedziała spokojnie – mam nadzieję, że wszystko ci się dobrze ułoży.

Dominik trzymał w kieszeni paczuszkę dla niej. Nie bacząc na otoczenie, chwycił ją za rękę.

– Julio – powiedział – spotkajmy się na osobności.

Chciał za wszelką cenę doprowadzić do spotkania. Podarować jej coś ważnego. – Nie mogę wyjaśnić ci tutaj – rozejrzał się – ale wierz mi, oddałbym ci ten list.

– Daj spokój! – Julia przymknęła oczy, było jej ciężko. – Widać nie było nam pisane. Przecież nie zamierzałeś zostać.

– Nie, nie zamierzałem. Chciałem cię stąd zabrać.

Sytuacja stawała się niezręczna. Dominik nie puszczał jej ręki, rozumiał, że nie jest to dobre miejsce na rozmowę.

– Spotkajmy się – poprosił jeszcze raz.

– Nie mogę. Nie chcę. Zbyt dużo mnie to kosztowało – mówiła pospiesznie

Julia, ale nie wysuwała dłoni z jego rąk – nie mogę być z kimś, kto łamie prawo, oszalałeś?

Dominik uśmiechnął się nieco figlarnie.

– Skąd wiesz, że tak jest? Jaki paragraf złamałem? Może po prostu wiedziałem coś, czego nie wiedzieli inni?

– O to właśnie chodzi, ja też nic nie wiem – odrzekła, zabrała rękę i wyprostowała się. Nie mogła się powstrzymać przed tym pytaniem: – Znasz może Teresę Willis, wcześniej Milewicz?

Obserwowała go uważnie. Nie spieszył się, nie pobałdł, przeciwnie, błysk uśmiechu zalśnił w jego oczach.

– Poznałaś Teresę? – ucieszył się i natychmiast domyślił się jej podejrzeń – ach nie. Na jakiej literaturze ty się wychowałaś! Dobrze znam Willisów, emigracja londyńska nie jest wielka, wszyscy się tam znają. Opowiem ci o niej, ale błagam Julio, spotkajmy się, dziś, jutro, potem wyjeżdżam.

– Nigdy – odparła pogardliwie Julia. Podszedł do niej Arek, podał płaszcz, znacząco popatrzył na zegarek. – Nigdy – powtórzyła.

Poczuł się tak, jakby go uderzyła. Nie poddam się tak łatwo, myślał, wróć tu, wyjaśnię, chyba że nie znaczył dla niej aż tak wiele, chyba że już nie chciała żadnych wyjaśnień.

– W takim razie proszę cię o jedno – rzucił za nią niezbyt głośno, ale z taką mocą, że ludzie w poczekalni notariatu obejrzeliby się ciekawie. – Julio, błagam, przeczytaj ostatni rozdział mojej książki.

Nie odwróciła się, niemniej słyszała dobrze te słowa i dziwnie ją poruszyły...

VI Pośmiertny pocałunek

Mijały dni i noce, mijały lata, kończył się wiek dziewiętnasty, a zaczął dwudziesty. Kamienica przy placu Aleksandra stała wciąż imponująca i dostojna, dwanaście lat nie zniszczyło jej ładnej elewacji ani napisu Klementyna 1888. Bliźniacze siedziby, zrosnięte ścianą, sporo już zdążyły ujrzeć, kilka rodzin wprowadziło się i odeszło. Dwanaście lat to nic dla budynku, lecz dużo dla dziecka, tak i panna Krystyna Gromadzka stała się z dziewczynki panną dwudziestoparoletnią. Nad jej słodką dziewczynską młodością zawisła chmura, bo Krystyna jako panienka straciła matkę. Zaledwie rok minął po wprowadzeniu się nowych właścicieli do kamienicy,

kiedy tragedia wstrząsnęła miastem. Alojzy Gromadzki bawił w podróży, świat ogarniała wiosna, a jego żona, Helena, popełniła samobójstwo. Metodę i miejsce wybrała znaczące: powiesiła się o świcie w swojej sypialni, używając jedwabnego paska od szlafroka męża. Znalazła ją pokojówka, narobiła krzyku, a starsza służąca, która przybiegła, załamała ręce i pokiwała smutno głową.

– Kłątwa – powiedziała do młodszej – kłątwa Groterowej znów uderzyła.

I tak pani Helena nie była tu szczęśliwa, sama ciągle, z dziwnym, nieprzytomnym spojrzeniem, z roku na rok coraz bardziej obłąkana. Może powinni jej baczniej pilnować. Pan w podróży przebywał i doniesiono pani Helenie, iż jest tam w towarzystwie młodej kobiety, Klary, dawnej guwernantki przyjaciół. Pani podobno chodziła całą noc po miękkim dywanie swojej sypialni, mruczała coś pod nosem, wyliczała kochanki męża, które mnożyły się w jej chorej głowie, po czym położyła swoim mężom kres. Nie po raz pierwszy wyobrażała sobie kobiety u boku Alojzego, uważano te zjawy w jej głowie za objaw choroby. Tym razem wizja sprawdziła się o tyle, że po pogrzebie zatrudnił pan Alojzy guwernantkę o imieniu Klara. Okazała się wielkim wsparciem dla dorastającej dziewczyny, a Krysia była teraz prawdziwym oczkiem w głowie tatusia. Na przełomie wieków Klara wciąż mieszkała z nimi, będąc damą do towarzystwa Krysi i pocieszycielką samotności Alojzego. Nie ożenił się z nią, chociaż mógł. Powiadały baby w kuchni, że nie chciał ściągnąć kłatwy na kolejną kobietę. Szukał teraz, u progu nowego stulecia, męża, co się zowie dla Krystyny, a że zapisał jej kamienicę w posagu, spodziewał się dobrej partii. Miał nadzieję, że skoro posag in spe, a przejdzie na męża, kłątwa jej dotyczyć nie będzie, no i miał oko na hrabiego Gosztowica. Pewnego dnia wiatry przygnały w jego progi dawno niewidzianego gościa. Przybył oto zza granicy pan Karol Wierzbicki. Przybył do Warszawy sam, w interesach. Był teraz mężczyzną dojrzałym, po sukcesach w przemyśle kolejowym wdał się w niemiecką produkcję aut. Pamiętał doskonale pasję Alojzego, obaj wierzyli w rozwój tego dziwnego środka transportu, chociaż otoczenie przemysłowców uważało ich trochę za wariatów. Obaj się zmienili fizycznie, lecz nie tak, by się nie poznać. Alojzy przytył i wyhodował rudą brodę, Karol posiwał nieco, nadal trzymał zgrabną sportową sylwetkę. Był teraz szczęśliwym ojcem trójki dzieci, najstarszy Karol, syn przyjaciela, był chłopcem trzynastoletnim, a dwie córeczki miały lat dziesięć i sześć. Powiadano, że pan Karol córki kochał

nad życie, lecz pragnąłby męskiego dziedzica z własnej krwi. Powiadano, że przybył sam nie tylko dlatego, iż Klementyna musiała zostać z dziećmi i majątkiem, lecz że między państwem nastąpiły trudne czasy. Była to prawda.

Kiedy zagospodarowali się w wygodnej siedzibie w Wittenberdze, przez kilka lat przyświecała im szczęśliwa gwiazda. Kochali się, byli sobie bardzo bliscy, kiedy Klementyna urodziła pierwszą córkę, Karol szalał ze szczęścia. Wciąż uważał swoją żonę za boginię, która wpadła mu w ramiona wielkim fartem, chociaż okazało się wkrótce, że nie jest boginią, tylko kobietą, bywa uparta, wpada w zły humor, gdy coś idzie nie po jej myśli i potrafi tak długo marudzić, dąsać się, aż postawi na swoim. Jej wady też kochał. Mógł znosić dąsy i klótnie, godzić się potem jeszcze chętniej, nie znosił tylko jednej rzeczy; chwil, kiedy mu umykała. Klementyna zażyczyła sobie małej samotni w ogrodzie, tam ustanowiła swoje własne terytorium i udawała się od czasu do czasu na modlitwę. Nikt nie miał tam wstępu, ani mąż, ani dzieci. Karol domyślał się, komu Klementyna poświęca ten czas, i zrodził się w nim gniew. Cień Maurycego przybył z nimi do Niemiec, wspomnienie pierwszego męża zamieszkało w nowym domu. Niby roześmiana, jak mgła w białej sukni przemykająca się po ogrodzie, po korytarzach, szczęśliwa z dzieckiem przy piersi, namiętna i odważna w sypialni, uparcie i regularnie znikwała w sanktuarium. Pierwsza wielka awantura między nimi wybuchła, gdy zorientował się, że Klementyna wciąż miała zdjęcie Maurycego. Kiedy je zabrał, wpadła w histerię, zatrzasnęła mu drzwi sypialni przed nosem i zapowiedziała, że jeśli zniszczy jej ostatnią pamiątkę, zniszczy ich miłość. Pokrętne wydało mu się i nielogiczne to powiązanie, lecz bał się. Ze starej fotografii patrzył na niego Maurycy poważny, ale jakby z kpiącym uśmiechem pod wąsem, jakby też, jak oni, starszy o te dwanaście lat. Karol ukrył twarz w dłoniach. Tak, był zazdrosny o ducha. Oddał jednak Klementynie zdjęcie, wybaczyła mu i uspokoiła się natychmiast. Godzili się namiętnie, oddawała mu się z takim zapalem i zachłannością, że sam siebie skarcił. Był durniem, ma ją przy sobie żywą, ciepłą, pojękującą pod nim z rozkoszą, cóż może mu szkodzić cień zmarłego męża. Owocem pogodzenia była druga córka. Świętowali hucznie, szczęście ukruszył mu tylko fakt, że zaniósła fotografię Maurycego do swojego sanktuarium. Przeżył to jednak w ciszy, pamiętając jej poprzednią reakcję. Tyle tylko, że wracały wspomnienia, ile razy zerknął w stronę świątyni, w oczach rosła mu kamienica, uścisk dłoni Maurycego, świadomość, że to on kilka lat był

mężem Klementyny, wreszcie ten okropny dzień tragedii na rusztowaniach gmachu, ręka spadającego w śmierć przyjaciela. Poza tym życie toczyło się sielsko, w interesy trafiał doskonale, rodzina się powiększyła, czasem przybywali goście. Jednym z nich był postarzały, zmęczony życiem stary architekt Schatmeyer. Dowiedział się, że jego dawny klient osiadł w Niemczech, sam także tu mieszkał. Wiele opowiadał o podróżach, o swoich ukochanych kamienicach zwanych siostrami. Kończył ostatnią w Berlinie, sam zamierzał w niej zamieszkać. Z zazdrością patrzył na dzieci Karola, zauważył, niezbyt może taktownie, że młody Karol bardzo podobny do świętej pamięci ojca. Sam miał jednego tylko syna, ułomnego, a w dodatku pochował niedawno brata. Bredził jak zwykle o nadchodzących wojnach, gadał też długo sam z Karolem, w jego gabinecie. Klementyna nie była rada z tej wizyty, zniosła Schatmeyera jak nakazywało prawo gościnności, lecz uważała, że to zły znak. I wygadała. Otóż w dalekiej Polsce zmarła stara Wiktoryna. Na łożu śmierci wiele opowiadała o tajemnicach ludzi, o zbrodniach, które widziała. Wysłała Klementynie pocatunek śmierci: list, w którym oprócz błogosławieństwa dla niej samej i synka pod przysięgą pisała, że pana Maurycego z rusztowania zepchnął Karol Wierzbicki, co widział świadek, woźnica, wtedy właśnie na budynek patrzący. I że ona z tym ciężarem nie może iść do grobu. Zmarła pewnie spokojniejsza, za to swoim listem zburzyła całkowicie spokój Klementyny i Karola. List przyszedł nazajutrz po wyjeździe Schatmeyera. Karol zamyślony trawił właśnie w salonie interesujące informacje od architekta, gdy dziki krzyk Klementyny zerwał go z fotela. Klęczała w swojej sypialni z listem w rękach i wydawała z siebie nieartykułowane dźwięki. Przyskoczył do niej, lecz go odepchnęła. Zabrał jej z rąk list, przeczytał, zrozumiał. Klementyna drżała, nie dała się objąć.

– Nigdy. Nigdy mnie nie dotkniesz – wysyczała – jeśli jesteś mordercą.

– Oszalałaś – szepnął Karol.

– Powiedz natychmiast, jak na spowiedzi – szeptała Klementyna – mów mi, czy go zabiłeś? Czy oddałam młodość i rodziłam dzieci mordercy mojego męża?

Patrzył na nią z przerażeniem w oczach, niezdolny powiedzieć słowo, przerażony jak człowiek, któremu grunt usuwa się spod nóg. Klementyna ze szlochom uciekła do swojej świątyni.

O co między nimi poszło, służba nie wiedziała, ale że stosunki między

państwem zmieniały się całkowicie, widziano i komentowano, i w kuchni, i po korytarzach.

Nawet w Warszawie, kiedy Karol debatował nad czymś z Alojzym Gromadzkim, jego kierowca opowiadał stangretowi, jak to pani Klementyna zamknęła się w sobie, do męża mówi tylko oficjalnie, nikt nie wie, co to będzie. Pan Karol z alkowy żony wyrzucony, wyruszył w podróż do Warszawy.

– Drzwi do sypialni zamknęła mu przed nosem – z mrugnięciem oka opowiadał kierowca – a całkiem niczego jeszcze babka, chociaż stara.

– Może pan Karol do dawnego trybu życia wróci – zaśmiał się sprośnie stangret – u Grubej Franki nowe pokolenie dziwek. No, ale nasz pan mu nie opowie, do Franki nie chodzi, z panną Klarą sobie dogadza...

Karol i Alojzy rozmawiali jednak o czymś zupełnie innym, nie o kobietach i nie o kłopotach małżeńskich. Alojzemu błyszczały oczy, kiedy Karol roztaczał przed nim wizję fabryki samochodów, handel peugeotami rozwijał się w Europie! Karol skwapliwie przyjął gościnę u Gromadzkiego i poprosił o mieszkanie na trzecim piętrze kamienicy, kupiec nieba by mu przychylił. Za to nazajutrz złożyli obaj wizytę staremu przyjacielowi Karola, starszemu od nich obu, wypielegnowanemu hrabiemu Gosztowicowi. Alojzy nie ukrywał zamiarów: znał stan majątkowy hrabiego, wszystko wymagało inwestycji, nic nie przynosiło dochodów. Jedyne, co miał hrabia, to tytuł i piękny rodowód, sięgający czasów piastowskich. Wdowcem był od lat dziesięciu i potomka żadnego także nie zdołał powołać do życia. Karol podjął się pośrednictwa i w ten sposób dwaj zamożni panowie zhandlowali: kamienicę wraz z jej dochodem i rękę młodej Krystyny Gromadzkiej z jej niewinną urodą za tytuł hrabiowski. Karol bawił w Warszawie jeszcze kilka tygodni, podobno wynajmował murarzy, by mu mieszkanie na trzecim piętrze przysposobili do częstego bywania. Obiecał Alojzemu, że przywiezie żonę i córki. Rok ni z tego, ni z owego zawitał 1903.

Krystyna Gromadzka słyszała o kłątwie, ale mimo tragicznego losu matki nie wierzyła w gusła. Zdawała sobie także sprawę, że idzie za mąż za starego człowieka, za to zostanie hrabiną. Choroba i śmierć matki uczyniły ją panną nieśmiałą i wycofaną, zapatrzoną w mężczyznę jako opokę, bo to ojciec przez całe życie dawał jej miłość. Była jeszcze panna Klara, jak starsza siostra, jak najlepsza przyjaciółka, Krysia kochała ją, mimo plotek, że jest czułą przyjaciółką ojca. Co z tego. Klara była jej bliska, a ojciec dawał jej

poczucie bezpieczeństwa. Czy będzie mogła oczekiwać tego od hrabiego? Podpisano papiery, ślub odbył się skromnie, hrabia wprowadził się do swojej części kamienicy. O ile Krystyna dotąd wyśmiewała moc klątwy, teraz zaczęła w nią wierzyć. Noc poślubna okazała się dziwnym doznaniem. Krysia mniej więcej wiedziała, czego się spodziewać, miała przyjaciółki mężatki, poza tym uświadomiła ją trochę zaczerwieniona jak wiśnia Klara. Krystyna bała się bólu, bała się widoku intymnych części ciała hrabiego, chociaż hrabia był „całkiem jeszcze do rzeczy”, jak to gadała jej pokojowa. Czekala ukryta pod jedwabnymi narzutami na męża z obawą, ale i z ciekawością. Tymczasem nic się nie stało, hrabia wpakował się do łóżka, pocałował młodą żonę w czoło, oznajmił, że jest zmęczony, odwrócił się i zasnął. Powtórzyło się to następnej nocy i następnej, w końcu Krystyna nieśmiało przysunęła się do męża i położyła rękę na jego biodrze. Wydawało się jej, że bez tego nie będzie prawdziwą hrabiną. Rajmund Gosztowic westchnął, objął żonę ramieniem i powiedział: Krysiu, pozostajmy przyjaciółmi. Nie mam zdolności do kobiet i nigdy nie miałem. Krystyna nie rozumiała dlaczego, miała ładne bujne jasne ciało, ładny warkocz, rudawy jak broda ojca, oczy zielonkawe. Nie miała z kim o tym porozmawiać, nie wydedukowała też związku między tajemnicą jej sypialni a czułym stosunkiem męża wobec chłopców stajennych i niezwyklej namiętności do kontrolowania, czy konie dobrze oporządzone. Pragnęła porozmawiać z Klarą, ale, niestety, nie było jej to dane.

Ojciec jej Alojzy po cichu poślubił pannę Klarę i pojechali w podróż, w centra, w których produkowano automobile. Pech chciał, że jedno z nich rozwijało się we Włoszech, w miejscowości górskiej, do której wiodła trudna droga przez wąwozy. Była to także droga bardzo romantyczna, Alojzy popisywał się przed żoną, nonszalancko brał zakręty, prowadząc jedną ręką, a drugą buszując w pantalonach małżonki. Przeliczył się na jednym z wiraży i oboje spadli w przepaść. Serii nieszczęść dopełnił atak serca hrabiego Gosztowica, co ciekawe nie w jednej ze stajni, lecz na dziedzińcu kamienicy, dokładnie w tym samym miejscu, w którym przed czternastu laty wyzionął ducha Maurycy Groter. W ten sposób u progu roku 1903 hrabina Krystyna Gosztowicowa pozostała smutną, samotną młodziutką wdową, za to bardzo bogatą. Już nie kpiała z guseł, zastanawiała się tylko, czemu klątwa zadziałała w ten sposób, że wymiotła wszystkich dookoła, a ona, prawowita właścicielka majątku pozostaje żywa i zdrowa. Potem jednak, kiedy

nadchodziły samotne noce i dni, życie okazywało się trudne i spadło na nią mnóstwo spraw, doszła do wniosku, że klątwa dotknęła właśnie jej.

Można popatrzeć na to inaczej: właściwie miała trochę szczęścia, bo na wieść o strasznych wypadkach zawitał do Warszawy znowu Karol Wierzbicki, zakasał rękawy i korzystając ze swojego mieszkania w kamienicy, zaczął pomagać Krystynie w porządkowaniu spraw. Jeszcze tego samego dnia, gdy przybył, najdelikatniej jak umiał zapytał: Pani hrabino, proszę wybaczyć jeśli pytanie zbyt intymne, ważne jednak dla spraw prawnych. Czy aby pani hrabina nie jest przy nadziei?

Krystyna spojrzała na niego smutno, zaprzeczyła z taką pewnością, że Karola to zastanowiło. Domyślił się: stary hrabia nie skonsumował małżeństwa. Domyślił się także dlaczego: więc plotki o skłonnościach Gosztowica do chłopców nie były wymyślane! Westchnął. Czyżby ta głupia klątwa rzucona wtedy przez Klementynę w żalu i bólu faktycznie działała? Ona sama chyba też była jej ofiarą, bo cierpiała wyraźnie, żyjąc w separacji z Karolem i mimo że tęskniła, na pewno tęskniła za nim jak i on, nie chciała ani się pogodzić, ani nawet porozmawiać. Karol czuł, że stracił tę jedyną szansę wyjaśnień wtedy, gdy zapytała go, jak było naprawdę. Spadł na niego jakiś urok, nie wykrztusił słowa. Co miał jej teraz powiedzieć? Jak, skoro widywała go tylko przy posiłkach, rozmawiali w sprawach urzędowych i nie patrzyła mu w oczy, lecz gdzieś w bok. Córeczki chodziły po domu smutne, a sama Klementyna postarzała się nagle. Karol był jej wierny, lecz złapał się na myśli, że sam chętnie schrupałby to niezerwane jabłuszko, Gosztowicową... Ale nie miał już tego pociągu do kobiet co kiedyś. Klementyna zabrała mu wszystkie moce, tylko na wspomnienie jej piersi i jej zapachu czuł tęsknotę i pożądanie. Bywało, że przynosił sobie ulgę w samotności, zamykał oczy i przypominał sobie jej ciało i przyspieszony oddech. Był pewien, że i ona tęskni podobnie, uparła się jednak i nie chciała go znać. Dlatego na wieść o dramacie Alojzego postanowił przenieść się na jakiś czas do Warszawy, zajął znowu mieszkanie na trzecim piętrze w gmachu, który sam powołał do istnienia. Przeklęta kamienica, teraz po wypadku wszyscy zwali ją domem Gosztowica. Oto jeszcze jedna jej ofiara siedziała przed nim przygaszona jak zziębnięty ptak. Karol pożegnał hrabinę i udał się do swojego gabinetu. Wysłał kilka listów, i czekał na to, jakie wydarzenia spowodują. Jedno z nich nadeszło niebawem i okazało się szczęśliwe dla Krystyny. Przyjaciel Karola, młody inżynier Lucjan

Rachowicz, zgodził się poprowadzić w Polsce jego interesy. Karol poprosił Krystynę Gosztowicową o udział w zebraniach. Lucjan Rachowicz przybył koleją, zeskoczył na peron pełen energii i zapału. Nie przypuszczał, że tak interesujące przedsięwzięcie biznesowe ma jeszcze dodatkową niespodziankę – śliczną wdowę o rudawych włosach i ogromnym majątku. Nie skończyło się na prowadzeniu fabryki automobili, wkrótce zaoferował pomoc we wszystkich sprawach, wkrótce poprosił o rękę, otrzymał zgodę. Jego żona miała zaskakiwać go całe życie. Pierwszy raz w noc poślubną, była bowiem najbardziej spragnioną mężczyzny dziewicą-wdową, jakiej mógłby się spodziewać. Zaskoczyła go humorem i zmysłem do interesów. Zaskoczyła go wiernością wobec bliskich: kiedy po kilku latach powiła córeczkę, poprosiła, by dać jej na imię Klara. Jeszcze przed pierwszą wojną obdarzyła go także synem, a po wojnie, chociaż wiele stracili z majątku, nie zamartwiała się tym jak on, cieszyła się tym, co zostało, udzielała się w salonach. Kiedy popadł w długi karciane, wykazała się wyrozumiałością i sprzedali pół kamienicy Szenkelom. Miała też słabość wobec niezwyklej skłonności córki do zabaw, strojów i przebierania w wielbicielach. Długo i szczęśliwie mieli mieszkać w kamienicy, nie wiadomo czemu nadal zwanej kamienicą Gosztowica, a zmarli jedno po drugim dopiero przed samą drugą wojną światową.

Drugi list Karola, wystosowany do architekta Schatmeyera także okazał się brzemienne w skutki. Karol jeszcze raz dziękował architektowi za zaufanie i powierzenie tajemnicy tak niezwyklej. Zapewniał go, że sprawdził tajne pomieszczenie i skrytkę, a w niej depozyt zostawiony przez architekta. Pamiątki po bracie jubilerze – tak to nazwał – pozostały na razie na swoim miejscu, dodał własne, pokój na powrót zamurowano. Karol ponadto obiecywał, że zajmie się edukacją i leczeniem syna architekta, który chociaż na zawsze przykuty do wózka, inteligentny jest i będzie miał godne i dostatnie życie. Miał go ów zacny mistrz przewieźć do domu Karola w Wittenberdze, gdzie wszystko było na ich przyjazd przygotowane. Sam Schatmeyer, coraz słabszy, chory na suchoty liczył się z odejściem z tego świata, więc po otrzymaniu listu wyruszył z synem jak najszybciej. Klementyna, chociaż obrażona na męża, przyjęła kalekę. Przyjęła też starego Schatmeyera, który był w bardzo kiepskim stanie, pozostał pod jej dachem i dokonał życia niemal na rękach Klementyny. I z nią rozmawiał długo przed śmiercią, przysięgła mu dbać o chłopca, a on wyjawiał jej kilka tajemnic. Jedna z nich spowodowała rumieniec na twarzy i błysk w oczach

Klementyny. Podjęła pewne postanowienia, powróciła do sypialni, wyjęła list od męża i przeczytała go jeszcze raz.

Był to trzeci list Karola wysłany z Warszawy. List do ukochanej żony był wyznaniem miłosnym, wyjaśnieniem, prośbą o powrót do dawnych czasów. Karol napisał, czego nie udało mu się powiedzieć, zaprzeczył wszelkim plotkom i poszlakom, chociaż dowodu na niewinność nie miał, przynajmniej wyłożył swoje racje. Zapewnił, że życie bez niej straciło dla niego sens. Ten list pozostał bez odpowiedzi.

Mijały kolejne noce i dni. Kamienica stała jak zwykle dostojna, jakby opierała się czasom. Nikt by wówczas nie przewidział, iż oprze się dwóm wojnom, że swoje tajemnice przechowa przez cały wiek dwudziesty. Z pewnością nie mógł przewidzieć tego Karol Wierzbicki, który siedział w gabinecie z oknem na dziedziniec i zastanawiał się nad bliższą przyszłością. Życie naprawdę straciło dla niego smak i sens, nie był to czczy frazes. Wydatkował energię, na co? Może warto byłoby zabezpieczyć córki i żonę, i strzelić sobie w łeb? Czy ta kamienica zawsze będzie budzić u ludzi podobne rozterki? Właśnie w jego domu w Wittenberdze zmarł jej architekt Schatmeyer, ciekawe, że była przy nim Klementyna. Niepokój targnął jego duszą. Zresztą rok 1905 nie skłaniał do spokoju ducha, zamieszki, rewolucje, ona tam, on tu. Zabrał się za korespondencję, gdy postyszał hałas. Z impetem wjechała na dziedziniec kareta, dudniły koła, rozlegały się pokrzykiwania stangreta. Podeszedł do okna i przez chwilę nie mógł oderwać oczu od sceny na dole. Z karety wyskakiwała potargana dama, lekceważąc rękę stangreta, kapelusz i chłód wieczoru. Dobrze znał te kształtne łydki błyskające spod fałd spódnicy. Przykleił się do framugi okna, ledwie łapał oddech. Klementyna rozejrzała się i zrozumiała, które mieszkanie znajduje się na piętrze trzecim, wbiegła w drzwi wejściowe.

Tu wydruk powieści Dominika się urywał. Julia odsunęła go z niechęcią. Czemu tak zależało mu na tym, żeby to czytała? Stara opowieść, w dodatku bez zakończenia. Najpewniej chodziło mu o to, że historia się powtarza, o przewinieniach mężczyzn, o urazach kobiet. Uwierzył w legendę o skrytce Schatmeyera... ba! Najwyraźniej nie tylko on, przypominała sobie informacje Grzesia o serii włamań w siostrzanych kamienicach. Czyżby to właśnie Dominik szedł śladem starej legendy i penetrował siostrzane kamienice?

„Może wiedziałem więcej niż inni”. Julia ukryła twarz w poduszkę. Miała za sobą ciężki czas wzmożonej pracy. Trudne sprawy piętrzyły się w kancelarii, dylematy w domu, życie urastało do syzyfowego trudu. Dziwna rzecz, prawdziwym zbawieniem i pomocą okazała się w tych dniach Teresa Willis. Kiedy Hania i Filip oznajmili rodzicom, że chcą studiować w Wielkiej Brytanii, a tam trzeba złożyć deklaracje już teraz, zimą, Hanka wpadła w przerażenie. Teresa przeciwnie, pomogła im wypełnić wszystkie formularze. Uspokajała Julię, iż to tylko możliwość, że skoro mogą dostać stypendium.. tak ładnie wyglądali na studniówce. Teresa zaprosiła ją wtedy do siebie, spędzili miły wieczór. Tym bardziej miły, że rozmawiały na temat Dominika Dymy. Teresa potwierdziła znajomość, wyrażała się o Dominiku z sympatią, a o jego byłej żonie z niechęcią. Wyjaśniła przy tym zagadkę z nikłym dorobkiem Dymy jako pisarza. Tłumaczyła jego książki, tak, liczne książki o miłości, ale pisane pod pseudonimem! Śmiała się z Julii, że choć przez chwilę podejrzewała ją o związek małżeński z Dominikiem, teraz uświadamiam sobie, mówiła, że zapanowała wtedy u nas moda na nazywanie chłopców Filipami. Julia przyznała się Teresie, że to było coś więcej niż romans. Opowiedziała jej część ich historii, a Teresa marszczyła brwi, nie wszystko rozumiała.

– Dominik Dyma nie jest złodziejem – powiedziała stanowczo. – Cwany jest, jak to mówią: operatywny, ale coś mi się nie zgadza. Daj mi do przeczytania tę powieść, tam muszą być odpowiedzi. Szkoda, że masz to po polsku.

Więc Julia kończyła lekturę sama, bez Balbiny. Może i dobrze? Balbina wyjechała, ale wcześniej dołożyła się do temperatury zdarzeń tej zimy. Po świętach, kiedy Julia delektowała się samotnością, przyszła z wizytą, usiadła blisko niej i powiedziała cicho:

– Julio, zamieszkajmy razem. Dominik to już przeszłość, a ja cię kocham.

Julia w pierwszej chwili nie rozumiała, Balbi przysunęła blisko twarz i musnęła ustami kącik warg Julii.

– To poważna propozycja. Ja wolę kobiety i chciałabym być z tobą, od lat, od wielu lat.

Julia zamilkła speszona a Balbina wzięła to za przyzwolenie. Wsunęła dłonie pod bluzkę Julii, znalazła jej piersi. Julia pozbawiona seksu od wielu tygodni poczuła na skórze znajomą ciekawość, miły dreszcz w pieszczonych sutkach. Wezbrało w niej oczekiwanie, lecz bynajmniej nie na ten miękki dotyk

kobiety. Wspomnienie szybkie jak błyskawica przemknęło jej przez głowę, przyspieszony oddech Dominika, dotyk, zapach. Zdecydowanym ruchem zdjęła z siebie ręce przyjaciółki.

– Nie – powiedziała – nie. Ja wciąż za nim tęsknię. Kocham Dominika, Balbi.

Ta deklaracja wymknęła się jej z ust naturalnie, sama była zdziwiona. Balbina po chwili milczenia wyszła. Przez tydzień nie odzywała się wcale, potem wróciła do przyjaznych spotkań, ostatnio oznajmiła, że wyjeżdża. Julia kończyła więc lekturę w samotności, a gdyby spytać ją o imię najlepszej przyjaciółki, powiedziałyby: Teresa.

Kończą się przyjaźnie, kończy się dzień tak jak ten. Julia zamknęła wydruk powieści w teczce. Irytowało ją, że tak beznadziejnie się urywa. Ciekawe, z czym przybyła Klementyna: czy z nową awanturą, czy z wybaczeniem?

– No i jak to się właściwie skończyło? – powiedziała głośno.

– To zależy od ciebie – zabrzmiał znajomy głos. Dominik stał w drzwiach, jak zjawą, poważny, w sportowej kurtce, z plecakiem. Wszedł cicho i usiadł naprzeciwko Julii, na ziemi, w kucki, bez przytulanki ani powitania. Rzucił plecak obok, zapatrzył się w ogień kominka i powiedział:

– Może być tak: *Klementyna wbiegła po schodach, jakby wciąż miała osiemnaście lat. Karol wyszedł na korytarz, serce mu biło, nie wiedział, czy ma wyciągnąć ramiona na powitanie, czy chronić się przed uderzeniem. Klementyna rzuciła się ku niemu... Jak myślisz Julio: z pięściami czy na szyję?*

– Na szyję – cicho podpowiedziała Julia.

– Więc: *Rzuciła się mu na szyję. Przytuliła, zwarła się z nim w uścisku, i pocałunkiem dowiodła, jak bardzo cierpiała i jak za nim tęskniła.*

– *Schatmeyer wyznał mi wszystko – wyszeptała, gdy tylko na chwilę oderwała się od niego – on tam był, widział... Karolu, czemu nie powiedziałeś? Czemu mnie zostawiłeś? Czemu nie przytrzymałeś mnie siłą, by wyjawić prawdę? Nawet nie było cię na tym rusztowaniu! Jak mogłeś pozwolić, byśmy tak oboje cierpieli?*

– *Nie chciałaś słuchać – szepnęła, błogosławiąc starego architekta, że dopełnił umowy.*

– *Wiem, wiem, jestem uparta. Nigdy już taka nie będę. Nie wiesz nawet, jaki kamień spadł mi z serca, nie wiesz, jak bardzo tęskniłam za tobą – odsunęła się na chwilę i spojrzała na niego z gniewem. – A ty? Jeśli dowiem*

się, żeś był w zamtuzie, zabiję ciebie i siebie...

Karol śmiał się jednak i przygarniał ją do siebie, niósł na rękach do swojego gabinetu, nie bacząc na przyzwoitość, zatrzasnął drzwi i oparł ją o biurko. Szczęście w jej oczach, a może abstynencja sprawiły, że czuł w sobie piekielne pragnienie i moc młodzieńca. Klementyna... Oddawała pocałunki czy zażądała dokładnych wyjaśnień?

– Oddawała pocałunki – podpowiedziała Julia, dotykając palcem ust Dominika.

– *Więc: oddawała pocałunki, stęskniony cicho przysięgał nigdy już jej nie stracić ani kłamstwem, ani zniecierpliwieniem, ani zazdrością o cienie zmarłych. Zapytał, czy ona jeszcze go pragnie, odpowiedziała mu spojrzeniem i przyspieszonym oddechem. Pospiesznie rozpiniała stan sukni...* Julio, zmrok zapadał w gabinecie Karola tak jak tu, postąpił więc podobnie jak ja.

Dominik pochylił się ku Julii, pocałował ją i zapytał, czy ona też go pragnie. Odpowiedziała mu spojrzeniem i przyspieszonym oddechem. Rozpiniała bluzkę. Nie bacząc na to, że jest utrudzony podróżą, nie szukając wymyślnych sposobów miłości, szybko znalazł się z nią na dywanie, szybko znalazł się w niej, a ona czekała na to gorąca i spragniona. Krzyknęła cicho. Kochali się, a potem leżeli w ciemności.

– Czy żyli długo i szczęśliwie? – zapytała Julia.

– *Jeśli przyjechałam aż tutaj, jeśli przestąpiłam próg tego domostwa, to znaczy, że klątwa już nie działa, a ja kocham cię nad życie – powiedziała Klementyna. Przyciągnęła go do siebie i, ukryci przed służbą, kochali się niespiesznie, w małym pokoju kamienicy, którą kiedyś przeklęła. Szczęście którego zaznali, zdjęło raz na zawsze klątwę z kobiet, które miały tu zamieszkać. Od tej chwili dom Gosztowica czeka na następnych lokatorów pod numerem dwa, przy placu księcia Tolłoczki.*

– To będzie ostatnie zdanie książki – oznajmił Dominik.

– Czy mogło być inaczej? – zapytała Julia. – Czemu miałyby rzucić się z pięściami na Karola?

– Gdyby Schatmeyer powiedział jej na łożu śmierci, że Karol go przekupił. Że za cenę zabezpieczenia przyszłości syna stary architekt nie tylko zdradził mu tajemnicę ukrytych klejnotów, lecz zgodził się skłamać przed Klementyną, iż widział wypadek Maurycego i że Karol jest niewinny.

– A jak było naprawdę? – z przejęciem spytała Julia.

– To wiedzą tylko dwaj ludzie: Karol Wierzbicki i Maurycy Groter. Obaj od dawna nie żyją, dajmy im spokój... Ty, Julio, wybrałaś zakończenie dla nas.

– Ha! Kto był naszym Schatmeyerem?

– Teresa – szczerze odparł Dominik – my znamy się od bardzo dawna, Julio, pomogłem jej kiedyś. Zadzwoiła do mnie w trudnym momencie. Męczyłem się, złorzeczyłem ci, bo przecież obiecałaś, że zawsze będziesz mnie pamiętać. Teresa zadzwoniła z radą, żebym przyjechał, że już nie jesteś taka pewna moich zbrodni, że tęsknisz. Rzuciłem wszystko i jestem. Dobrze zrobiłem?

– O tak – odparła, sprawdzając w ciemności, czy jest naprawdę. Był obok, ciepły, wrażliwy na jej dotyk – ale nie obejdzie się bez wyjaśnień.

– I bez tego – sięgnął do plecaka.

Najwyższy czas było zapalić lampkę i dołożyć dREW do kominka. Dominik zajął się tym, a potem okrył Julię kocem. Sam nagi ukląkł przed nią i wysypał na dywan zawartość woreczka, pełnego biżuterii, pierścionków, splątanych naszyjników, wśród nich czerwienią połyskiwał znany jej naszyjnik rubinowy. Dominik wziął do ręki nieduży drewniany kuferek. Otworzył go i podał Julii. Bransoletka z poczwórnego rzędu pereł, bardzo starej roboty błysnęła na aksamitnym denku.

– Chciałem ci to podarować przed świętami – cicho powiedział Dominik. – O tym mówiłem, że będzie ci mnie przypominać... chociaż żaden to podarunek, bo te perły należą do ciebie.

Julia obracała w szczipkach bransoletkę, której dotykała jej matka. Pewnie kupił ją jeszcze pradziadek Szenkel. Nie rozumiała jednak...

– Jak to? – zapytała. – Jakim cudem to znalazło się w skrytce Schatmeyera?

– Były dwie skrytki, Julio. Sejf braci Schatmeyer, taki sam jak w każdej ich kamienicy, w każdym jubilerski skarb. Ugamiam się za nimi już ładnych parę lat po Europie, odkąd trafiłem na dokumenty. A trafiłem, bo zabrałem się za powieść o rodzinnej kamienicy, a zabrałem się za tę powieść, gdy zmarła babcia Klara. Kazała mi opisać całą historię, chciałem dotrzymać słowa. Historia braci, architekta i jubilera, okazała się nader ciekawa. Starszy robił piękną biżuterię, młodszy projektował wille. W każdej zamurowany pokój, w nim misterny sejf. Ukryli w sejfach zbiory jubilera. Schatmeyer wyznał to i Karolowi, i Klementynie. Karol sprawdził sejf warszawski, ukrył w nim jeszcze swoje drogocenności. Klementyna na starość opisała tę historię i zostawiła córce.

– „Pamiętnik mojej matki”! Nie chodziło o Krystynę i nie o Klarę?

– Nie. Klementyna Wierzbicka miała dwie córki, jak pamiętasz. Elżbieta Rachowicz jest córką jednej z nich, oboje mieliśmy zapiski babek. Widzisz, Karol Wierzbicki w obliczu pierwszej wojny światowej wyniósł się do Norfolk w Anglii. Żyli tam z Klementyną jeszcze wiele lat, a ja odwiedzam ich groby, bo kupiłem obok posiadłość. Rodziny utrzymywały kontakt cały czas... A w Betty spotkały się geny, dlatego jest rudawa.

– Pani Ela wiedziała? O pokoju i sejfie?.

– Oczywiście. Szukaliśmy razem tych klejnotów, słusznie uznając, że należą do rodziny tak samo jak cały gmach. Początkowo myślała, że wystarczy odzyskać mieszkanie na trzecim piętrze, ale nie udało się jej znaleźć wejścia do pokoju. Wtedy wkroczyłem ja, znałem nieszczęsnego Kobzika – dodał dumnie – ale... widzisz, Szenkelowie nie mogli wiedzieć o sejfie braci Schatmeyerów, skąd? Klara też nie, o pokoju, owszem wiedziała i przydał się w ciężkich czasach wojny. Twój pradziadek oddał majątek na łapówki, by ratować rodzinę, ale te perły zostawił twojej matce. Schowali je z dokumentami w drugiej, zupełnie innej skrytce.

– Więc dziadek ukrywał się w wojnę obok skarbu Schatmeyera, potem lata mieszkali z takim nadzieniem pod boki i nie wiedzieli o tym? – spytała Julia. Pomyślała, że przez tyle lat może te naszyjniki pomogłyby komuś, może nie musiałaby wyjeżdżać...

– Tak – potwierdził Dominik, rozsypując biżuterię po kolanach Julii – przeleżały w ścianie prawie sto lat. Perły mniej, od wojny. Matka twoja zostawiła je z myślą o tobie – dodał ciepło – Julio, uwierz mi, oddałbym ci wszystko i list, i te perły. Kiedy wysyłałem ci paczkę z papierami, nie mogłem jeszcze tego dołączyć. Musiałem dokończyć sprawy, podzielić się z Elżbietą i Betty. Ja mam spory majątek, ale, widzisz, nie z książek. Piszę dla przyjemności, a zarobiłem wiele w, nazwijmy to, nieruchomościach, na które trafiam, pisząc i podróżując. Nie łamię prawa, czasem naginam. Nająłem Kobzika do wyburzenia ściany, to prawda. Ale zapłaciłem mu uczciwie, a policja nie znalazła dowodów na powiązanie mnie z tą sprawą. Musiałem. Historia Schatmeyera to była gratka! I między innymi ten pierścionek... – przyjmiesz go jeszcze raz?

Julia patrzyła na złoty krążek z rubinem. Wiedziała, że jeśli go przyjmie, to razem z Dominikiem, z jego dziwacznym sposobem życia. Że być może decyduje się tym samym na związek na odległość, a może na wyjazd. Może

będzie pędzić za nim przez autostrady Europy, bezdroża Azji, może przyjdzie jej szukać go w kostnicach albo zbiorowych grobach... westchnęła. Szkoda byłoby takiego uczucia i takiej szansy. Wsunęła krążek z rubinem na palec.

– Szkoda byłoby takiego pierścionka – rzekła głośno. Dominik zrozumiał. Odetchnął z ulgą, włożył jej w uszy kolczyki, zapiął naszyjnik.

– Nie kochałem się jeszcze z kobietą w samych rubinach – szepnął – a myślałem, że o miłości wiem już wszystko.

Zakończenie

Jechali autostradą z Berlina do Warszawy, nowym autem, które kupili sobie jako wspólny prezent. Otwierany dach sprawdzał się znakomicie, bo kończył się właśnie sierpień i w Europie panował upał. Kłócili się o ten dach, Dominik postawił na swoim, ale za to ustąpił jej w sprawie koloru – i tak zamiast prowadzić teraz wóz elegancki, ciemny, nierzucający się w oczy, siedział za kierownicą czerwonego kabrioletu, jaskrawego jak kolor lakieru na jej paznokciach. Na ostatnim postoju zdążyli pokłócić się i pogodzić o trasę, i tak kilka razy odkąd wyruszyli z domu Dominika w Norfolk. Dom i miejsce szalenie spodobało się Julii, odwiedziła rodzinny grób Wierzbickich. Sprawy składały się teraz same, Hanka i Filip dostali się na studia w Londynie, a Dominik namawiał Julię, by wyszła za niego za męża, zawiesiła działalność kancelarii i zamieszkała razem z nim. Miała do wyboru: zostać sama w Warszawie i ciągle na niego czekać lub wyjechać, poznać Anglię i być bliżej córki. Zgodziła się na wyjazd, na ślub jeszcze nie. Nie był jej potrzebny dokument, był jej potrzebny Dominik, do kłótni i do pogodzeń, do długich opowieści w starej bibliotece w jego domu i do podróży, bo już pchało go w świat po następne przygody, a ją ciągnęło do Tel Awiwu. Podjęła więc jedynie słuszną decyzję ku radości Teresy Willis, która akurat o studiach dzieci w Anglii myślała z radością, a musiała mieszkać w Polsce jeszcze cztery lata. Rada była, że Julia będzie bliżej młodych.

Julia i Dominik jechali właśnie do Warszawy po dzieci, chcieli też wynająć dom Minejków i przekazać kancelarię do poprowadzenia Arkowi. Julia uznała, że to lepszy pomysł niż jej zamykanie, zwłaszcza że Grześ wreszcie wyznał miłość Miłce, a Arek przyznał się do związku z ładną policjantką z wydziału śledczego. Stanowili świetny zespół, mieli w ręku same atuty... Tak jak Julia i Dominik. Jechali tak w pełnym słońcu, Dominik z dumą zerkał na piękną kobietę w szalu na głowie, ciemnych okularach, naburmuszoną, bo właśnie dała się przekonać do zjechania z trasy, kilkadziesiąt kilometrów na południe. Dominik mruknął pod nosem swoje „well”, przyhamował i zatrzymał się w zatoczce.

– Nie będę tutaj kochać się tobą – oznajmiła z godnością – dopiero na

terenie Polski. Mogłeś nie umawiać żadnych interesantów po drodze, skoro spieszymy się do dzieci.

– Na pierwszą prośbę zawsze mówisz „nie”, na drugą „tak”, umowa stoi?

Zdjęła okulary i popatrzyła na niego podejrzliwie, zmrużyła granatowe oczy, ale ciekawość zwyciężyła i kiwnęła głową. Wskoczył do bagażnika, pogrzebał w brązowej walizce i przyniósł plik dokumentów. Wręczył jej i ruszył z parkingu.

– Ja teraz będę powolutku jechał, a ty przejrzyj te papiery. To właśnie zabytkowa kamienica w niemieckim miasteczku, ta, do której mamy zajechać. Jak doradziłabyś spadkobiercy walczyć o prawo do nieruchomości? Szybko to się tu sprzeda? Chciałbym obejrzeć stan tego domu i poznać właścicielkę, ma chyba tysiąc lat. Może warto wykupić roszczenia?

Julia wczytywała się w papiery, otworzyła laptop, sprawdzała coś w Internecie. Niemieckim prawem spadkowym też już się zajmowała.

– Księga wieczysta w porządku, willa wydaje się dobrze utrzymana. Pewnie, że jest wartościowa. Głupi ten, kto sprzedaje ci roszczenia. To jest warte milion euro.

– Ta willa ma bardzo ciekawą historię – powiedział Dominik – pani weszła w jej posiadanie, bo brat, nawiasem mówiąc zatwardziały faszysta, zmarł bezpotomnie. A gdyby znalazł się pogrobowiec?

Julia popatrzyła na niego, w papiery, znów na niego, zmrużyła oczy. Zamknęła szybko laptop.

– Druga prośba – przypomniał – obiecałaś! Odmówiłaś mi tête à tête w zatoczce, teraz pomóż.

– Jaki pogrobowiec? Toż właścicielem był niejaki Edmund Helmer – stuknęła długopisem w dokument – zmarły bezdzietnie czterdzieści lat temu.

– No właśnie – westchnął Dominik – a gdyby tak nie wiedział, że jego młoda kochanka Birken Laus jest w ciąży? A gdybym tak to ja był nieszczęsnym synem Birken, który dopiero po śmierci matki dowiaduje się o pochodzeniu?

– Dominiku, kim ty jesteś?

– Bernard Laus, pisarz z żoną Emilią, do usług. To nasze ausweisy – wyjął z szufladki dwa dowody osobiste. – Postanowiłem znowu opisać fascynującą historię rodzinną... Tylko zrobimy rekonesans, co? Potem ty Emilio zdecydujesz, czy mamy jakiegokolwiek szanse uszczknąć część tego spadku, czy lepiej kupić roszczenia? Zemścimy się trochę za okupację i Holocaust. Znasz

niemiecki?

Roześmiała się i pochyliła nad dokumentami. Niemiecki znała doskonale, a z III Rzeszą miała własne porachunki.